

SIECI

**MINISTER GLIŃSKI
O SPORACH Z NIEMCAMI:
NIE MOŻEMY
SIĘ COFNAĆ!**

**OSTRZEŻENIE
PRZED
NADOPIEKUŃCZOŚCIĄ**

**KRYSZYNA
ŚLIWIŃSKA:
POLAK MA
W SOBIE
TO COŚ**

**PAPIEŻ PRZEPROSİŁ,
ALE NIE BYŁO ZA CO.
W KANADZIE NIE MA
ŻADNYCH „MASOWYCH
GROBÓW DZIECI”**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 37 (563) 2023
11-17 września 2023

CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)



TYLKO U NAS

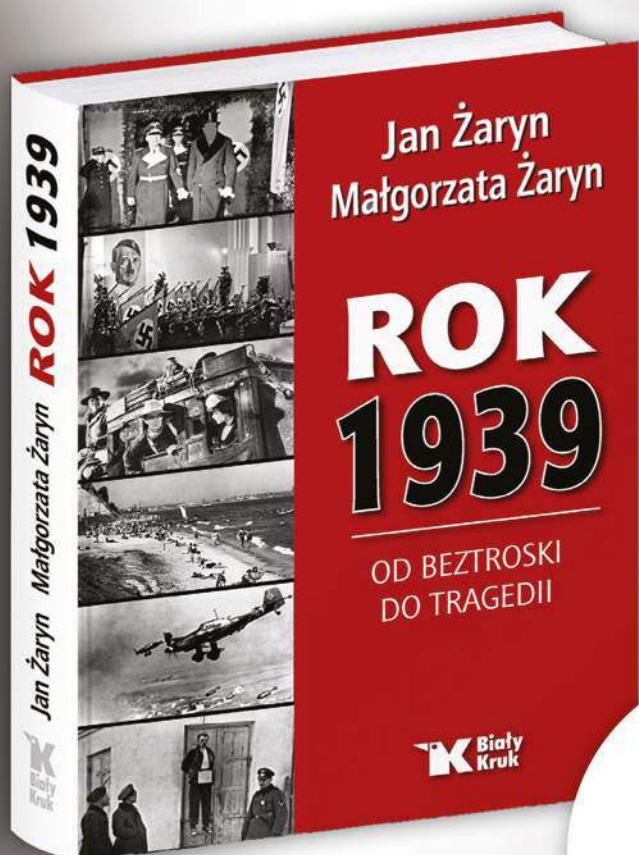
TUSK W POTRZASKU

**Z JEDNEJ STRONY DRAMATYCZNIE
SŁABE LISTY, Z DRUGIEJ
ZAŚLEPIAJĄCA NIENAWIŚĆ
ZAMIAST PROGRAMU. DLATEGO
NIE COFNIĘ SIĘ PRZED
NAJBARDZIEJ BRUTALNYMI
ZAGRYWKAMI**

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



Dla Polski rok 1939 był przedziwny. Naznaczony przez tragedię wybuchu II wojny światowej, a wcześniej pełen pozytywnych wydarzeń wpływających na dynamiczny rozwój II RP.

Jan i Małgorzata Żarynowie w wartkiej literackiej narracji rekonstruują tamten czas, pozwalając czytelnikom zrozumieć kontekst epoki, w której Polska odegrała główną rolę.

312 STR. | HISTORYCZNY BESTSELLER |
BOGATE ILUSTRACJE | TWARDA OPRAWA

125
książek
w prezencie

Książkę „Rok 1939. Od beztroski do tragedii” otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **295 zł**.



Zamów już dziś na: www.sieciprawdy.pl/prenumerata

Masz już wykupioną prenumeratę, a chcesz otrzymać tę książkę w prezencie?
Zamów kolejną prenumeratę pakietu Sieci + wSieci Historii na 12 miesięcy.
Uruchomimy ją, gdy skończy się Twoja obecna prenumerata, a książkę wyślemy już teraz.

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Wpłaty za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.



Co jeszcze Tusk uzgadniał z Berlinem, Brukselą i Moskwą?

Ujawniona notatka z rozmowy telefonicznej Donalda Tuska z Angelą Merkel szokuje podległością, z jaką były premier uzgadnia kwestie podniesienia wieku emerytalnego. A przecież to tylko jeden, niewielki wycinek jego aktywności. I choć większości wciąż nie ujawniono, nietrudno przywołać w pamięci decyzje Tuska, które stały w sprzeczności z interesem narodowym i dobrem obywateli. Nic dziwnego, że Berlin i Bruksela tak nerwowo wyczekują przejęcia przez niego władzy w Polsce.

Niemieckie wsparcie dla Koalicji Obywatelskiej i brukselska piecza nad powrotem Donalda Tuska do władzy w Polsce nie dziwią. Utrata tak uległej i współpracującej Polski musi przecież wzmacniać irytację. Zwłaszcza że wielki projekt przeformatowania struktury Europy byłby już na ukończeniu, gdyby nie aktywny sprzeciw obecnego rządu w Warszawie. Tym bardziej że Polska buduje nowe sojusze, wzmacnia swoją pozycję lidera w tej części Europy i mimo wszelkich kryzysów wciąż ma dobrą pozycję gospodarczą. Zbliżające się wybory wywołują więc sporą nerwowość za Odrą, co objawia się coraz częściej w przekazach medialnych.

„Sueddeutsche Zeitung” w swojej niedawnej publikacji przedstawia Polskę jako kraj niemal totalitarny, gdzie prześladowani są twórcy (tacy jak Agnieszka Holland, Olga Tokarczuk), nie ma wolności i demokracji, a instytucje publiczne zostały zinstrumentalizowane. Autorka tekstu twierdzi, że wprawdzie Polska „opuściła przestrzeń prawną UE i traktuje Unię instrumentalnie”, ale nie oznacza to jeszcze, że „musimy spisać Polskę na straty”, bo „nadzieją jest jeszcze społeczeństwo obywatelskie”.

„Na sześć tygodni przed wyborami nie ma czasu na rozpacz i zwątpienie. [...] Czy musimy spisać Polskę na straty?” „Z pewnością nie. Jest jeszcze inna Polska” – pisze Viktoria Grossman, podkreślając, że ta inna Polska obecna była na Campusie Polska Przyszłości w Olsztynie. Wierzy, że to właśnie ten aktywny ma moc zawalczenia o zdławioną demokrację.

„Polska może sobie poradzić z tym problemem lepiej niż inni. Polska – tak brzmi wielka nadzieja – może pokazać innym krajom, nękanym podobnymi zjawiskami i politykami, jak odbudowuje się społeczeństwo, które nie

jest podzielone codzienną mową nienawiści” – czytamy w „Sueddeutsche Zeitung”. Cóż za ujmująca troska. Jakież zaangażowanie w powrót Platformy Obywatelskiej do władzy.

Jakoś nie widać, by niemieckie media czy instytucje unijne, tak zapiekle walczące o jakość polskiej demokracji, skrytykowały Donalda Tuska za chęć unieważnienia referendum, które jest przecież pierwszym po wyborach instrumentem demokratycznym obywateli. Żaden z obrońców konstytucji nawet nie pisał, gdy lider PO ogłosił, że opinia obywateli „jest mu kompletnie obojętna”. Nic nowego! Dał temu wyraz już w 2012 r., gdy rząd PO-PSL doprowadził do podniesienia wieku emerytalnego, wbrew wcześniejszym deklaracjom i wbrew opinii publicznej. Pamiętamy przecież, jak rząd Tuska odrzucił wniosek o referendum w tej sprawie, pod którym podpisały się blisko 2 mln obywateli. Podobny los spotykał wszystkie inne inicjatywy obywatelskie, jak choćby tę o zablokowaniu obowiązku szkolnego dla sześciolatków. Podniesienie wieku emerytalnego zostało podrzucone Tusкови już w marcu 2011 r. przez kanclerz Niemiec Angelę Merkel.

Ujawniona notatka z tej rozmowy jasno pokazuje, jakie były priorytety ówczesnego szefa polskiego rządu. Wiązący był dla niego nie głos obywateli, ale sugestie Berlina, dyrektywy Brukseli i oczekiwania Moskwy. Nie zdołał wywalczyć żadnego dobrego dla Polski rozwiązania, jeśli tylko wymagałoby to przeciwstawienia się rozwiązaniom unijnym. Co więcej, gotów był poświęcić interes własnego kraju. Bo jak inaczej interpretować takie działania, jak zamykanie polskich kopalń, likwidacja polskich stoczni, rezygnacja z rozbudowy polskiej infrastruktury lotniczej, wyprzedaż polskiego majątku, zgoda na przymusową relokację, demilitaryzację i likwidację polskiej armii, osłabienie polskiego bezpieczeństwa gospodarczego i energetycznego? To miotanie się Donalda Tuska pomiędzy obcymi wpływami nie tylko paraliżowało rozwój Polski, lecz także czyniło ją wyłącznie zapleczem usługowo-handlowym silnych krajów sąsiedzkich.

Otwarte pozostaje więc pytanie: co jeszcze Tusk uzgadniał z Berlinem, Brukselą i Moskwą?

Marzena Nykiel



42

Z Robertem Telusem
rozmawia
Maciej Wośko



52

Podziw i zgrzytanie
zębami
Aleksandra Rybińska



69

Ballada o Bolku
Chmielarzu
Jolanta
Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 DWÓCH KRÓLI**
Krzysztof Feusette
- 9 OŚCIĄ W GARDLE**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 WYBORY NIE SĄ PONURĄ FARSA!**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 ZNISZCZYĆ RODZINĘ**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA ZBIGNIEWA KUŹMIUKA**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 KOREKTA SCENOGRAFII**
Marta Kaczyńska-Zielińska

TEMAT TYGODNIA

- 20 GOTOWI NA FINISZ**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 26 Z BEATĄ SZYDŁO**
rozmawia Marcin Wikło

KRAJ

- 28 KACZYŃSKI W GÓRĘ, TUSK W DÓŁ**
Stanisław Janecki
- 31 Z PROF. PIOTREM GLIŃSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski
- 36 PAŁKA FASZYZMU**
Konrad Kołodziejcki
- 40 PIĄTE PYTANIE REFERENDUM**
Dariusz Matuszak
- 42 Z ROBERTEM TELUSEM**
rozmawia Maciej Wośko
- 44 JAK ONI NIEAWIDZĄ!**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 46 BŁĄD NADOPIEKUŃCZOŚCI**
Maciej Walaszczyk

OPINIE

- 50 Z KRYSZYNĄ ŚLIWIŃSKĄ**
rozmawia Edyta Hołdyńska

ŚWIAT

- 52 PODZIW I ZGRZYTANIE ZĘBAMI**
Aleksandra Rybińska
- 55 PRAWICA PRZEGRYWA**
Z IMIGRANTAMI
Jan Rokita
- 58 WIELKA MISTYFIKACJA?**
Goran Andrijanić

- 60 Z SANTIAGO MUZIO**
rozmawia Małgorzata Wołczyk
- 63 UKRAIŃSKA OFENSYWA**
MOŻE PRZYSPIESZYĆ?
Marek Budzisz
- 66 „OPCJA BENEDYKTA” W PRAKTYCE**
Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

- 69 BALLADA O BOLKU CHMIELARZU**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 72 BRUCE BRENDA DAVID**
Robert Tekieli
- 73 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 74 CZYTANIE JAKO SPORT**
EKSTREMALNY
Wojciech Stanisławski
- 77 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

HISTORIA

- 78 ARCHITEKT, URBANISTA,**
ESEISTA. MÓJ PRZYJACIEL
Jerzy Biernacki

GOSPODARKA

- 86 Z MARKIEM GRÓBARCZYKIEM**
rozmawia Maciej Wośko

PODRÓŻE

- 92 MOJE SZLAKI: MARCIN BYTNIEWSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 93 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 94 HONOR**
Alina Czerniakowska
- 95 STAWANIE NA USZACH**
Piotr Cywiński
- 96 AD HITLERUM**
Wiktor Świetlik
- 96 ŻYCIE, ZDROWIE, CZAS...**
Lech Makowiecki
- 97 PIĘKNE ZAMYŚLENIA**
Leszek Długosz
- 98 AWERSJA DO PESYMIZMU**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie



PRZEZNACZYLIŚMY **14 MLD ZŁ** **NA ZAMROŻENIE CEN GAZU** **W POLSKICH DOMACH**



OrlenDlaPolski.pl

Sygnalista nadaje

Według **Krystyny Jandy** PiS „zabił kilka osób”. A jedną ze śmiertelnych ofiar partii rządzącej była jej matka. „Moim zdaniem moja matka umarła przez PiS. Spędzała ostatni rok życia cały czas przed telewizorem, denewrując się do tego stopnia, jakby nie mogąc się pogodzić ze wszystkim co słyszy, że moim zdaniem, niestety, umarła od tego” – powiedziała aktorka w rozmowie z Tomaszem Lisem, po czym dodała: „W pewnym momencie zrobił się guz i tego nie wytrzymała”. To nie PiS jest winne. Bo przecież mama pani Jandy TVP raczej nie oglądała.

Wspomniany **Tomasz Lis** porzucił już jakiegokolwiek pozory. Oto próbka jego twórczości po tym, gdy PiS zaczęło skokowo zyskiwać poparcie: „Głównym zadaniem PiS-owskich gównosondaży jest obniżenie naszego morale i zasianie defetyzmu. Dokładnie po to są. Smutne tylko, że to my je sponzorujemy”; „Ci, którzy chcą wygranej PiS, sączą przesłanie, że przegramy. To są – z całym szacunkiem dla zajęcy – zajęcze serca, tchórze, oportuniści i cwaniacy, którzy już się ustawiają w gotowości do służenia władcy z Nowogrodzkiej. Małostkowe, paskudne”. Można całe życie zajmować się polityką, a mimo to niewiele z niej rozumieć.

Zdanie byłego redaktora naczelnego „Newsweeka” jest poważnie traktowane przez **Donalda Tuska**. Ostatnio Lis wzywał, by PO zaczęła bić się na polu migracji: „KO powinna ostro jechać z tymi imigrantami prowadzonymi przez PiS – niekontrolowane wprowadzanie imigrantów, złodziejstwo, oszukiwanie elektoratu, hipokry-

zja – PiS w pigułce. Dojechać ich tym samym, czym PiS dojeżdżał 8 lat temu PO” Co ciekawe, Tusk rady usłuchał i śmiało ruszył w tę stronę. Kampania PO jest dziś jedną wielką szarpaniną, bez żadnej myśli przewodniej. Wyjątkowo amatorska robota. Jeśli PiS nie ulegnie pokusie kopiowania konkurencji, wygra wysoko.

PO ruszyła np. z akcją plakatową ze zmanipulowanym zdjęciem Jarosława Kaczyńskiego i hasłem: „Ja jestem zagrożeniem”. Później zaproponowano internautom, by w specjalnym generatorze wskazali, czemu konkretnie zagraża lider PiS. Prośbę spełniono. Oto niektóre odpowiedzi: Kaczyński jest zagrożeniem dla „kolejnego resetu z Rosją”, „mafii śmieciowej”, „leniwych polityków opozycji”, „Sławomira Nowaka”. Można cytować bez końca. Zrobiło się sentymentalnie. Ostatni raz PO była takim pośmiewiskiem, gdy Bronisław Komorowski nieudolnie walczył o reelekcję.

Zwątpienie po stronie opozycji jest już widoczne gołym okiem. Portal wPolityce.pl twierdzi, że jedyną nadzieją Tuska jest teraz plan B. Chodzi o próbę zbudowania tymczasowej większości „wszystkich przeciw PiS”. Wszystkich, czyli także Konfederacji. „Powstały z jej poparciem rząd miałby próbować spacyfikować jedyne masowe medium niezależne od III RP, a więc TVP, oraz przeprowadzić szybkie zmiany w instytucjach gospodarczych. Kolejnym krokiem miałyby być szybkie wybory” – czytamy. Wyborcy prawicy nie powinni zakładać, że w razie czego Konfederacja wesprze rząd PiS. Mogą

Dziennikarz tygodnika „Polityka” Wojciech Szacki: „Odnoszę wrażenie, że Platforma ucięła sobie kampanijną drzemkę”. Prezes Ogólnopolskiej Grupy Badawczej Łukasz Pawłowski: „Jedyny restart kampanii, jaki ma w ręku Donald Tusk, to Rafał Trzaskowski”. Ale i Trzaskowski jako kandydat na premiera już nie pomoże, za mało czasu. A poza tym byłby to ostateczny koniec Tuska w polskiej polityce. Lider PO będzie odwlekał ten moment tak długo, jak to możliwe. Choćby do połowy października.

się gorzko zawieść! Nie warto psuć tego, co działa. Za duże ryzyko!

Co na to Konfederacja? Portal wPolityce.pl: „Z moich informacji wynika, że nieoficjalnie Konfederacja nie mówi »nie«. Także dlatego, że w tym planie premierem miałby być Tomasz Siemoniak, szef MON za rządów Tuska, dziś polityk PO raczej z drugiego szeregu. Taka nominacja miałaby podkreślać techniczność gabinetu. Kalkulacje Konfederacji są proste: przegrana PiS oznacza wprawdzie dziś oddanie władzy Tusкови, ale otwiera partii Mentzena szersze perspektywy za kilka lat. Znając życie oczywiście nic z tego nie wyjdzie, szkód jednak mogą narobić”. Wybór stojący przed Polakami rysuje się coraz wyraźniej: albo rządy Jarosława Kaczyńskiego, albo Donalda Tuska. Półcieni ubywa.

Lewicowy brytyjski dziennik „The Guardian” recenzuje film Agnieszki Holland „Zielona granica”. Oto próbką: „Kiedy afgańska nauczycielka języka angielskiego Leila (Behi Djanati Atai) natrafia na zaorane pole i desperacko prosi polskiego rolnika o wodę, ten przejęty daje jej nawet trochę jabłek i wskazuje swoje gospodarstwo, w którym uzyska dodatkową pomoc. Ale kiedy ona idąc we wskazaną stronę po chwili odwraca się do niego i widzi, jak dzwoni do kogoś na komórkę, wpada w panikę i ucieka z powrotem na skraj lasu, a on woła za nią: »Czekaj!«. Czy naprawdę chciał pomóc? A może doniesie na nią swoim władzom? Rolnicy w okupowanej Polsce czy okupowanej Francji musieli wyglądać podobnie dwuznacznie”. Drodzy czytelnicy, pamiętajcie – to jest prawdziwy program opozycji: zożydzić obrońców granic, opluć mieszkańców, wpuścić imigrantów.

W obronie polskiego munduru i polskiego państwa stanął Zbigniew Ziobro. „W III Rzeszy Niemcy produkowali propagandowe filmy pokazujące Polaków jako bandytów i morderców. Dziś mają od tego Agnieszkę Holland...” – napisał minister sprawiedliwości. Pani reżyser poczuła się urażona i zapowiedziała pozew. „W naszym kraju, doświadczonym śmiercią, okrucieństwem i cierpieniem milionów podczas II wojny światowej, porównanie do sprawców tych zdarzeń jest wyjątkowo bolesne i wymaga odpowiedniej reakcji. Stawianie mnie w jednym szeregu z propagandystami III Rzeszy jest tak nikczemne, że pozostawia zero przestrzeni na jakąkolwiek polemikę. Dodam, że jestem córką łączniczki Powstania Warszawskiego i wnuczką ofiar Holokaustu” – czytamy w jej oświadczeniu. Te słowa niczego nie zmieniają; film Holland będzie stał na półce obok „Shoah”

Claude’a Lanzmanna i służył temu samemu celowi: batożeniu Polski.

Szymon Holownia błysnął pomysłem „zniesienia oceny z zachowania”, którą określił jako „narzędzie represji”, a także zastąpienia „czerwonych pasków na świadectwie” paskami kolorowymi. „Na świadectwach polskich uczniów będą paski różnokolorowe. Jeden kolor dla wyróżniających się młodych artystów, drugi dla wspaniałych wyróżniających się sportowców, inny dla super działaczy ekologicznych, którzy już w podstawówce, w liceum pokazują, że umieją troszczyć się o planetę. Te paski staną się prawdziwą nagrodą i wyróżnieniem za to, co dajesz od siebie, co chcesz dać więcej światu i swojej społeczności, a nie tylko i wyłącznie znamię, które ma pokazać, że w wyścigu szczurów jesteś gdzieś wyżej od innych w jakiejś klasyfikacji”. W rzeczywistości na polskich świadectwach nie ma żadnych „czerwonych pasków” – jest białoczerwona flaga dla wyróżniających się uczniów. Całe szczęście, że Polska 2050 nie wejdzie do Sejmu.

Plan lidera Polski 2050 wydaje się jasny: rozwalić polską edukację, zrobić z niej coś w rodzaju imprezy Owsiaka pod hasłem „Róbta co chceta”. W obecnych warunkach cywilizacyjnych to droga do klęski. A przecież, jak napisał niedawno niemiecki „Die Welt”, Polska ma opinię „gospodarczego prymusa” i rozwija się dynamicznie także dzięki dobrej edukacji. Dziennikarze przypominają, że polscy uczniowie są w kategorii czytania ze zrozumieniem, matematyce i naukach przyrodniczych „ponadprzeciętnie mocni”. Czy dlatego Szymon Holownia ma pomysł jak nasze szkolnictwo, pewnie niedoskonałe, ale mimo wszystko trzymające elementarny poziom dawnej cywilizacji europejskiej, po prostu zaorać?

Były członek Rady Polityki Pieniężnej i doradca Donalda Tuska prof. Bogusław Grabowski w rozmowie z „Newsweekiem”: „Kolejną zbrodnią Kaczyńskiego jest podział społeczeństwa na dwie części, obydwie roszczeniowe – tę, która przyzwyczaiła się do życia z transferów społecznych i domaga się ich zwiększenia, oraz drugą, która nie chce na to płacić i domaga się niższych podatków. [...] Koszty będą dramatycznie rosły. I, co gorsza, będą się nakładać z innymi [...]. Największym problemem będzie fakt, że PiS stworzyło barierę społeczną dla zmian, bo namieszało w głowach Polaków i staliśmy się roszczeniowi”. Co za bzdury. Poziom świadek społecznych jest w Polsce wciąż znacznie niższy niż na Zachodzie, a procentowy poziom zatrudnienia – rekordowy w naszej historii. To nie nauka, to bełkot.



– *Buena sera! Senior Ricardo da Petru?*
 – Peru.
 – *Slucham?*
 – Peru, nie Petru. Nieoficjalnie, oczywiście. Tak podpisuję urzędowe dokumenty, żeby potem nie było, że jest jakieś zadłużenie. Skąd dzwoniś, młody człowieku?
 – *Z Madery. Nie uregulował pan mini-baru.*
 – Jak to? Przecież myśmy nic nie brali...
 – *Pan może nie. Ale żona pańska, to znaczy partnerka?*
 – Ile tego będzie?
 – *Nie, no, coś ty, Rysiek? Szymek z tej strony. Nie poznajesz?*
 – Zwariowałeś? Nie strasz mnie, Szymon, bo do mnie już kiedyś Lubnauer wydzwaniała. Ja mam trumnę!
 – *Traumę chyba?*
 – Traumę to z sześcioma królami. To znaczy trzema, widzisz, znowu mi się pomyliło. A ja przecież byłem wtedy u szczytu chwały, pamiętasz?
 – *A co?*
 – Że imperia wtedy padają. Tak uważam. To znaczy tak kiedyś powiedziałem i to się na moim skromnym przykładzie sprawdza. Zardzewiało noże w plecy wbiły mi te Brutusy w spódnicach. A potem komu jąja nosiły? Schetynie i Trzaskowskemu. Jak sobie przypomnę „Staszka” w barze mlecznym...
 – *Jakiego Staszka?*
 – Lubnauera. To znaczy Lubnauerową. Nie wiedziałeś, że koledzy tak na niego mówią? To znaczy, na nią, kurczę, znowu się pomyliłem. A to jest zwykły zdrajca, to znaczy zdrajczyni.
 – *Widzę, że w tobie, Rysiu, jest dużo złej energii. Może spróbujemy ją przekuć w jakiś sukces?*
 – Próbowałem. Chciałem Nowoczesną odbić z łap Szłapki, to mnie zawiesił, szczaw jeden w mirabelkach, jak gacie na płocie. Chciałem do Senatu z paktu biorącego, to mnie wysyłali tam, gdzie nie biorą. A mnie tego trzeba, jak rybie grzyba, to znaczy tlen grzybowi, to znaczy każdy grzyb rozwija przez pączki. Nadążasz?
 – *A nie chciałbyś wystartować?*
 – Kiedy?
 – *Poczekaj, bo mi znowu śmieciarka przed oczami przejeżdża... Co jest z tą świetlówką?! Rysiu, a 15 października co robisz?*
 – Filmik nagrywam. Bo ja teraz muszę codziennie. Mogę jeszcze mieć w internecie polemikę z Mentzenem. Wiesz, ja go teraz zaganiam w krowi róg...
 – *Kozi chyba?*
 – Kozi to jest ser. A ja go, wiesz, merytorycznie. Miazga, mówię ci.
 – *Bardzo fajnie. Właśnie takich ludzi, których nigdy nie było, bardzo nam potrzeba.*
 – Przecież wiem. Ale widzisz, Mentzen tego nie rozumie, bo jest za młody. Ja to w ogóle uważam, że każdy chłopak, który

Dwóch króli



KRZYSZTOF FEUSETTE

chce iść do ginekologa, powinien najpierw zająć w ciąży.

– *Pamiętam. „Cięża jest zabiegiem...”*

– „...który można przerwać od 12 do 20 miesiąca”. Trochę mi się pomyliło. Tak jest u mula.

– *Wiem, sprawdzałem, jak żeśmy się z Koboską zastanawiali, kogo na ostatnie miejsce w stolicy wystawić.*

– Z kim wygrałem?

– *Z nikim. Z samym sobą. Ty dla siebie, Rysiu, stanowisz największe zagrożenie. To co, wstąpisz?*

– Do siedziby?

– *Do partii. Przecież bez tego cię nie wystawimy. Chcesz być twarzą, musisz zostać członkiem, tak to działa.*

– Tylko wiesz, ja jestem przeciw 500+.

– *Bardzo dobrze. My też. Wszystko inne jest obstawione. Jedni wprowadzili, drudzy mówią, że zrobiliby to samo, gdyby znaleźli pieniądze, więc co my mamy mówić?*

– Mówcie, że będziecie rządzić. Ja mówiłem i bardzo nam wtedy podskoczyło.

– *Ciśnienie?*

– Poparcie. Nawet mieliśmy 20 proc., ale potem musiałem lecieć do Portugalii.

Wiesz, w interesie partyjnym.

– *W czym?*

– Było, minęło. Nie będziemy teraz mieszać filizanką w szklance bez cukru.

– *OK. W końcu takie mamy hasło: dość kłótni i do przodu! A ja zawsze dodaję: zrobimy tę robotę.*

– Czyli?

– *Czyli to jest przyprawa. Pomyślimy, rozpiszemy, zrealizujemy. No, chyba że znowu nam szczęście nie dopisze. Ale na to to ja już wpływu nie mam.*

– A Kosiniak-Konisz co mówi? Komysz, przepraszam.

– *Na ciebie? Co oni mają do gadania, jak Dziambora wzięli? Każdy ma swojego Giertycha na ostatni numer.*

– Ale wiesz, ja tego Mentzena rozprawdę w drobny mak. Głowa mu się od góry popsuje, jak mu pokażę swój eksperyment.

– *To znaczy?*

– Nie oglądałeś na TikToku? Karty, dmuchawa, szklanka wody i leży.

– *Ale kto?*

– No, Mentzen! Pokazujesz, że woda niszczy domek z kart, ale dmuchawa bardziej. Nie, poczekaj, dmuchawa mniej, a woda bardziej. W każdym razie to działa.

– *Na wizerunek? Widzisz, Rysiu, ja uważam, że skromność to jest zaleta, ale fałszywa. A fałszywa zaleta staje się wadą. Znam swoją wartość i stąd moja niechęć do krytyki. To tak na koniec, żebyśmy wiedzieli, w jakim punkcie jesteśmy: ile jest krajów na świecie?*

– Oczywiście, że ci powiem. Poczekaj, jak się jedzie na południe od Warszawy to jest Ciechanów... Nie, to jest na południe... Sto trzydzieści parę? Ale jak to powiedziałem, wszyscy się śmiali. Sto czterdzieści parę? Kameruna, oczywiście, nie liczę. Bo to był prezydent. Wielkiej Brytanii.

I się zaczęło. Można się było tego spodziewać. 40 dni przed wyborami ruszyła akcja: „Głos oddany na Lewicę, to głos stracony”. Na razie zaczęła „Gazeta Wyborcza”, ale za nią pewnie ruszą politycy PO. Czyżby już powtarzał się scenariusz z 2015 r., gdy Donald Tusk przekonywał Polaków, że nie warto głosować na ówczesne SLD?

Wówczas liderowi Platformy udało się zepchnąć SLD pod próg wyborczy. Oczywiście i Sojusz popełnił masę błędów. Największym była koalicja z Palikotem i głębokie przekonanie, że wyniki obu partii się sumują. Jak się okazało, nie zsumowały się, koalicja wyładowała pod progiem, SLD musiało się pożegnać z parlamentem na cztery lata, zaś PiS mogło się cieszyć samodzielną większością. Błędów SLD było więcej, a i nie pomogła debata Barbary Nowackiej z Adrianem Zandbergiem.

Dziś ta sama „Gazeta Wyborcza”, która próbowała swoim sondażem obywatelskim, przez niektórych zwanym „szantażem obywatelskim”, zmusić partie opozycyjne do jednej listy, straszy Lewicę ucieczką jej wyborców do Tuska: „Aż co trzeci wyborca partii Włodzimierza Czarzastego zamierza na ostatniej prostej przerzucić głosy na najsilniejszego gracza, czyli na Tuska” – informuje „GW”.

Dlaczego? Gazeta tłumaczy, że elektorat kierowany myślą, że „skoro październikowe wybory będą najważniejsze po 1989 r.”, to lepiej postawić na partię, która przeciwstawi się PiS i z pewnością dostanie się do parlamentu, niż na tę, która „i tak nie ma szansy na samodzielne rządy”.

Według publicystów „GW” z niezależnych badań wynika, że partia Włodzimierza Czarzastego nie wchodzi do Sejmu. Arkadiusz Gruszczyński twierdzi, że w sztabie Lewicy panuje konsternacja, a wymowa tego tekstu jest jednoznaczna: nie warto głosować na taką Lewicę!

Gdy tylko doszło do rozłamu na Lewicy i jej szeregi opuściła część działaczy z Andrzejem Rozenkiem i marszałek Gabrielą Morawską na czele, pisałam, że owi działacze chętnie przykleją się do Donalda Tuska i jego listy, a ten ogłosi, że politycy Lewicy są u niego, więc po co głosować na mniejsze partie.

Ością w gardle

Gdy w wielu sondażach Trzecia Droga wyładowała pod progiem wyborczym, rusza nowy atak na Lewicę, której w ostatnich tygodniach Tusk odpuszczał

Ten scenariusz częściowo już został zrealizowany. Część rozłamowców znalazła miejsce na liście Koalicji Obywatelskiej. Dołączyła do nich jeszcze Hanna Gili-Piątek, która przed Polską 2050 była posłanką Lewicy właśnie, oraz Karolina Pawliczak. Jak do tego dorzucimy Romana Giertycha i Michała Kołodziejczaka, to mamy kadłubek jednej listy. A dziś „GW” przekonuje, że nie warto głosować na Lewicę. Za chwilę to samo usłyszymy z ust polityków PO.

Tym bardziej że tę narrację już w styczniu zaczął prof. Radosław Markowski. „Głosowanie na partię największą – trzydziestokilku-, czterdziestoprocentową – jest trzykrotnie silniejsze niż na partię paroprocentową. Zatem w pewnym momencie, przynajmniej

ja, jako zatroškany obywatel, niezależnie od tego, która z partii opozycyjnych będzie największa – albo blok tych partii – będę ostro namawiał, żeby każdy z nas, kto pójdzie do wyborów, zmnożył swój głos trzykrotnie, oddając go na partię silniejszą” – tłumaczył Markowski.

Donald Tusk i jego medialni akolici poświęcili ostatnie miesiące na zwalczanie Szymona Hołowni i Polski 2050, a później Trzeciej Drogi. Gdy w szeregu sondaży Trzecia Droga wyładowała pod progiem wyborczym, rusza nowy atak na Lewicę, której w ostatnich tygodniach Tusk odpuszczał. Lider PO dramatycznie potrzebuje głosów lewicowych wyborców, jest dziś bowiem w oplakany stanie. I widzą to także politycy opozycji. Posłanka Beata Maciejewska, która odeszła z Nowej

Lewicy i planowała start do Senatu poza paktem senackim, ostatecznie zdecydowała się nie rejestrować swojej kandydatury, tak to tłumaczył: „Decyzja moja podyktowana jest faktem, iż szanse opozycji na przejęcie władzy z sondażu na sondaż okazują się coraz mniejsze, jeśli nie zerowe”.

W licznych rozmowach w „Kwadransie politycznym” TVP oraz w „Gorących pytaniach” telewizji wPolsce.pl pytałam swoich gości z Lewicy, co będzie, jeśli Tusk zdecyduje się powtórzyć scenariusz z 2015 r. i zacznie zniechęcać do głosowania na Lewicę. Wielokrotnie słyszałam wtedy, że Lewica stanie mu ością w gardle. Chyba nadszedł moment, że trzeba zacząć stawać. Bo potem może być za późno.

Dorota Łosiewicz



The New York Times” nazwał go „obietującym” a magazyn „Time” gwiazdą „dla tych, którzy uważają, że cancel culture zagraża Ameryce”. Vivek Ramaswamy, przedsiębiorca z branży farmaceutycznej oraz autor książek o wojnie kulturowej, wspiął się na trzecie miejsce w walce o nominację w prawyborach Partii Republikańskiej.

W tym wyścigu prowadzi Donald Trump (52 proc.), na drugim miejscu jest gubernator Florydy Ron DeSantis (14 proc.). Jednak Ramaswamy, do niedawna postać zupełnie nieznana, cieszy się już 10-proc. poparciem i ma nadzieję, że uda mu się prześcignąć DeSantisa. W pierwszej debacie republikańskich kandydatów w stanie Wisconsin (bez udziału Trumpa) wypadł zaskakująco dobrze. W każdym razie tak ocenili jego występ widzowie, a więc potencjalni wyborcy. Ramaswamy zaprezentował się jako biznesmen, który wszystko zawdzięcza sobie i nie da się skorumpować. Twierdzi, że chciałby przywrócić Stanom Zjednoczonym narodową tożsamość, niszczoną przez – jak to określił – nowe świeckie religie: COVID-19, klimatyzm i ideologię płci.

Ramaswamy mówi o sobie, że jest amerykańskim nacjonalistą. Chce zmniejszyć administrację federalną, ograniczyć imigrację, inwestować w ropę, gaz i energię atomową oraz zakazać aborcji. Ruch LGBT+ to dla niego sekta. „New York Times” określił go mianem Trumpa na sterydach.



To dotyczy także polityki zagranicznej. Ramaswamy określa się jako realista i odwołuje do spuścizny Richarda Nixona, „najbardziej niedocenionego prezydenta w historii”. Ameryka pod jego rządami przestałaby być „wujkiem frajerem”. Na łamach „The American Conservative” pisał o przywróceniu doktryny Monroego, która była fundamentem amerykańskiej polityki izolacjonizmu. „Nie można wkraczać na naszą półkulę. Inne państwa muszą zachować dystans (w przeciwnym razie będą tego żałować)” – zaznaczył. Jednocześnie opowiedział się za większymi nakładami finansowymi na flotę wojenną i nowymi umowami handlowymi. Chiny to, zdaniem Ramaswamy’ego, największe zagrożenie dla USA, dlatego należy wbić klin między Pekin a Moskwę. W tym celu należy

zmusić Ukrainę do zawarcia pokoju z Rosją, nawet za cenę oddania Kremlowi części ukraińskich terytoriów. Rozszerzenie NATO? W żadnym wypadku. Polityk zapowiedział też zniesienie sankcji nałożonych na Rosję i przywrócenie jej na rynek światowy.

Amerykańskie media nazwały pomysły Ramaswamy’ego „dziecinnymi”, a sami realisci, jak Stephen Waltz, zarzucili mu „myślenie magiczne”. Ramaswamy ma małe szanse na zwycięstwo w prawyborach. Trump prowadzi zdecydowanie, a ewentualność, że wybierze go na swojego wiceprezydenta, jest na szczęście niewielka.

Aleksandra Rybińska



31 sierpnia ok. godz. 23 w miejscowości San Benedetto dei Marsi w pobliżu Parku Narodowego Abruzzi doszło do wydarzenia, które wywołało burzę medialną we Włoszech. 56-letni rzeźnik Andrea Leombruni strzałem z karabinu zabił niedźwiedzicę, która wdarła się do kurnika na terenie jego gospodarstwa. Miejscowym leśnikom znana była pod imieniem Amarena. Dwa dni później odnaleziono pozostałości przez nią dwa małe niedźwiadki.

Władze gminy opublikowały pośmiertne wspomnienie poświęcone niedźwiedzicy, zwracając się do niej słowami: „Społeczność Villalago przyjęła

i chroniła ciebie, ciebie i twoje szczenięta, mogąc z szacunkiem podziwiać spektakl natury”. Szef Parku Narodowego Lucio Zazzara oświadczył, że zabicie zwierzęcia „jest przejawem niebezpiecznej subkultury, która w dalszym ciągu opowiada się za brutalnym podejściem do istniejących już problemów w relacjach człowiek–przyroda”. Prezydent Abruzzi Marco Marsilio potępił Leombruniego, dodając, że jest gotowy, aby jego „region wystąpił jako strona cywilna przeciwko temu przestępcy, by chronić wizerunek i reputację naszego narodu”.

Oczywiście prokuratura wszczęła dochodzenie przeciw rzeźnikowi, któ-

remu grozi kara od czterech miesięcy do dwóch lat więzienia za spowodowanie śmierci zwierzęcia z okrucieństwem lub bez konieczności. Biegły ekspert w dziedzinie balistyki ma ustalić dokładną trajektorię lotu pocisku, tak jak się to robi w przypadku zamordowania człowieka. Leombruni wyraził co prawda żal z powodu swojego czynu, jednak okazało się to niewystarczające dla obrońców praw zwierząt, którzy upublicznili jego imię, nazwisko, adres i numer telefonu. Od tej pory stał się obiektem zmasowanych ataków w mediach. Zaczął też otrzymywać anonimowe telefony z groźbami śmierci, a obok jego domu wymalowano mural przedstawiający szkielet strzelający z karabinu i napis „sprawiedliwość”.

Obserwując to wzburzenie w przestrzeni publicznej, wypada tylko wyrazić żal, że podobne emocje nie towarzyszą dziś zabijaniu ludzi, a zwłaszcza dzieci.

Grzegorz Górny



Koniec dynastii

Gabon

Położony nad Atlantykiem Gabon jest kolejnym krajem frankofońskiej Afryki, w którym w ostatnim czasie doszło do zamachu stanu. Wcześniej wojskowi przejęli władzę w Nigrze, Mali, Gwinei, Burkinie Faso i Czadzie. Tym samym francuskie wpływy w Afryce skurczyły się do zaledwie kilku państw.

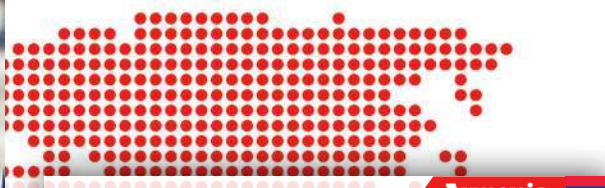
Wydarzenia nastąpiły bardzo szybko. Nad ranem 30 sierpnia żołnierze elitarnej Gwardii Republikańskiej weszli do rezydencji prezydenta Alego Bongo [na zdj.] i nałożyli na niego areszt domowy. Dwa dni wcześniej Bongo wygrał wybory prezydenckie i szykował się do rozpoczęcia swojej trzeciej kadencji. Istniały jednak uzasadnione podejrzenia, że wybory, w których otrzymał on 64 proc. głosów, zostały przez niego sfałszowane. Junta wojskowa zdecydowała więc o unieważnieniu wyników głosowania, co wywołało duży entuzjazm wśród ludności.

Nie da się ukryć, że Gabończycy mieli już dość epoki Bongo. Obalony prezydent stał na czele państwa od 2009 r. i przejął władzę po swoim zmarłym ojcu Omarze, który rządził Gabonem od 1967 r. Kraj, będący formalnie republiką, stał się w rzeczywistości dziedziczną monarchią, której kolejni władcy – ojciec i syn – sprawowali dyktatorską władzę, bezwstydnie pomnażając przy tym swoje majątki.

Gabon należy do potencjalnie najbogatszych krajów Afryki, posiada duże złoża ropy naftowej i jest członkiem kartelu naftowego OPEC. Ma również zasoby złota i manganu. Jednak w tym państwie – mimo zysków z naftowego eldorado, którymi rodzina Bongo dzieliła się z francuskim koncernem Total – większość społeczeństwa żyje w trudnych warunkach. Rolnictwo praktycznie nie istnieje, a żywność jest importowana. Piękne lasy są rabunkowo wycinane przez Chińczyków. Brakuje dróg i usług publicznych. Za to familia Bongo stała się tak bogata, że mogła sponsorować kariery francuskich polityków. Omar Bongo przekazywał pieniądze m.in. na kampanię Jacquesa Chiraca oraz jego następcy Nicolasa Sarkozy'ego. W zamian Francja roztaczała polityczną opiekę nad Gabonem.

Kilka lat temu Paryż zaczął ograniczać swoją obecność w dawnych koloniach, co wytworzyło próżnię, którą z powodzeniem wypełnili Chińczycy i Rosjanie. W przypadku Gabonu trudno jednak – przynajmniej na razie – mówić o zmianie geopolitycznej. Zamach stanu wygląda raczej na kłótnię w rodzinie, tym bardziej że lider junty gen. Oligua Nguema jest kuzynem obalonego prezydenta. Niewątpliwie jednak bierność Francji, widoczna choćby w Mali i Nigrze, zachęcała zamachowców do sięgnięcia po władzę. Kolejne wstrząsy w Afryce mogą mieć jednak poważne konsekwencje dla Europy. Nie tylko geopolityczne, ale przede wszystkim migracyjne.

Konrad Kołodziejwski



Armenia

Dalej od Moskwy

Premier Armenii Nikol Paszinian powiedział w wywiadzie dla włoskiego dziennika „La Repubblica”, że strategicznym błędem jego kraju było budowanie polityki bezpieczeństwa wyłącznie w oparciu o Rosję. Jego zdaniem Moskwa albo nie chce, albo – z powodu wojny na Ukrainie – nie jest w stanie utrzymywać swojej obecności wojskowej na Zakaukaziu i faktycznie opuszcza ten region.

Deklaracja Pasziniana jest związana z sytuacją wokół Górskiego Karabachu, zamieszkałego przez Ormian quasi-niezależnego państwa, które z Armenią łączy tzw. korytarz łączyński. Kontrolę nad tym strategicznym obszarem przejął Azerbejdżan, mimo że według porozumienia z 2020 r. kończącego wojnę między obydwojema krajami korytarz powinien pozostać otwarty dla przepływu ludzi i towarów, a nad przestrzeganiem tego porozumienia miał czuwać rosyjski kontyngent wojskowy. W grudniu 2022 r. Azerbejdżan rozpoczął jednak stopniową blokadę Górskiego Karabachu, a pół roku później całkowicie wstrzymał ruch towarów przez korytarz łączyński. Armenia twierdzi, że w ten sposób Azerowie chcą zmusić tamtejszych Ormian do całkowitego opuszczenia Karabachu.

Władze w Erywaniu zarzucają Rosji, że ta próbuje realizować kosztem Armenii własne cele strategiczne i prowadzi przebiegłą grę wokół Górskiego Karabachu. Mieszkający tam Ormianie zaczęli bowiem otrzymywać rosyjskie paszporty, język rosyjski został uznany za drugi urzędowy, a wiosną ubiegłego roku funkcję premiera Karabachu objął oligarcha Ruben Wardanian, będący obywatelem Federacji Rosyjskiej. I choć kilka miesięcy później ustąpił on ze stanowiska, to Rosjanie mogą jeszcze chcieć go wykorzystać. Celem Moskwy ma być utrudnienie normalizacji stosunków między Armenią a Azerbejdżanem w myśl zasady dzieli i rządź.

Już wcześniej armeński rząd ostrzegł, że w związku z obecną sytuacją i niewywiązywaniem się Moskwy z zobowiązań sojuszniczych, rozważa dalszą obecność Armenii w posowieckim bloku wojskowym OUBZ. Wypowiedź Pasziniana można więc odczytać jako kolejny krok w stronę rozluźnienia relacji z Moskwą.

Marek Budzisz



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wybory nie są ponurą farsą!

Uprogu wyborów skoncentrujemy się na dobrych myślach i uczynkach, ponieważ wrogowie wypychają nas w odmęty ponurego szaleństwa. Ich codzienne kłamstwa, awantury są trudne do zniesienia. Musimy sobie z tym jakoś radzić. Jesteśmy ludźmi chrześcijańskiego miłosierdzia, uczestnikami mszy za ojczyznę, podczas których błogosławiony kapłan nauczał nas, by zło dobrem zwyciężać. Otoczmy cierpliwą wyrozumiałością nie zrównoważonych politycznie, rozchwianych moralnie aktywistów totalnej opozycji. Bulgocząca im w gardłach wściekłość uniemożliwia skonstruowanie sensownego zdania w dowolnej sprawie.

Przy okazji składam wyrazy głębokiego szacunku pani marszałek Elżbiecie Witek za jej opanowanie i stoicki spokój w prowadzeniu Wysokiej Izby przez wzburzone morze zdradzieckich namiętności. Gdyby to ona przewodziła obradom sejmu rozbiorowego w Grodnie w 1793 r. losy Polski mogły potoczyć się dużo lepiej. Ówczesny marszałek Stanisław Kostka Bieliński poległ na polu hańby jako ruskie popychadło. Hrabia od siedmiu boleści, marionetka z panteonu zdrady narodowej.



**Jan
Pietrzak**

Niestety, nie jeden paskudny wątek z naszej heroicznej historii do dzisiaj daje o sobie znać. Pamiętam odpowiedź marszałka Zycha u progu III RP na żądanie ujawnienia poselskich finansów. – Gdyby posłowie złożyli uczciwe sprawozdania podatkowe, byłoby 460 podejrzanych! Późniejsze lata... Spóźniony poseł wpada zdyszany na salę obrad i słyszy: „Sto lat, sto lat!”. Pyta kogoś: „Czyje dziś imieniny?”. „To nie są imieniny. Uchwalamy nowy wiek emerytalny!”. Działo się to pod rządami Tuska. Chodziło o to, by jak najmniej ludzi płacących składki na ZUS zdążyło z nich skorzystać. Okradanie Polaków było głównym celem ówczesnego rządu. Mieli płacić na swoje emerytury, których nigdy nie dostaną. Stąd pamiętne oświadczenie ministra finansów: „Piniendzy ni ma i bendzie”.

Wracając do *ad remu*, jak mawiał inny mówca, był taki moment, że Sejm odesłał do poprawki ustawę o ochronie języka ojczystego, ponieważ jej nie rozumiał. Nie była kompatybilna z etosem konsensusu. Śmieszne? To dobrze. Wybory są naprawdę radosnym świętem demokracji, a nie ponurą farsą.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Kiełbasa Nałęcz

Polityk i publicysta Tomasz Nałęcz ma doskonałą pamięć, jak przystoi historykowi. Stwierdził ostatnio, że przed I wojną (to okres nieco wcześniejszy od jego zawodowych zainteresowań, związanych z II RP) politycy z własnej kieszeni fundowali wyborcom kiełbasę. Oraz wódkę i piwo, jak przypomina były wicemarszałek Sejmu (a także kiedyś radny, poseł i szef sztabu wyborczego wyjątkowo obrzydliwego postkomunistycznego kandydata). Dawniej zamożni ziemianie mieli korumpować biednych chłopów, aby oddawali na nich głosy. Co, najpewniej, jest prawdą.

Prof. Nałęczowi ta praktyka przywołuje na myśl działania polityków obecnie rządzących – przypomnijmy: nie są ziemianami i wielkimi majątków nie posiadają, ale uczestniczą w piknikach i festynach finansowanych przez państwo (samorządy?), które mają im przysporzyć głosów.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że pan eksmarszałek przywołuje poziom intelektualny parobków z końca XIX i początku XX w. do współczesnych rolników, często dobrze wykształconych i rozumiejących świat lepiej niż on. To klasyczna lewicowa pogarda dla ludzi, którzy żyją w małych polskich wioskach i miasteczkach, a willi na zamkniętym osiedlu w warszawskim



**Dominik
Zdort**

Wawrze na oczy nie widzieli. Jak rozumiem, dziś mądrzy i wartościowi są wyznawcy ideologii LGBT+ z Wilanowa, bo „głupków” z prowincji władza może przekupić hot dogiem na wiejskim festynie.

Przypomnijmy, bo warto w tym przypadku, że Tomasz Nałęcz jest w lewicowej tradycji głęboko zakorzeniony. Już jako student zapisał się do komunistycznego Związku Młodzieży Socjalistycznej, od 1970 r. należał do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (był nie szeregowym, ale prominentnym działaczem: sekretarzem komitetu uczelnianego PZPR), tej, która na zlecenie Sowietów realizowała ich nadzór nad Polską, niszczyła państwo i jego gospodarkę, zakłamywała tę ukochaną przez Nałęcz historię.

Pan profesor w końcu zauważył, że postawił na złego konia. Chwała mu za to, doceniam jego rolę w latach późniejszych, także w komisji badającej sprawę Michnika–Rywina.

Ale czy ten człowiek, któremu przez wiele lat nie przeszkadzały festyny „Trybuny Ludu” i inne, na których jego totalitarna partia lansowała swoich (a potem fałszowała głosowanie), ma teraz moralne prawo, aby atakować ugrupowanie, które zdobyło władzę w demokratycznych wyborach? Oto jest pytanie.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

BRONISŁAW WILDSTEIN

Zniszczyć rodzinę

Dyskutowałem niegdyś w telewizji na temat ruchu hipisowskiego i szerzej – całej kontestacji z jej pogrobowcem i rzecznikiem. Uważał się za filozofa, miał nawet doktorat w tej dziedzinie. Tłumaczył, że moje spojrzenie na rodzinę wyrasta z poznawczych ograniczeń, bo przecież istnieją najrozmaitsze jej formy i nie ma powodu, aby nie wyparły one właściwego dla cywilizacji zachodniej monogamicznego modelu. Chciało mi się śmiać, gdyż znałem jego i jego żonę (wcześniej partnerkę), z którą grzecznie związany od dziesiątków lat nie próbował nigdy choćby na jotę zmienić tego układu. Wołałem sobie nie wyobrażać, jak zareagowałaby ona na taką inicjatywę. Oczywiście nie odwołałem się do tej wiedzy, poza innymi względami nie miałyby ona wagi argumentu. Tłumaczyłem natomiast, że przykłady egzotycznych kultur, do których się odnosił, były mu, jak nam wszystkim, słabo znane i moim zdaniem mocno zmistyfikowane przez antropologów, zafascynowanych odmiennością badanych ludów.

Wprawdzie istnieją cywilizacje, w których na najwyższych szczeblach drabiny społecznej funkcjonuje wielożeństwo, wyznaczające status liderów wspólnoty, ale nie o tak skrajnie patriarchalny układ mojemu rozmówcy przecież chodziło. Nawet muzułmańska poligamia jest mocno ograniczona i dotyczy wyłącznie wyższych klas – mąż ma obowiązek utrzymywać żony. Matriarchat jest mitem, o którym nic nie wiemy i na którego istnienie nie mamy żadnych dowodów.

Współczesne opowieści o nowym modelu rodziny oznaczają faktycznie zniszczenie jedynego, który istnieje. Stanowią element destrukcji całej cywilizacji zachodniej w imię tworzenia czegoś zupełnie nowego, o czym nie mamy pojęcia. Jak zawsze w wypadku ideologii, nowy wspaniały świat jest niezwykle mglisty, konkretna za to jest ruina tego, który znamy. Współcześnie emancypacja, czyli wyzwolenie, odnosi się do ograniczeń społecznych, a więc oznacza wyzwolenie człowieka z kultury, a ponieważ takiego osobnika nie jesteśmy nawet w stanie sobie wyobrazić, musimy uwierzyć, że dopiero w tej, nieznaney nam, postaci, zgodnie z piosenką Lennona rozwinie on skrzydła i ujawni to wszystko, o czym jeszcze nie wiemy. Wprawdzie doświadczenie i zdrowy rozsądek podpowiadają nam co innego, ale wyznanie nie liczy się z nimi. W rzeczywistości ideologia wymaga ślepej wiary dużo bardziej niż religia. I pasji. Destrukcyjnej. To, jak niszczyć, co jest, akurat wiemy. W tej dziedzinie praca wre dziś na wszystkich możliwych poziomach.

KO obiecuje nam, że po zwycięskich wyborach wprowadzi prawnie związki partnerskie. Dlaczego? A dlaczego by nie,

skoro i tak są – słyszymy. Uzasadnić jednak trzeba wprowadzanie norm prawnych, a nie i ich brak. Inaczej będziemy mieli do czynienia z degradacją prawa, co stanowi zmore naszych czasów. Skoro ludzie żyją ze sobą w niezalegalizowanych związkach i nie prowokuje to żadnych problemów, to po co im sankcja prawna? Tworzy ona erzac małżeństwa, a tym samym kwestionuje jego sens. Po co wchodzić w założenia trwały układ, skoro można zastąpić go niewiążącym substytutem? Wpłyne to jeszcze bardziej na niestabilność związków, na czym ucierpią słabsi: dzieci, także kobiety, bo to one są w tych relacjach, zwłaszcza jeśli mają potomstwo, stroną słabszą. Nic dziwnego, że coraz bardziej wstrzymują się przed rodzeniem.

I dobrze! – skomentują rzecznicy ideologii emancypacji oraz tłum podążający z duchem czasu, który zdominował bez reszty naszą rzeczywistość i ma dziś oblicze zarówno najbardziej trywialnej kultury masowej, jak i jej elitarnego, co nie znaczy mądrzejszego, uniwersyteckiego wcielenia. Mamy się wyzwalać z wszelkich naturalnych ograniczeń, bo sama natura została nam podobno narzucona przez patriarchalną kulturę. Oglądamy więc na wszelkich możliwych ekranach rodzinę jako najbardziej niebezpieczne dla człowieka środowisko, czytamy o tym i o tym, jaką wolność zapewni wyzwolenie się od jej ograniczeń. Dzieci, wierność partnerowi i odpowiedzialności za niego to po prostu dziderskie przeżytki.

Konwencja stambulska, którą wprowadziliśmy w normatywny porządek naszego państwa, sam podział ról w małżeństwie uznaje za niedopuszczalny akt przemocy. Małżeństwo jest więc jego wyrazem i im pręcej zaniknie, tym lepiej. Co to za karnawał, jeśli ciągle jesteśmy związani z tym samym partnerem? Tego, że karnawał zawsze kończy się postem i trwa ograniczony czas, infantylny współczesny osobnik nie chce przyjąć do wiadomości. Odpowiedzialność jawi się mu jako ograniczenie, z którego musi się wyswobodzić. To, że efektem takiego przedsięwzięcia będzie skazany na katastrofę tłum samotnych, sfrustrowanych indywiduów, tego wyznawca kultury emancypacji nie jest w stanie pojąć.





Walizka Zbigniewa Kuźmiuka

posła do Parlamentu Europejskiego, polityka PiS, ekonomisty

Oczywiście zasadniczą część moich aktywności to Bruksela i Strasbourg. Ponieważ jestem europosem trzecią kadencję, tych podróży jest bardzo dużo. Tak na prawdę są to nie tylko sesje, które odbywają się w Strasbourgu, ale także prace komisji. Każdy poseł powinien być przynajmniej w dwóch. Ja pracuję w Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi oraz Komisji Budżetowej, które są zwoływane co dwa tygodnie. Oprócz tego są tak zwane tygodnie polityczne, które odbywają się przed sesją w Strasbourgu i Brukseli. Ponieważ funkcjonujemy we frakcjach politycznych, uzgadniamy wspólne stanowisko dla delegacji krajowych. Prawo i Sprawiedliwość należy do grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów.

Jeżeli odpoczywam, to tylko z rodziną i przeważnie w kraju. Naszymi ulubionymi miejscami są Hel i Jurata. Od kilkunastu lat tam jeździmy, choć moja najstarsza wnuczka – licealistka – zaczyna się buntować i zapowiada, że na następne wakacje z nami nie pojedzie. Za to dwoje młodszych wnuków kocha morze i będą nam dalej towarzyszyć. Jeżeli chodzi o góry, to uwielbiamy Krynice Górską. W okresie zimowym jeździmy tam na narty, ale nie jakoś wyczynowo, dlatego wybieramy nieduże górkę. Ponieważ mieszkamy w Radomiu, miejscem bardzo bliskim, które szczególnie upodobała sobie moja żona, jest Kazimierz Dolny. Lubimy tam wyskakiwać na jeden dzień, pospacerować po rynku czy wąwozach.



GRA

Element, który towarzyszy mi wyłącznie w wyjazdach rodzinnych. Mam trójkę dzieci i trójkę wnuków, a ta gra z racji zasad łączy pokolenia i angażuje wszystkie grupy wiekowe. Funduje dużo emocji i zmusza do wysiłku umysłowego.



Fot. Andrzej Wiktor



TABLET I STOJAK

Bardzo się do nich przywiązałem. Był niezbędny zwłaszcza w okresie lockdownów, gdy komentowanie zdarzeń politycznych w studiach telewizyjnych było niemożliwe. Ten komplet plus słuchawki służy mi do tej pory, gdy będąc w Brukseli, przez Skype łączę się z dowolną redakcją.



KALENDARZ

Choć mógłbym prowadzić kalendarz w laptopie, jestem przywiązany do formy papierowej. Jest wykorzystywany w Belgii, ale też w kraju, gdzie mam multum zajęć politycznych: różnego rodzaju spotkania i uroczystości.



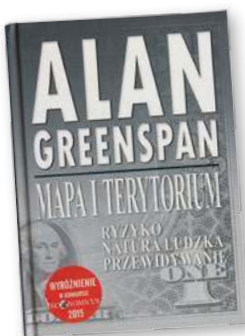
MATA

Po tylu latach spędzonych w samochodzie i za biurkiem mój kręgosłup zaczyna się odzywać. Matę otrzymałem w prezencie od córki. Pokryta dziesiątkami plastikowych kółeczek działających jak akupunktura i akupresura, ma silne działanie pobudzające, które przynosi plecom wielką ulgę. Wzmacnia również odporność na trudy pracy. Niech politycy opozycji mają tego świadomość.



GREENSPAN

Z wykształcenia jestem ekonomistą, zajmuję się sprawami finansów publicznych i budżetów, więc tę lekturę uważam za szczególnie interesującą. Książka Greenspana, wydana po amerykańskim kryzysie finansowym w 2007 r., jest również przyczynkiem do tego, co się działo w Europie. Teraz gospodarka światowa przeżywa mnóstwo kryzysów, więc rozważania autora są, niestety, stale aktualne.



KRAJOBRAZY I ZABYTEK

Jedna z pozycji dotyczy polskich zamków. Mamy się czym pochwalić i co pokazać. Co więcej, w ostatnich latach bardzo mocno w to inwestujemy. W związku z tym to przyciąga uwagę turystów. Na zachodzie też jest dużo zabytków, ale podupadają, niestety.



ORLEN

Gdy był lockdown i nie latały samoloty, dużo jeździłem samochodem. Byłem zbudowany tym, że polskie stacje benzynowe świeciły przykładem na tle tych zachodnich. Teraz, gdy Orlen wszedł na rynek niemiecki, nasi sąsiedzi mają okazję przekonać się o tym osobiście. Niemieckie stacje Orlenu cieszą się coraz większym zainteresowaniem nie tylko dlatego, że jest na nich



schludnie i czysto, ale również z powodu całej gamy towarów także żywnościowych, dla których Niemcy specjalnie przyjeżdżają.



RÓŻANIEC

Jestem praktykującym katolikiem, a ten różaniec podarował mi nowy biskup radomski. Zabieram go ze sobą wszędzie i niejednokrotnie mi pomógł. Zwłaszcza w samolocie jest czas, by trochę pomedytować i dziesiątkę różańca odmówić.

KUBEK

Jestem herbaciarzem i fanem czarnych herbat.



PRZEPUSTKA

To jest jedyny dokument, którym posługuje się europoseł. Karta otwiera wszystkie bramki i drzwi. Po zamachach terrorystycznych w budynkach instytucji europejskich wszystko jest uzbrojone w elektroniczne blokady i systemy. Jeżeli w wyborach do polskiego Sejmu zdobędzie odpowiednią liczbę głosów, przepustka przestanie być potrzebna. Zbliżające się wybory są najważniejsze po 1989 r., bo będą decydowały o przyszłości Polski i Europy. To nie jest tylko frazes. W przeciwieństwie do PO jesteśmy przeciwnikami projektu, według którego kraje członkowskie stracą kompetencje na korzyść Komisji UE z dominacją niemiecką.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Gdy dowódca ma kota

Odezwał się ruski pilot śmigłowca, który uprowadził maszynę i wylądował nią na lotnisku w Połtawie. Okazuje się, jak przypuszczano, że lotnik był wzmowie z wywiadem wojskowym Ukrainy (HUR). Według relacji przedstawiciela Głównego Zarządu Wywiadu Andrija Jusowa na wspólnej konferencji z pilotem Maksimem Kuźminowem wyjaśniło się, że HUR przez pół roku wspólnie z pilotem organizował akcję uprowadzenia na Ukrainę helikoptera Mi-8 AMTSH. Przed wylotem z Federacji Moskiewskiej ewakuowano nawet jego rodzinę. Maszyna wykonała lot pomiędzy dwiema bazami lotniczymi – 300 km za linię frontu – i przewiozła jeszcze części do myśliwców Su-27 i Su-30 SM. Śmigłowiec jest w świetnym stanie (nówka sztuka), a operacja nosiła kryptonim „Sikorka”. Dzielny pilot chce teraz pomagać Siłom Zbrojnym Ukrainy, uważa bowiem, że cała ta wojna jest zbrodnią Kremla. Na pytanie, czy Kuźminow wstąpi w szeregi ukraińskiej armii, Andrij Jusow odpowiedział: „Czekamy na szczegóły, ale może tak”. Zostało jeszcze trochę sprawiedliwych w Kacapii.

Tenże pilot Maksym Kuźminow stwierdził, że dowódcy armii rosyjskiej „żyją wygodnie, nawet jeśli jest to sprzeczne z jakimkolwiek prawem i przepisami”.

W rozmowie z dziennikarzem i blogerem Wołodymyrem Żołkinem opowiedział historię dowódcy rosyjskich sił powietrznych, który dwoma helikopterami transportował swojego kota. „Nasz dowódca musiał przewieźć kota, a kota ma rasowego. W tym celu przydzielono dwie załogi śmigłowców Mi-8 i Mi-24. Oznacza to, że dwa helikoptery wiozły to cudowne zwierzę z Rostowa do Jeisk – transportowy Mi-8 i chroniący go szturmowy Mi-24”. Kuźminow zauważył, że na pokładzie było wówczas sześciu żołnierzy, a lot do wskazanej osady trwał ok. godziny. „Lotnictwu Federacji Moskiewskiej brakuje pilotów” – podsumował. U nas w kawa-

lerii obowiązywała zasada: „Najpierw koń, potem jeździec”, co było w pełni uzasadnione bezpieczeństwem i efektywnością działania oddziału. I u Ruskich widać rządzi podobna reguła. Najpierw kot, potem żołdat. Ale jaki w tym sens? To wie tylko właściciel futrzaka.

48-letni poborowy Michał Piczugin trafił do jednostki w Orenburgu i miał zostać wysłany na front. Nieco podstarzały szeregowiec przed wyjazdem na wojnę postanowił nieco się odstresować z kolegami z plutonu. Trudno się chłopom dziwić, że razem wybrali się nad rzeczkę celem spożycia większej ilości alkoholu i pogadania o „starych Rosjanach oraz młodych Rosjankach”, zanim znajdą się w zaporoskiej maszynce do mielenia mięsa. Tego dnia Piczugin miał wyjątkowego pecha. Biesiadujących w krzakach nad wodą odkrył patrol żandarmerii. Widać byli na lewiznie, bo wszystkich poza Piczuginem przewieziono do jednostki. Tylko jego, jako najstarszego z całej ekipy dla przykładu żandarmi przywiązali do pobliskiego drzewa i skatowali na amen. Być może, gdyby biedak Piczugin znalazł hasło Zespołu Szkół Miejskich w Jaśle – „W życiu dobre rozdanie, to używek unikanie” – skończyłby z ukraińską kulą w piersi, a nie zatłuczony przez żandarmów przy drzewie.

Według oficjalnych rosyjskich danych, co trzeci przeciętny Rosjanin może dziennie wydać na życie mniej niż 40 zł. Co piąty dostaje nieco ponad 28 zł, zaś co ósmy niecałe 20 zł. Dla porównania przeciętny Polak ma do wydania ok. 230 zł, z czego jakieś 160 zł musi poświęcić na koszty życia. Lepiej od Rosjan zarabiają nawet Ukraińcy, którzy mimo wojny mają dziennie do dyspozycji 9 zł więcej niż agresorzy. Tak wygląda rosyjski mir w przeliczeniu na zwykłego obywatela, popierającego wojnę w całej swojej masie. **Andrzej Rafał Potocki**



Korekta scenografii

Idea wielkich zespołów mieszkaniowych zrodziła się 100 lat temu. Najbardziej znanymi autorami koncepcji realizujących pomysł nowatorskiej formy zagospodarowania przestrzennego miast byli Clarence Perry i Le Corbusier. Według założeń tego pierwszego, jednostka sąsiedzka powinna liczyć od 5 do 6 tys. osób mieszkających w domach szeregowych, a jej drogi wewnętrzne należy wyłączyć z ruchu przejazdowego. W pobliżu skrzyżowań ciągów komunikacyjnych trzeba zlokalizować punkty handlowe i usługowe. W koncepcji Le Corbusiera wielomieszkaniowe bloki miały stanowić samodzielne jednostki mieszkalne, tzw. maszyny do mieszkania, które zapewniałyby swoim lokatorom wszelkie podstawowe usługi, a ich przestrzeń byłaby zaaranżowana w taki sposób, by sprzyjać interakcjom społecznym.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

W okresie PRL realizowano przede wszystkim koncepcję zbliżoną do kryteriów wskazanych przez Perry'ego. Wznoszone budynki były coraz wyższe i dłuższe, rozlewając się na ogromne obszary peryferyjne. Osiedla z tzw. wielkiej płyty były narzędziem władz Polski Ludowej w programie transformacji społecznej, zapewnienia mieszkań po wojnie zarówno w miastach, jak i na terenach PGR. Proces budowlany został uprzemysłowiony i wdrożono prefabrykaty. Pierwszy budynek z wielkiej płyty wzniesiono w 1958 r. w podwarszawskich wówczas Jelonkach.

Wielkie zespoły mieszkaniowe stanowią dziś ok. jednej trzeciej wszystkich zasobów mieszkaniowych w Polsce. W wielkiej płycie mieszka 8 mln Polaków. Podobne wyniki statystyczne odnotowywano w dawnej Czechosłowacji, na Węgrzech, w Rumunii, Bułgarii. Zabudowa blokowa, tak powszechnie kojarząca się z państwami postkomunistycznymi, znana jest także we Francji, Szwecji, Wielkiej Brytanii, Finlandii, Holandii i Niemczech. W przeciwieństwie do swoich zachodnich odpowiedników, które borykają się z problemem wyludniania, a także patologiami powodowanymi m.in. przez niekontrolowaną migrację, wschodnioeuropejskie osiedla bloków, cechuje tzw. zdrowy profil społeczny.

Z powodu zapotrzebowania na lokale mieszkalne, a także często dogodną pod względem komunikacyjnym lokalizację, stosunkowo duże przestrzenie publiczne – osiedla z wielkiej płyty – wciąż mają potencjał i warto w nie inwestować, dostosowując ich standard do współczesnych potrzeb. Przez wiele lat po 1989 r. w Polsce brakowało długoterminowych i interdyscyplinarnych programów rewitalizacji osiedli mieszkaniowych. Zmieniło się to już częściowo za rządów Zjednoczonej Prawicy w związku z wdrożeniem przepisów prawasprzających termomodernizacji budynków i instalacji fotowoltaicznych źródeł energii. W czasie trwającej aktualnie kampanii wyborczej PiS zaproponowało program „Przyjazne osiedle”, w ramach którego ma zostać przeprowadzona modernizacja i rewitalizacja osiedli z wielkiej płyty.

Wiele państw zachodnioeuropejskich zainicjowało podobne działania. We Francji wdrożono programy rewitalizacji pole-

gające m.in. na zwiększaniu powierzchni użytkowej poszczególnych budynków poprzez dostawianie do elewacji gotowych segmentów umożliwiających łączenie ze sobą mieszkań albo prefabrykowanych loggii. Wznoszono wielopoziomowe parkingi, ocieplano ściany budynków i budowano czterospadałe dachy. W Niemczech bloki z wielkiej płyty wzbogacano o balkony, na nowo zaaranżowano wejścia do budynków i wybudowano szyby windowe. W ramach rewitalizacji jednego z osiedli zastosowano metodę tzw. heterotopów, które mają przełamać monotonię przestrzeni i sprzyjać integracji społecznej. Są to place zabaw, boiska, tereny rekreacyjne, parki stanowiące przestrzeń dla całego przekroju pokoleniowego osiedla.

Program „Przyjazne osiedle” to także nowy impuls dla gospodarki, otwierający wiele możliwości inwestycyjnych dla mieszkańców bloków. Pobudzi on kreatywność architektów. Będzie przyczynkiem do rozwoju wielu branż zaangażowanych w sam proces modernizacji, a także tych, które w ramach nowo powstałych obiektów handlowych, usługowych czy kulturalnych znajdują nowe lokalizacje. 



Julicie Szewczyk

Najszczęstsze wyrazy współzucia

i słowa otuchy

W trudnych chwilach po śmierci

TATY

składają

*koleżanki i koledzy z tygodnika „Sieci”
portalu wPolityce.pl i telewizji wPolsce.pl*

Po owocach ich poznać

**Z Martą Manowską, dziennikarką i prezenterką,
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna**

Jesień to czas zbiorów, ale pani – mam wrażenie – zbiera plony przez cały rok?

Marta Manowska: Zbieram, a właściwie zbieramy. Bardzo się cieszę, że dzięki programowi „Rolnik szuka żony” ludzie zaczęli inaczej patrzeć na np. na czas żniw. Przez 10 lat emisji programu udało nam się pokazać – i z tego jestem dumna – jak ważna jest praca rolników, ale też jak ambitni są to ludzie, wykształceni i technologicznie rozwinięci. A jednocześnie jak mocno rodzą się.

10 lat to szmat czasu. Dużo zmieniło się w programie?

Bardzo. Choćby od strony produkcji. Zaczęliśmy używać innej technologii, dronów... Ale nasi bohaterowie wciąż muszą się mierzyć ze swoimi słabościami, oczekiwaniami, wyjściem z samotności. Muszą postawić pierwszy krok, potem być konsekwentnym, nie dać się zwieść, bo to też się dzieje. Ogrom pracy dodały nam

social media, w których wiele osób pisze, poza programem, na temat naszych bohaterów.

Przed nami 10. edycja (emisja od 17 września o godz. 21.20). Czego możemy się spodziewać?

Po raz pierwszy w programie są dwie dziewczyny. Bardzo różne, chociaż łączą je duża wewnętrzna siła i spory sukces zawodowy. Poza tym wszyscy uczestnicy to bardzo prawdziwi ludzie, niezwykle empatyczni.

Zaczęłyśmy od zbiorów, powiedzmy więc trochę o owocach, po których ich poznać.

Nie mogę wszystkiego zdradzić, ale w trzech przypadkach jest duża szansa, że to będą pary, a może i małżeństwa. Tego nie wiemy. To się dzieje po programie.



GORĄCE PYTANIA

ZOSTAŃ W DOMU I OGLĄDAJ

W POLSCE PL

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat

NA POZYCJI
196



NA POZYCJACH

339 dekodery
Mediabox

121 dekodery
KAON i Horizon



NA POZYCJI

32

N E T I A

NA POZYCJI

192

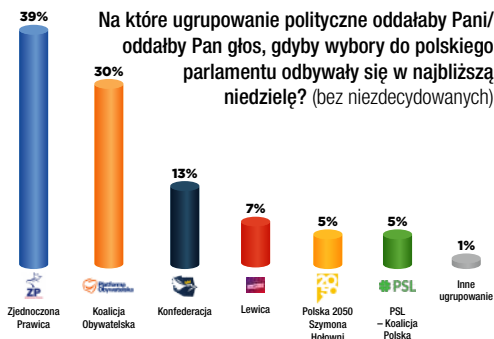
VECTRA

NA POZYCJI

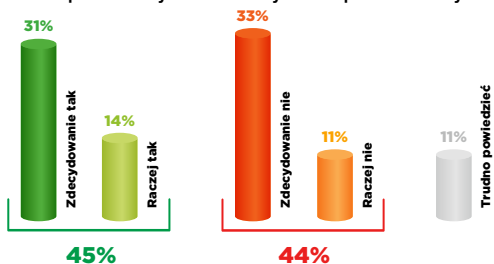
825



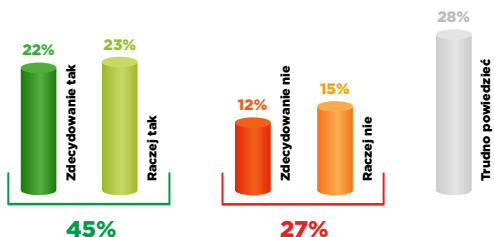
pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**



Czy zagłosuje Pani/Pan w referendum 15 października prowadzonym razem z wyborami parlamentarnymi?



Jak się Pani/Panu wydaje – czy jeśli Donald Tusk wygra wybory i zostanie premierem, to zgodzi się na przyjęcie imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki w ramach mechanizmu relokacji narzucanego przez Unię Europejską?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1049. Zakres czasowy badania 1-4 września 2023 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA,
MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOŁIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA LABECKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PREENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁYKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZECZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZÓWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ
WALAŚCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DĄBROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZECZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, ARTUR CIEPŁOWSKI, WOJCIECH STRÓŻYK, REPORTER,
GRZEGORZ BANASZAK, REPORTER, COLE BURSTON/APPEARS, MATERIAŁY PRASOWE,
SHUTTERSTOCK/ZIVICA KERN

Gotowi na finisz

Nie ma już śladu po inicjatywie, jaką Donald Tusk miał po marszu 4 lipca. Po stronie opozycji robi się nerwowo, bo świadomość, że nie wykorzystano dobrej fali, zaczyna być przytłaczająca i mnożą się błędy. A partia Jarosława Kaczyńskiego przetrwała bardzo trudny moment i od kilku tygodni wyborcza gra toczy się na polach wytyczonych przez PiS



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Ogłaszany z pompą pakt partii opozycyjnych trzeszczy i przecieka. W sztabie Platformy Obywatelskiej nie ma ciekawych pomysłów. Jeśli są, to tylko mało udane reakcje na konkrety rządzących, którzy odzyskali inicjatywę. To jeszcze nie gwarantuje Prawu i Sprawiedliwości sukcesu, ale idzie dobrze. Wypuszczenie w Polskę PiS-busa z niezwykle popularną Beatą Szydło można określić symbolicznym wjazdem na właściwe tory. Teraz ko-

nieczne jest utrzymanie kursu i spójności przekazu, który – jak wskazują kolejne sondaże – działa. Ostatnia prosta za pięć tygodni kampanii.

ŻYJE SIĘ LEPIEJ

– Bardzo dziękuję za życzenia, chyba nigdy nie miałam tylu gości na imieninach! – Beata Szydło była szczerze wzruszona, gdy 6 września podczas spotkania w Dobrem (pow. miński) najpierw uruczono ją dożynkowymi przysmakami w wykonaniu lokalnego Koła Gospodyń Wiejskich, a potem dostała okazały bukiet. Sala remizy pełna, ludzie trochę nieśmiało spoglądający na ważnego gościa. Wprowadzenie robią senator Maria Koci i poseł Daniel Milewski, kandydaci PiS w obecnych wyborach do Sejmu, odpowiednio z pierwszego i ostatniego miejsca na liście siedlecko-ostrołęckiej.

Trasę z Warszawy pokonaliśmy PiS-busem w nieco ponad godzinę. Była okazja do rozmów i wspomnień z poprzednich kampanii. Pani premier znów w trasie, choć sama nie kandyduje, wspiera partię, której jest wiceprezesem. Bezpośrednie spotkania zawsze były silną stroną kandydatów partii Jarosława Kaczyńskiego. Teraz jest podobnie, ludzie czekają na konkrety, które wykuwają się właśnie w takich okolicznościach. – Powiem szczerze, nie rozumiemy, gdy ktoś w telewizji próbuje nam wmówić, że PiS robi wszystko źle. Nam żyje się lepiej, mąż kilka lat temu wrócił z zagranicy, zdecydowaliśmy się na trzecie dziecko. Żyjemy skromnie, ale to nam wystarcza – opowiada mi młoda kobieta z wózkiem dziecięcym. Na spotkanie z Beatą Szydło przyszła, ale na salę nie weszła, zbyt dużo chętnych, ciasno i trochę gorąco, a córeczka nie chce usnąć.

Wizyty w mniejszych i większych miejscowościach mają swoją dynamikę. Po przywitaniu głos zabiera gość honorowy. – Dzisiaj trzeba mówić o przyszłości. Decyzja, którą podejmiemy 15 października, zaważy nie tylko na losach naszych rodzin, lecz także nada kierunek rozwoju naszej pięknej ojczyzny. Każdy będzie miał w ręku kartę wyborczą, to jest wielka siła. Komu zaufamy? Proszę o to, byście wybrali nas. Byśmy przez kolejne lata budowali bezpieczną przyszłość Polaków. To jest czas na polityków odpowiedzialnych – mówiła Beata Szydło, wzbudzając nieco nieśmiało brawa.

Takich spotkań będzie sporo. To utarty kampanijny szlak, na który PiS wszedł od razu po starcie kampanii. Wszystko było gotowe, autobus znów oklejony. Zdobia go hasła z obietnicami jeszcze sprzed wakacji, z pierwszego programowego ula: 800+, darmowe leki dla seniorów i dzieci, darmowe państwowe autostrady. I nowe hasło: „Bezpieczna przyszłość Polaków”. Teraz wachlarz poruszanych tematów jest coraz szerszy. Dzień po dniu mówi się w zasadzie tylko o konkretach PiS – w kampanii dokładnie o to chodzi.

TYDZIEŃ PO TYGODNIU

8 sierpnia prezydent Andrzej Duda ogłosił, że wybory odbędą się 15 października. Oznaczało to, że kampania miała potrwać 8,5 tygodnia. Zostało jeszcze pięć. Politycy zgodnie twierdzą, że to niewiele. W zasadzie od razu trzeba było ruszyć z kopyta. – Pierwszym akcentem były zagadnienia referendalne. Tusk w zasadzie do dzisiaj nie odpowiedział na nie. Jego słowa o „unieważnieniu” to była jakaś rozpaczliwa próba obrócenia wszystkiego w żart. Nie udało mu się, być może tego nie wie, ale spowodował tym tylko mobilizację naszego elektoratu – mówi nam jedna z osób w sztabie PiS odpowiedzialna za badania.

Na długo przed kampanią wyborczą sporządzono tzw. tabelkę tematów. Na górze są te ważne i korzystne dla PiS, a uderzające w opozycję, idąc w dół, pojawiają się kwestie, które mogą być wizerunkowo kłopotliwe dla obozu rządzącego. Według tego wzoru skonstruowano zagadnienia referendalne, a PiS nie wchodzi np.

w wątki obyczajowe, bo one powodują mobilizację obozu przeciwnika.

Zakres tematyczny, którym PiS ma grać w tej kampanii, jest przedmiotem pewnego sporu w szeroko pojętym obozie Zjednoczonej Prawicy. Są osoby, które uważają, że choćby minimalne odejście od przekazu o grożącym Polsce niebezpieczeństwie ze strony Donalda Tuska jest rozbijaniem narracji. Inni twierdzą, że zaprezentowany w formie książeczki program wyborczy PiS i tak będzie bardzo szeroki, więc nie można nie rozmawiać o jego poszczególnych tematach.

Wypuszczenie w Polskę PiS-busa z niezwykle popularną Beatą Szydło można określić symbolicznym wjazdem na właściwe tory. Teraz konieczne jest utrzymanie kursu i spójności przekazu

Ostatni tydzień był nazwany programowym, codziennie prezentowano jedną konkretną propozycję. – Nie można było całej książeczki pokazać na początku, bo nieprzychylnie media skupiłyby się na szukaniu dziury w całym i być może jakąś drobnostką zaburzyłyby spojrzenie na wartościową całość. A tak w momencie pokazania całego programu ludzie będą już mieli wyrobione zdanie na jego temat po tych kilku elementach odkrytych wcześniej – opowiada jeden z polityków PiS.

TLEN DLA KONKURENCJI?

Gdy pytamy o wątpliwości dotyczące samych propozycji programowych, które już zostały zaprezentowane, inny polityk odpowiada: – Cały tydzień zarzucamy naszą agendą, czasem celowo są to tematy kontrowersyjne. Jak twój temat jest na wierzchu, to temat twoich rywali jest pod spodem.

– Proponując rewitalizację bloków z wielkiej płyty, zwracamy się do

8 mln Polaków. To ogromna grupa. Szczególnie mówiąc, popełnialiśmy gruby błąd, nie komunikując się z nimi wcześniej – opowiada osoba ze sztabu. – Każdemu można wrzucić do skrzynki ulotkę, że jest szansa, że twój blok zostanie wyremontowany. To są tematy, które muszą tych ludzi jakoś z nami jednoczyć, albo chociaż neutralizować ich ewentualną chęć głosowania na opozycję.

Sporo osób, nawet życzliwych PiS, skrzywiło się, gdy usłyszało konkret drugi, czyli obietnicę poprawy jakości posiłków w szpitalach. I nie dlatego, że to kwestia nieważna, dla pacjentów ma to przecież znaczenie. We wspomnianej tabelce system ochrony zdrowia oczywiście się pojawia, ale ani na górze, ani na dole, bo jest niewygodny dla każdego. – Mniej ważne, czy on jest dobry, czy zły. To jest temat narzucony przez nas. I to jest walor – słyszymy.

I w tym momencie pojawiają się największe wątpliwości, czy to nie jest podanie tlenu buksującej w miejscu opozycji, która może zapytać, co w tej materii poprawiło się przez ostatnie osiem lat rządów PiS. Temat szpitalnego jedzenia wymyśliła osoba spoza sztabu, omawiano go wielokrotnie, ostatecznie zyskał powszechną akceptację. – Jest zgoda co do tego, że na tej płaszczyźnie nie da się wiele wygrać, ale z analizy badań jasno wynikało, że nie można jej nie dotknąć – mówi nam sztabowiec PiS. – PO też nie jest wiarygodna w tym obszarze, ludzie nie wierzą, że oni skrócą kolejki, w badaniach wszyscy to podkreślają.

Mówiąc o kolejkach do lekarzy, dotykamy problemu nie mniej powszechnego. Co ciekawe, PiS ma na niego pomysł już teraz. Chodzi o wdrożenie systemu automatycznego zapisu do lekarza, podobnego jak w przypadku szczepień. Podobno jest prawie gotowy. Będzie to jeden z priorytetów do szybkiego zrealizowania na początku kolejnej kadencji, po zwycięstwie. Dlaczego nie teraz? W sztabie mówią, że materia jest skomplikowana i być może nie wszyscy lekarze są na to gotowi. Dlatego teraz postawiono na coś prostszego.

Słyszymy też o innym wątku okolozdrowotnym w kampanii. – Było poważne zagrożenie, że Konfederacja weźmie na sztandar wizerunek ministra

Niedzielskiego jako człowieka odpowiedzialnego za restrykcje covidowe, przeciwnika wolności, którą oni proponują. Tak naprawdę to zadecydowało o zakończeniu jego misji w rządzie.

Z pomysłał rewitalizacji osiedli z wielkiej płyty, umożliwieniu rolnikom bezpośredniej sprzedaży swoich produktów czy wprowadzeniu bonu szkolnego na wycieczki uczniów po Polsce już takiego problemu nie ma, choć to wciąż obszary bardzo dalekie od przekazu głównego, czyli bezpieczeństwa Polski i Polaków. W PiS jest świadomość, że trzeba do tego wrócić, i to szybko.

NIE JEST TANIO

– Tym, co różni tę kampanię od poprzednich, jest bardzo duży udział w niej prezesa. Nie tylko publiczny. Często przychodzi na zebrania sztabu. To bardzo skraca proces decyzyjny – opowiada nam jeden z członków ekipy pracującej nad wyborami.

– Nie ma podziału, nie ma starego i nowego sztabu. Część spotów robi Adam Andruszkiewicz, część powstaje we współpracy z Adamem Bieleńskim, część z ludźmi Patryka Jakiego. To powoduje naprawdę zdrową konkurencję – mówi nam sztabowiec odpowiedzialny za produkcję klipów wyborczych do internetu. Specjaliści zgodnie oceniają, że tym razem PiS na pewno nie przegrywa tego obszaru, a bywa, że seryjnie narzuca własne tematy. Przy katastrofalnych potknięciach przeciwników (jak np. z generatorem memów, który stał się bolesną drwiną z partii Tuska) to wyjątkowo ważne. Widać, że postawiono na precyzyjne targetowanie (określanie grupy docelowej) na poziomie powiatów, przez co odbiorcy dostają filmy dokładnie o tym, co dotyczy ich bezpośrednio.

W obecnej kampanii praktycznie codziennie pojawiają się 2–3 nagrania polityków PiS. Niektóre przechodzą bez echa, o niektórych jest głośno. – To metoda spaghetti, wrzucasz i zawsze coś z tego będzie. Słynny film premiera z uchodźcami nie był przygotowywany w jakichś specjalnych okolicznościach, a wyszedł z tego superstrzał – opowiada nam człowiek ze sztabu. Inny przykład to film nagrany

również przez Mateusza Morawieckiego o bezrobociu, który w zaledwie 10 godzin osiągnął blisko 4 mln odsłon. W tym przypadku jednak bardzo pomogła opozycja.

– Prezenty trzeba umieć przyjąć. Dla naszego elektoratu bezrobocie za czasów Tuska to bardzo ważny temat, ale z drugiej strony tę kwestię już załatwiliśmy i do takich rzeczy trudno w kampanii wrócić, gdy nie ma pretekstu. A oni postanowili nam wytoczyć proces, że bezrobocie nie wynosiło 15 proc., tylko 14,4 proc.! Przez pięć dni udawało się podtrzymywać ten temat. W kampanijnych realiach to bardzo długo.

Ważny polityk PiS: – Nie byłem przy tym, ale wiem, jak zareagował prezes na

Słowa Tuska o „unieważnieniu” referendum to była jakaś rozpaczliwa próba obrócenia wszystkiego w żart. Nie udało mu się, być może tego nie wie, ale spowodował tym tylko mobilizację naszego elektoratu – mówi osoba ze sztabu PiS

wiadomość o procesie w sprawie bezrobocia, gdy przekazał mu ją Krzysztof Sobolewski. Powiem tak: na jego twarzy nie malowało się zmartwienie.

A co z pieniędzmi? Nie da się robić skutecznej kampanii w internecie bez sporych wydatków, ale można je ograniczyć przez maksymalne zaangażowanie polityków. – Posłowie zaczęli podawać dalej nasze treści, jest specjalny zespół, który o to dba. Jeżeli wrzucasz coś o godz. 7 rano i od razu podaje to dalej 100–150 ludzi z dużymi kontami, to automatycznie temat staje się nośny. Rośnie zasięg organiczny, dlatego reklama, w którą potem inwestujesz, jest dużo tańsza. I my z tego korzystamy – opowiada nasz rozmówca. I dodaje z uśmiechem: – Nie wydaliśmy jeszcze milionów. Ale wydamy!

Wszystkie te zabiegi są konieczne, by wciągnąć do wyborczego zaprzęgu tych, którzy wciąż nie są zdecydowani, by zagło-

sować 15 października. – Z naszych badań wynika, że jest jeszcze naprawdę spora rezerwa w naszym elektoracie. I to dla nas ważna grupa, bo mówimy o osobach, które, jeżeli pójdą, to zagłosują wyłącznie na PiS. Nie możemy o nich nie zawalczyć.

Liczy się każdy głos, dlatego w kierownictwie partii zadecydowano o posłaniu liderów w bój w różne zakątki Polski. Warszawską listę otwiera prof. Piotr Gliński, prezes Suwerennej Polski Zbigniew Ziobro to numer 1 w Rzeszowie, a lokomotywą listy w Kielcach jest Jarosław Kaczyński. – To polityczna pragmatyka, w dużym okręgu świętokrzyskim możemy w ten sposób uzyskać nawet dwa mandaty więcej. Warto o to zagrać.

FALSTART PLATFORMY

Jakże inny jest obecny moment po pierwszym etapie kampanii po stronie opozycji, jakże inne nastroje. Sztabowiec PiS: – Z naszych badań wynika, że na przełomie czerwca i lipca nasz elektorat był bardzo zdemotywowany, a mobilizacja wyborców PO maksymalna. Mówiąc opisowo, formę mistrzowską osiągnęli na trzy miesiące przed wyborami. Ale im to zgasło. Nasi rywale przespalili sierpień, a w sytuacji, gdy kampania jest krótka, ten miesiąc może być kluczowy.

– Popelnili falstart z czerwcowym marszem? – dopytujemy.

– To się okaże na początku października, bo przed nami jeszcze jeden marsz. Chociaż nie tak odległa historia polityki pokazuje, że naprawdę poważna mobilizacja przychodzi tylko raz. Tak było we Francji przy protestach „żółtych kamizelek” czy na Węgrzech, gdy opozycja jednoczyła się przeciwko Orbanowi. Tuż po wielkim marszu w Budapeszcie okazało się, że przeciwnicy rządu zaczęli prowadzić w sondażach, ale to był tylko moment, do końca kampanii ich dobry wynik już nie wrócił. Efektu marszu na pewno nie da się powtórzyć w 100 proc.

PiS-owcy doceniają jednak znaczącą zmianę, jaka zaszła w obozie głównego konkurenta. – Po raz pierwszy PO zmobilizowała swoich ludzi do mówienia jednolitym przekazem. Na początku wakacji codziennie robili konferencje i wrzucali kolejne tematy. A to wydatki



Fot. pils.org.pl

spółek skarbu państwa, a to „aleja milionerów”. To były kopie akcji PiS z 2015 i 2020 r. Mieli wówczas dużą swobodę w narzucaniu tematów.

Jednak sporo czasu opozycja po prostu przepała. Hamletyzowanie nad wspólną listą to czas zmarnowany, dla wszystkich. W sposób zaś wyjątkowy – dla Donalda Tuska, który poprzez zjednoczenie miał stać się hegemonem, a pozostał tylko liderem największej partii. W marsz 4 czerwca dużo zainwestował, to miało być ostateczne zwasylizowanie „partnerów”, a Platforma miała na stałe pozostać liderem sondaży. Nie udało się. Co więcej, PO nie może się nawet pochwalić stabilnym poparciem na poziomie 30 proc., co miało być na początku września oczywistością i świetną pozycją startową przed zasadniczą fazą wyścigu. Przewodniczący partii zacznie więc niebawem być rozliczany nie tylko przez swoje opiniotwórcze elity – co już się dzieje – lecz także przez wyborców.

Na osłodę wcale nie pozostaje mu tzw. pakt senacki, bo przecież izba wyższa parlamentu nie ma dla opozycji większego znaczenia – przy takiej konstrukcji ustrojowej i większości obozu rządzącego w Sejmie. Zresztą pakt trzeszczy na wszystkich poziomach. W ciągu ledwie paru dni doszło do serii kompromitacji. Gdy okazało się, że kandydatką wystawioną przez PSL na Podkarpaciu jest Małgorzata Zych, szybko przypomniano

Tym, co różni tę kampanię od poprzednich, jest bardzo duży udział w niej prezesa. Nie tylko publiczny. Często przychodzi na zebrania sztabu. To bardzo skraca proces decyzyjny – słyszymy od sztabowca

jej współpracę z Grzegorzem Braunem i zaangażowanie w akcję „Stop Ukrainizacji Polski”. Została skreślona.

Lewica z kolei musi przekonywać swój najtwardszy elektorat, że jedna z jej najbardziej rozpoznawalnych kobiecych twarzy – Joanna Senyszyn – nie ma nic wspólnego z SLD. Posłanka postanowiła bowiem startować do Senatu w Warszawie z własnego komitetu, czym znacznie osłabia szanse Magdaleny Biejat wskazanej przez partię Czarzastego i Biedronia. Podobny manewr chciała wykonać Beata Maciejewska, była wiceszefowa partii, wyrzucona z niej niedawno po aferze podsłuchowej. Ostatecznie nie weźmie udziału w wyborach, co tak uzasadniła w oświadczeniu: „Decyzja moja podyktowana jest faktem, iż szanse opozycji na przejęcie władzy z sondaży na sondaż okazują się coraz mniejsze, jeśli nie zerowe”. Odwrotny proces zaszedł

w PSL – kandydat najpierw sam się wystawił, a dopiero potem pozbyto się go z ugrupowania. Chodzi o Mirosława Augustyniaka, radnego sejmiku mazowieckiego. Zapowiadał, że wystartuje, nawet gdy już było wiadomo, iż kandydatem Trzeciej Drogi w okręgu zostanie Grzegorz Nowosielski z Polski 2050. Nikt mu nie wierzył. A gdy rzeczywiście zebrał podpisy i zarejestrował komitet, Władysław Kosiniak-Kamysz był zmuszony go wyrzucić, by nie nadwierać i tak słabo sklejonej koalicji z Szymonem Hołownią. Efekt? Koalicja PO z PSL na Mazowszu straciła większość.

Analogiczna sytuacja miała miejsce na ziemi częstochowskiej. Choć w ramach paktu zgłoszono tam Krzysztofa Smelę z Trzeciej Drogi, swoją kandydaturę zgłosił też Jarosław Lasecki, senator Platformy w latach 2011–2019. Izabela Leszczyna z PO skomentowała, że w ten sposób Lasecki „idzie ręką w rękę z PiS i tak naprawdę jest zagrożeniem dla demokracji”.

Nic dziwnego, że na Nowogrodzkiej nie porzucono więc jeszcze wizji zdobycia większości w „izbie refleksji”. – Dziś bym powiedział, że któraś ze stron będzie miała 52 mandaty, ale nie wiemy która – uśmiecha się parlamentarzysta z doświadczeniem kilku kadencji. – Okręgi, w których czekają nas pojedynki jeden na jednego, to będą pojedyncze przypadki. A tam, gdzie kandydatów będzie co



Fot. M. Czuchra

najmniej trzech – pamiętajmy też o Bezpartyjnych Samorządowcach, kandydatach niezależnych – szanse PiS rosną. Według naszych obliczeń jest 15 okręgów swingujących, by sięgnąć po terminologię z wyborów amerykańskich. Większość może się tam wychylić w każdą stronę.

KTO SPADNIE?

Ostatnie tygodnie pokazują też, jak opozycja i jej komentatorzy ponownie nie docenili samej technologii kampanii. Trzy miesiące temu ogłaszali triumfalnie, że nic już ich nie zatrzyma, układali nowy gabinet, zapowiadali wielkie sprzątnięcie Polski po PiS. Dziś panikują po kolejnych wynikach badań i liczą ułamki procentów, bo dwa z trzech paktowych komitetów niebezpiecznie zbliżają się do progów wyborczych, zaś czwarty wrócił do sytuacji wyjściowej – czyli poparcia jednocyfrowego.

– Ich podstawowym problemem jest to, że chcą się licytować na to, kto bardziej pokona PiS. Muszą się przecież różnić, skoro już idą osobno. Hołownia mógłby krytykować Tuska za nieskuteczność, ale boi się zarzutu rozbijania jedności opozycji. Zresztą już jest wskazywany jako winny ewentualnego zwycięstwa PiS. No i ta ich wewnętrzna niespójność. Gdy polityk PSL powie, że trzeba zachować 500+, to za chwilę ktoś od Hołowni będzie się domagał likwidacji tego programu. Na dłuższą metę to jest zabójcze dla każdego komitetu.

Wolelibyśmy wejście do Sejmu czerwonych, bo przy ich porażce zyska na znaczeniu wielkomiejski elektorat PO, zaś katastrofa PSL wywinduje nasze wyniki w regionach wiejskich – mówi polityk PiS

Rysuje się całkiem realny scenariusz zejścia Trzeciej Drogi pod wymagany dla koalicji próg 8 proc. To uruchamia w politykach PiS wspomnienie z 2015 r., gdy wygrana przy poparciu 37 proc. dała samodzielne rządy. Ale do Sejmu nie weszła wówczas Lewica. Dziś PiS, licząc na dołowanie ludowców i Hołowni, po cichu trzyma za Lewicę kciuki. – Wolelibyśmy wejście czerwonych, bo przy ich porażce zyska na znaczeniu wielkomiejski elektorat Platformy, zaś katastrofa PSL wywinduje nasze wyniki w regionach wiejskich – słyszymy.

Platforma zaczyna zaś uruchamiać zasoby medialne, by zatopić Lewicę. W minionym tygodniu gazeta Michnika opublikowała artykuł o tym, że co trzeci wyborca partii Czarastego i Biedronia na ostatniej prostej chce przetrząść głos na PO. „Ludzie myślą w taki sposób: skoro październikowe wybory będą najważniejsze po 1989 roku, to po co marnować głos na partię, która i tak nie ma szansy

na samodzielne rządy? Lepiej wzmocnić potencjalnie zwycięski obóz i oddać głos na Koalicję Obywatelską” – to już ostantacyjne zniechęcanie do poparcia Lewicy.

Z pomocą Lewicy przyszedł jednak... Donald Tusk. Tak właśnie jest komentowana decyzja o wystawieniu Romana Giertycha na ostatnim miejscu listy w Świętokrzyskiem. Nie podoba się to w samej Platformie, nie podoba się w jej elektoracie. Lewica zaś dostała coś, co całkowicie odróżnia ją od partii Tuska.

– Donald naprawdę był przekonany, że nastroje są tak złe, iż ludzie chcą tylko ostrego antypisu, stąd wzięcie Kołodziejczaka i Giertycha. Sądził, że to strzały w dziesiątkę. Ale z nikim tego na poważnie nie konsultował – osoba, która zna zaplecze sztabu Platformy mówi nam, że wokół Tuska odtworzył się dwór. Bańka. – Ten idzie w górę, kto go poklepuje po plecach i opowiada, jaki jest wspaniały, a jak źle było za Schetyny i Budki. Jest też tyranem. Sztabowcy boją się pokazywać mu badania i dane, które są niekorzystne. To by tłumaczyło, dlaczego robi tyle błędów – słyszymy. Wypisz, wymaluj sytuacja z kampanii Bronisława Komorowskiego, w której urzędujący prezydent spektakularnie poległ w starciu z Andrzejem Dudą, choć kilka miesięcy wcześniej każdy sondaż mówił, że nie miało prawo się to wydarzyć.

Politycy z kierownictwa PiS trzymają emocje na wodzy, wiedzą, że błędem jest popadanie w zbyt ni entuzjazm na tym etapie. Ale trend sondażowy jest nadzwyczaj łaskawy. – Nasze najświeższe badania wskazują na 10 punktów przewagi nad PO plus dorobek niezdeterminowanych. Trzecia Droga ma 4 proc., a Lewica – 7. To wymarzony scenariusz. Na dziś języczykiem u wagi we wszystkich scenariuszach wciąż jest Konfederacja, ale pojawiło się naprawdę wyraźne światło w tunelu na samodzielne rządy – mówi nam polityk z władz PiS.

Można więc mówić o właściwym kierunku, który należy utrzymać, można wskazywać, że to dobry prognostyk przed finałem, ale dzisiaj nikt nie ma prawa przesądzać o zwycięstwie. Obserwatorzy polityki dobrze wiedzą, że na ostatniej prostej zdarzały się skuteczne sprinty, ale też spektakularne wywrotki. Chociaż jeśli jest forma, a trening został przeprowadzony sumiennie, to czemu nie wierzyć we własne siły?

PRZYSZŁOŚĆ JEST **Z MIEDZI**

Globalny lider w produkcji miedzi i srebra. Gigant, wizjoner odkrywca w branży wydobywczej i produkcyjnej. Od ponad 60 lat wydobywamy i przetwarzamy cenne zasoby ziemi, skutecznie budując pozycję lidera branży. Dzięki wiedzy i doświadczeniu naszych pracowników tworzymy produkty, które umożliwiają zrównoważony rozwój świata.

www.kghm.com



KGHM
POLSKA MIEDŹ

Dlaczego mamy wierzyć, że Tusk dotrzyma słowa, skoro w przeszłości tak wiele razy je złamał? Skąd mamy mieć pewność, że nie cofnie programów społecznych, nie zabierze 500+?

Polska zasługuje na poważnych polityków

Z Beata Szydło, była premier, europoseł, wiceprezesem Prawa i Sprawiedliwości rozmawia Marcin Wikło

Spotykamy się podczas kolejnej kampanii wyborczej, ponownie w PiS-busie, który tym razem wiezie nas do Dobrego na Mazowszu. Jakie emocje i wspomnienia budzi w pani to, że znów jest pani w trasie, w drodze na spotkania z Polakami?

Beata Szydło: Wracam myślami do najpiękniejszego czasu, jaki przeżyłam w kampanii, czyli do 2015 r. Wtedy wszystko się zaczęło. Bo gdyby nie zwycięstwo Andrzeja Dudy, i to w tak spektakularnym stylu, byłoby nam pewnie trudniej. Pamiętam też dobrze, że napędzał nas wówczas niesamowity entuzjazm ludzi, emocje rosnące ze spotkań na spotkanie. To się udzielało, ta nadzieja, że jesteśmy w stanie przełamać złe rządy naszych poprzedników. Coraz więcej ludzi zaczynało wierzyć, że Polska może się zmienić.

Wiele osób powtarza, że przed nami najważniejsze wybory od 1989 r. Czy pani zgadza się z tą oceną?

Zgadzam się z tym, że to rzeczywiście są bardzo ważne wybory. Po ośmiu la-

tach rządzenia Prawo i Sprawiedliwość musi uzyskać prolongatę na kolejną kadencję. Po takim czasie zawsze jest trudniej, bo naturalną rzeczą jest, że wyborcy mogą oczekiwać od nas więcej, czasem może są już zmęczeni, ale ja jestem dobrej myśli. Bardzo często słyszę od ludzi, że nasze rządy oceniają jednak pozytywnie.

W każdej kampanii są jakieś tematy dominujące, które Polacy chcą przekazać politykom. Co pani słyszy na spotkaniach z wyborcami?

Jeżdżę po Polsce i widzę, jak się zmienia, jak pięknieje. Moi rodacy podkreślają, że żyje im się lepiej. Dziękują za wiele rzeczy, doceniają to, co mają. Nie słyszę już tak wielu pretensji czy roszczeń. Dla polityka reprezentującego partię rządzącą to ogromna satysfakcja. Widzę też, że ludzie doskonale zdają sobie sprawę z tego, jaka otacza nas rzeczywistość. Że jest wojna na Ukrainie, że wcześniej zmagaliśmy się z covidem. Ale przechodzimy przez to wspólnie, nie zapominając o żadnych grupach.

Takiej właśnie stabilnej władzy Polacy wciąż potrzebują.

Czy przypominanie Polakom o swojej dotychczasowej dobrej służbie wystarczy, by przeprowadzić zwycięską kampanię? Czas przed wyborami to przecież emocje, temperatura, podniesienie ciśnienia, ostra polityczna walka.

To prawda, ale ja zauważam, że ta kampania jest nieco inna niż poprzednie. Ludzie odrzucają negatywne emocje i tę agresję, która wylewa się ze strony opozycji. A ona pojawia się coraz częściej, bo elektorat PO, ludzie zdecydowani, by głosować tylko na nich, tego oczekują, to ich nakręca. Nasi wyborcy są o wiele spokojniejsi. Owszem, też chcą rozmawiać, czasem o rzeczach trudnych, ale bez takiej nerwowości jak w 2015 r., gdy było tak duże oczekiwanie zmiany. Wtedy słyszeliśmy, że nie ma pracy, że nie ma za co żyć. To była bolesna frustracja.

Pojawiają się kolejne szczegóły programu PiS. To nie są jakieś wielkie

sprawy, ale dotyczą ludzi bezpośrednio.

Część propozycji pojawiła się jeszcze przed wakacjami, teraz dorzucamy kolejne punkty. Nie obiecujemy nie wiadomo czego, bo jesteśmy odpowiedzialni. I ludzie to wiedzą, że jak coś padnie z naszej strony, to słowa dotrzemy.

Inną stroną kampanii PiS jest przypomnienie, jak było za czasów Donalda Tuska. Od tego czasu minęło już wiele lat. To ma sens?

Tak, to było dawno, ale rzeczywistość wokół nas jest tak szybka, że łatwo ludziom wmówić, że czegoś nie było. Nasi rywale chętnie z tego korzystają. Więc my obnażamy kłamstwa Tuska i Platformy. Jak choćby z wiekiem emerytalnym, który został podwyższony mimo zapewnień, że tak się nie stanie. Podobnie jest dzisiaj z innymi ich obietnicami. Dlaczego mamy wierzyć, że dotrzymają słowa, skoro w przeszłości tak wiele razy je złamali? Skąd mamy mieć pewność, że nie cofną programów społecznych, nie zabiorą 500+? Musimy to ludziom przypominać, niech mają świadomość, że żyje się nam nieźle, ale może być gorzej, gdy do władzy przyjdą politycy nieodpowiedzialni. Bo polityka to nie są tylko happeningi i konferencje prasowe.

Czy Polacy rozumieją, że gdy mówicie o bezpieczeństwie, jest to opowieść wielopłaszczyznowa, że w tym słowie zawiera się o wiele więcej niż silne wojsko?

To znaczenie wąskie, dotyczące kwestii militarnych i konieczności zabezpieczenia granicy rzeczywiście wysuwa się na pierwsze miejsce. W czasie takiej bliskości wojny to oczywiste. Polacy bardzo dobrze rozumieją i wspierają naszą decyzję o doposażaniu armii, inwestowaniu bardzo dużych kwot w tak rozumiane bezpieczeństwo. Ale przecież jest też bezpieczeństwo energetyczne, kiedyś zupełnie oddane Rosjanom, a wpływające na możliwości rozwoju Polski. O tym też przypominamy. Mówimy o bezpieczeństwie rodzin – nie tylko mówimy, wprowadzamy przecież coraz więcej programów wspierających

i rodziców, i dzieci, i seniorów. Polacy to doceniają. Naprawdę często to słyszę.

Po wielu zakrętach na finiszu kampanii może się okazać, że zetrą się dwie wizje Polski, ta Kaczyńskiego z tą Tuska.

Polska Kaczyńskiego, o której pan mówi, jest krajem suwerennym i bezpiecznym. Taką przyszłość proponuje Zjednoczona Prawica. Zaś Polska Tuska – rzeczywiście trudno o nim nie mówić, bo to polityk, który ma za sobą wiele lat rządzenia naszym krajem – to kraj, w którym dobrej zmiany nie uświadczylśmy. Było za to podporządkowanie polityki temu, czego chcieli chociażby Niemcy

Nawet nasi przeciwnicy już wiedzą, że wybory wygrywa się w Końskich. Ważna jest Polska także poza Warszawą i innymi dużymi miastami. Wszystkie regiony traktujemy poważnie

w Unii Europejskiej. To było wyprzedzanie polskiego majątku, brak dbałości o uboższych rodaków i stawianie rodziny zdecydowanie poza centrum zainteresowania. My to zmieniliśmy i dlatego o tym mówimy, bo dbamy o nasze osiągnięcia. Nie mamy złudzeń, że gdyby Tusk został premierem, to nie zmieniłby nagle ani siebie, ani swojej polityki.

Czy słowa Donalda Tuska o tym, że gdy zostanie premierem, to pieniądze z KPO załatwi z dnia na dzień, nie są odkryciem kart, pokazaniem, że to nieczysta gra przeciwko Polsce, i to w neveraligicznym czasie kampanii?

Według mnie nie ulega wątpliwości, że blokada KPO jest decyzją wyłącznie polityczną. Dzieje się to zapewne po interwencjach politycznych przyjaćiół, może nawet samego Tuska. Europosłowie PO zamiast pomagać swojemu krajowi na każdym kroku dyskredytują wszelkie działania polskiego rządu. Czy Tusk załatwi KPO? Proszę

zwrócić uwagę, jak bardzo współgra to ze słowami samej pani von der Leyen, która wprost powiedziała, że czeka, by on znów został premierem. Albo ze słowami Manfreda Webera, który będzie „zwalczał PiS, bo to jego polityczny przeciwnik”. Nie patrząc na to, że bezczelnie ingerują w polskie sprawy, robią wszystko, by Tusk wrócił do władzy, bo znów mieliby w Polsce premiera kompletnie podporządkowanego ich decyzjom, bez własnego kręgosłupa i ambicji zakorzenionych w Warszawie.

Jarosław Kaczyński, polityk od zawsze związany z Warszawą, dzisiaj otwiera listę wyborczą PiS w Kielcach. To wyborczy trik, polityczna pragmatyka, a może – jak twierdzi opozycja – ucieczka od konfrontacji z Donaldem Tuskiem?

To jest przede wszystkim bardzo dobra decyzja. Myślę, że tam, na ziemi świętokrzyskiej, w tym naprawdę sporym okręgu, osiągniemy świetny wynik. Ucieczka przed Tuskiem... Nie skomentuję tego nawet. Mówiąc całkiem poważnie, chcemy dać jasny sygnał, że nie ma dla nas ważniejszych i mniej ważnych miejsc w Polsce. Że wszystkie miasta, miasteczka, miejscowości i wsie mają mieć takie same szanse. Nawet nasi przeciwnicy już wiedzą i powtarzają głośno, że wybory wygrywa się w Końskich. Tak, ważna jest Polska także poza Warszawą i innymi dużymi miastami. Wszystkie regiony traktujemy poważnie.

Jakie ma pani postanowienie na tę kampanię, w której pani sama nie startuje, ale wspiera ją bardzo aktywnie?

Chcę powiedzieć Polakom, że dobrze zainwestowali w obóz, który od ośmiu lat rządzi Polską. Jadę do moich rodaków z czystym sumieniem, ale też zwracam się do moich kolegów z partii z przestrogą, że nie wolno nam zmarnować tego potencjału, którym zostaliśmy obdarzeni. Nie możemy zapominać o naszym najwierniejszym elektoracie. Musimy oczywiście szukać nowych wyborców, przekonywać nowe osoby, ale nie wolno nam zawieść tych, którzy nam zaufali w 2015 r. i 2019 r. Nikt nas nie zwolnił ze zobowiązań, które wówczas podjęliśmy.

Kaczyński w górę, Tusk w dół

Trzecia kadencja Prawa i Sprawiedliwości jest coraz bardziej realna



STANISŁAW JANECKI

Wielkim manewrem strategicznym Donalda Tuska miała być jedna lista bez „jednej listy”, bo ta legła w gruzach. Chodziło o jedną listę, ale w ramach Koalicji Obywatelskiej, czyli taką konstrukcję, w której elektoraty Nowej Lewicy i Trzeciej Drogi mogłyby odnaleźć frakcje i ludzi odpowiadających im ideowo. Stąd manewr z wzięciem na listy KO lidera Agrounii Michała Kołodziejczaka, Romana Giertycha razem z jego akcją „Sieć na wybory”, celebrytów w rodzaju Bogusława Wołoszańskiego czy Apoloniusza Tajnera, lewicowych aktywistek typu Jana Szostak (nie wypaliło z powodu aborcyjnej nadgorliwości kandydatki), córki łódzkiego milionera Aleksandry Wiśniewskiej czy osób określających się jako San Kocoń – „aktywizacje”, „rzecznicy” i „człowiecze” z Krakowa. To ma być jedna lista bez „jednej listy”. A gdyby zakładany przepływ wyborców był widoczny w sondażach, padłoby zapewne wezwanie Donalda Tuska, by nie marnować głosów i poprzeć KO.

Optymalnym wariantem byłoby dla Tuska zwerbowanie części zwolenników Nowej Lewicy oraz Trzeciej Drogi, a najlepiej, gdyby towarzyszyły temu tendencje rozłamowe w obu blokach. Wtedy więcej osób mogłoby głosować na KO,

prezentującą się jako ugrupowanie najsilniejsze i stabilne.

Wariantem początkowo dla Tuska awaryjnym, a obecnie uznawanym za najbardziej realny, jest dogadanie się z Konfederacją: nie atakujemy was w kampanii, ale za to po wyborach pomagacie nam stworzyć rząd techniczny z kimś innym niż Donald Tusk na czele (niemającym ani charyzmy, ani wielkich wpływów), opanowanie mediów publicznych i przynajmniej Orlenu, a potem rozpisanie przyspieszonych wyborów.

Jedynym problemem jest to, że sondażowe tendencje są odwrotne do planów Tuska, bo realnie to on traci, a zyskuje Jarosław Kaczyński. Jedna lista bez „jednej listy” może się okazać przedsięwzięciem „o jeden most za daleko”, nawet dla części twardego elektoratu Platformy.

POWAGA KONTRA ROZRYWKA

Sondaże z końca sierpnia i początku września 2023 r. coraz bardziej przypominają te z podobnego okresu w 2019 r.: wtedy i obecnie notowania Prawa i Sprawiedliwości wynosiły ok. 40 proc., zaś Koalicji Obywatelskiej poniżej 30 proc. Z tym że cztery lata temu znacznie słabsza była Konfederacja, więc już latem 2019 r. PiS notowało nawet 45-proc. poparcie.

W badaniu CBOS przeprowadzonym między 14 a 27 sierpnia 2023 r. na PiS zagłosowałoby 37 proc. (wzrost o 8 pp.), zaś na KO 21 proc. (spadek o 7 pp.). W sondażu pracowni Social Changes dla wPolityce.pl, zrealizowanym między 18 a 21 sierpnia 2023 r., głosowanie na PiS zadeklarowało 39 proc. badanych, zaś na KO 29 proc. W sondażu Kantar dla „Fak-

tów” TVN (12–13 sierpnia 2019 r.) 44 proc. respondentów popierało listę PiS, a listę KO 27 proc. (Konfederacja miała wtedy 5 proc. poparcia, podczas gdy w sierpniu 2023 r. 12 proc.).

We wrześniu 2019 r. największym poparciem – od 40 do 48 proc. – cieszyło się PiS. Koalicja Obywatelska odnotowywała wyniki w granicach 23–30 proc., a Konfederacja od 2 do 7,5 proc. W wyborach w 2019 r. na PiS głosowało 43,59 proc., na KO – 27,40 proc., a na Konfederację 6,81 proc.

Sukces jednej listy bez „jednej listy” ogłasza na razie coś, co się nazwało „Political Changes”. To coś opublikowało 4 września 2023 r. wiadomość na portalu X (dawniej Twitter), że „PO przez poszerzenie skrzydeł (Kołodziejczak, Giertych) zbliża się do 40%. Maleje poparcie dla 3D, ale nadal ma dystans do prognozy Lewica znów bez szans na mandaty”. O Political Changes już 29 października 2021 r. tak pisano na portalu NaTemat: „Użytkownikom Twittera ostatnimi czasami zdarza się emocjonować sondażowymi wynikami, jakie ma dostarczać pracownia Political Changes. Wynika z nich, że PiS i PO de facto remisują. [...] W rzeczywistości za tym wszystkim stoją jednak... kpiny Romana Giertycha”. Najpierw „wyniki” ogłaszał tylko Giertych, potem rzekoma pracownia, która ma nawet ubogą stronę. I tam wypisuje, że „Political Changes to wyspecjalizowane centrum badania opinii prowadzące sondaże, opracowujące analizy i raporty oraz formułujące prognozy preferencji społeczno-politycznych. Nasz zespół stanowią doświadczeni nauczyciele akademicy oraz analitycy-praktycy”. Oczywiście żaden „ekspert” się nie pojawił, bo

to przedsięwzięcie rozrywkowe, ale też manipulatorskie, ale część zwolenników opozycji traktuje je serio i stosownie się nakręca.

MISTRZ NIESPEŁNIONYCH OBIETNIC

Prognozy są takie, że do wyborów 15 października 2023 r. liczba niezdecydowanych będzie malała, i to na korzyść PiS, zaś odbierająca tej formacji trochę

partia egoistyczna, partia Polski solidarnej kontra partia Polski liberalnej, partia stabilna ideowo kontra partia „od ściany do ściany”.

Platforma jako zwornik i lider opozycji traci, gdyż większość Polaków (nawet część zwolenników opozycji) dużo bardziej boi się rządów Tuska i spółki niż trzeciej kadencji partii Jarosława Kaczyńskiego. Zagrożenia zewnętrzne sprawiają, że rządy opozycji uważane są za wielce ryzykowne, a wręcz niebezpieczne.

Wyborców zniechęconych do PiS do ponownego poparcia tej partii zmobilizowało kilka widocznych już tendencji oraz istotne wydarzenia. Najważniejsze jest ogłoszenie referendum w sprawie fundamentalnych kwestii bezpieczeństwa. Opozycja się go panicznie boi, a duża część społeczeństwa uważa je za wyraz szacunku do siebie. Nieprzypadkowo w badaniu dla „Wiadomości” TVP z 29–31 sierpnia 2023 r. na każde pytanie referendalne „nie” odpowiedziało ponad 90 proc. badanych.

Na mgliste zapowiedzi Tuska (zannonowane podczas kampusu Trzaskowskiego, a ogłoszone 9 września 2023 r.) „100 konkretów na 100 dni”, PiS zaczęło przedstawiać propozycje adresowane do konkretnych grup społecznych, m.in. programy „Przyjazne osiedle” (modernizacja i renowacja blokowisk, co może objąć aż 8 mln Polaków), „Lokalna półka” (obowiązek, aby markety w swojej ofercie miały minimum dwie trzecie owoców, warzyw, produktów mlecznych i mięsnych oraz pieczywa pochodzących od lokalnych dostawców), „Dobry posiłek” (zdecydowana poprawa jakości i wartości posiłków dla pacjentów przebywających w szpitalach). Tusk i PO mieli ogromny problem z pojawiającymi się tuż przed ich konwencją w Tarnowie propozycjami PiS, bowiem zawsze najwięcej korzysta ten, kto jest pierwszy. I dużo wiarygodniejszy jest ten, kto proponuje kilka ważnych spraw, a nie 100. Sam Donald Tusk ośmieszył zresztą zapowiadane „100 konkretów”, gdy w sierpniu 2023 r. tłumaczył, że nie warto składać obietnic, bo łatwo je zwerfikować i potem są tylko kłopoty. Gdy chodzi o niespełnione obietnice, Donald Tusk jest mistrzem, ale to mistrzostwo nie jest doceniane przez Polaków.

głosów Konfederacja może tracić.

Po pierwsze dlatego, że będzie postrzegana jako ewentualny sprzymierzeniec Tuska, a nie Kaczyńskiego (wariant ze wspólnym rządem technicznym). Po drugie, w sierpniu 2023 r. Konfederacja prawie całkowicie zrezygnowała z wyrazistości swego przekazu, przestała głosić radykalne poglądy. A przez to staje się dość miłą partią centrowo-liberalną, w społecznym odbiorze nieróżniącą się wiele od PO czy Polski 2050 Szymona Hołowni.

To sprawia, że we wrześniu 2023 r. wyodrębni się podział na osi PiS–PO (KO i tak jest traktowana jako atropa, sugerująca, że koalicjanci coś znaczą). I podział ten przebiega wzdłuż kilku wyraźnych linii: partia polska kontra partia niemiecka, partia Polski suwerennej kontra partia Polski wasalnej, partia odwagi kontra partia białej flagi, partia bezpieczeństwa versus partia zagrożenia, partia Polski dobrobytu versus partia biedy w Polsce, partia wszystkich Polaków kontra partia uprzywilejowanych, partia empatyczna versus



NIEBEZPIECZNY JAK TUSK

Tusk traci, gdyż często opowiada bajki, np. gdy deklaruje: „Skladam uroczyste przyrzeczenie, że dzień po wyborach pojedę i odblokuję pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy”. Po pierwsze, to formalnie nierealne. Po drugie, jeśli coś było możliwe z dnia na dzień, to znaczy, że Komisja Europejska celowo i w zmo- wie z Tuskiem działa przeciw Polsce, by pomóc przewodniczącemu PO wygrać wybory.

Sprawa nie jest jednak dla Tu- ska prosta, gdy kampania wybor- cza toczy się w klimacie, który po- stał wokół serialu TVP „Reset”. Produkcja ta ujawnia nie tylko piętrowe uwikłania Tuska i jego ekipy, ale też przedstawia doku- menty jednoznacznie wskazujące na współpracę rządu Tuska z Rosją i Putinem, ewidentnie szkodzącą Polsce. Na działania podejmo- wane wspólnie przeciwko pre- zydentowi RP Lechowi Kaczyń- skiemu, czego kulminacją była śmierć polskiej elity państwowej pod Smoleńskiem. Z tego powodu Tusk jest postrzegany jako zagro- żenie dla Polaków. Także wtedy, gdy jego rządy oznaczałyby zbu- rzenie zapory na granicy polsko- białoruskiej, a przede wszystkim wycofanie się z wielu kontraktów dotyczących zakupów sprzętu wojskowego i broni. Polacy pa- miętają przecież „wielkie roz- brajanie” Polski w latach 2008–2014, wynikające też z resetu z Rosją, która miała nie stanowić żadnego zagro- żenia dla naszego kraju. Polacy pamię- tają sprzyjanie Rosji, gdy np. w 2012 r. otwarto granicę dla tzw. małego ruchu z Obwodem Królewieckim.

Kaczyńskiemu rośnie, a Tuskowi spada, gdyż większość Polaków obawia się, że Tusk zlikwiduje wszystkie zdoby- cze socjalne i materialne rodzin, w tym dzieci, pracowników oraz emerytów i rencistów. Zagrożone czuje się trzy czwarte z 8 mln emerytów i rencistów pobierających świadczenia z ZUS. Tusk nie mówi o tym otwarcie, ale mówią do- radcy, np. Bogusław Grabowski. Gene- ralnie Tusk kojarzy się z odbieraniem i pogarszaniem sytuacji materialnej

Polaków, zaś Kaczyński z dodawaniem i poprawianiem.

W polskim społeczeństwie negatyw- nie odbierana jest podległość PO i Tuska Niemcom, co szczególnie widać wobec braku poparcia przez nich reparacji wojennych dla Polski. Coraz powszech- niejsze jest też przekonanie, że w Polsce Tuska nie podejmowano różnych przed- sięwzięć, bo to się nie podobało rządowi w Berlinie, a nawet rządowi w niemiec- kich landach, np. w sprawie stoczni. Uzasadnione są obawy, że ewentualny

W badaniu CBOS przeprowadzonym między 14 a 27 sierpnia 2023 r. na PiS zagłosowałoby 37 proc. (wzrost o 8 pp.), zaś na KO 21 proc. (spadek o 7 pp.). W sondażu pracowni Social Changes dla wPolityce.pl, zrealizowanym między 18 a 21 sierpnia 2023 r., głosowanie na PiS zadeklarowało 39 proc. badanych, zaś na KO 29 proc.

rząd opozycji (z Tuskiem czy kimkol- wiek na czele) uznałby protesty Niemiec w kwestii budowy w Polsce elektrowni jądrowych, rozbudowy portu w Świnou- jściu (uwzględnienie niemieckich protestów wprost zapowiedziała Izabela Leszczyna), powstrzymałby częściową regulację Odry, zatrzymałby budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego, mającego strategiczne znaczenie nie tylko dla rozwoju Polski, ale też dla na- szego bezpieczeństwa militarnego. Dla Tuska nie ma żadnego znaczenia, że Polacy popierają szybkie i prowadzone na dużą skalę zbrojenia, uważając to nie tylko za gwarancję bezpieczeństwa, ale i za silnik polskiej gospodarki, co po- prawia naszą konkurencyjność przede wszystkim wobec Niemiec, a w niektó-

rych dziedzinach, jak cyfryzacja, daje Polsce dużą przewagę.

Do coraz większej liczby Polaków do- cierają zachodnie publikacje, pokazu- jące skok cywilizacyjny Polski, a także zapóźnienia, jakie państwa starej Unii mają wobec Polski w kolejnych dziedzi- nach gospodarki i usług, w tym usług publicznych.

SEANSE NIENAWIŚCI

Kaczyńskiemu rośnie, a Tuskowi spada, gdyż rządzący postawili na równo- mierny rozwój całej Polski, a nie tylko wybranych regionów. Mo- dernizowana jest cała Polska, cała się bogaci. To sprawia, że PiS może wykorzystać rezerwy, jakie ta partia ma poza miastami liczącymi ponad 200 tys. mieszkańców i gdzie jest bardzo mało do zyskania. Im bliżej wyborów, tym większe społeczne przeświadczenie, że Tusk jest do rządzenia kompletnie nieprzygo- towany, jego propozycje niosą dużo więcej zagrożeń niż korzyści, zaś nawet jeśli PiS popełnia błędy, to jednak się sprawdziło, tym bardziej że żaden rząd po 1989 r. nie miał do czynienia z tak wielkimi kryzysami, jak pandemia i wojna Rosji przeciw Ukrainie, czego skutkiem był m.in. napływ do Polski milionów uchodź- ców wojennych.

Na korzyść Kaczyńskiego, a na niekorzyść Tuska działa coraz po- wszechniejsze przekonanie, także w elektoracie opozycji, że przegra ona wybory. Na korzyść Kaczyńskiego działa sposób ułożenia list wyborczych: w przy- padku PiS na podstawie szczegółowych badań poszczególnych grup wyborców oraz ich oczekiwań, badań popularności kandydatów w okręgach oraz badań tego, co jest w polityce PiS odbierane jako nega- tywne. Z kolei listy Koalicji Obywatelskiej zostały ułożone wyłącznie na podstawie „intuicji” Tuska, co jest przez fachowców uznawane za amatorszczyznę i działanie na chybił trafił.

Z tych wszystkich powodów Ka- czyńskiemu rośnie, a Tuskowi spada, na co ten ostatni reaguje wściekłością i kolejnymi seansami nienawiści. Głównie dlatego, że trzecia kadencja PiS jest coraz realniejsza.



Mamy szansę na samodzielne rządy

Sztuka ma nie tylko bawić, ale i twórczo rozwijać ludzi. Wiele osób wykorzystuje jednak swój talent, dając im wysoką pozycję w kulturze masowej, do tego, by angażować się politycznie. Bardzo często robią to osoby, które nie mają podstawowej wiedzy na temat życia publicznego, polityki

*Jacek Karnowski rozmawia z **prof. Piotrem Glińskim**,
ministrem kultury i dziedzictwa narodowego*

Rozmawiamy w Karpaczu, w czasie Forum Ekonomicznego. Za nami ceremonia przyznania tytułu Człowieka Roku ambasadorowi Stanów Zjednoczonych Markowi Brzezinskiemu. Jak pan przyjął tę decyzję?

Piotr Gliški: Nagrodzono ambasadora państwa, które jest naszym bardzo ważnym sojusznikiem. Ambasadora państwa, które jest odpowiedzialne za ład światowy, i które – lepiej czy gorzej – spełnia to zadanie. Świat wyglądałby inaczej, na pewno gorzej, gdyby nie przywódcza rola Stanów Zjednoczonych.

Jest to także ambasador bardzo aktywny w sferze światopoglądowej. Kiedyś było nie do pomyślenia, by oficjalny reprezentant innego państwa angażował się w projekty otwarcie ideologiczne, czasem polityczne albo by fetował postaci, które obrażają polskich żołnierzy, broniących nатовskich granic.

Świat współczesny szybko się zmienia. Czasem na lepsze, a czasem w sposób zadziwiający. Wiele zmian wynika z presji konkretnej ideologii, która w głębszym sensie nie niesie ze sobą wartości cennych dla ludzkości. To przykre, że zmieniają się również standardy dyplomatyczne.

Artyści – rzecz jasna, nie tylko w Polsce – też często zapominają, że są przedstawicielami zawodu, który ma bawić, a w szerszym sensie także łączyć. Wielu uważa, że może narzucać swoim odbiorcom wybory polityczne. Dlaczego?

Sztuka ma nie tylko bawić, ale i tworzyć oraz rozwijać ludzi. Wiele osób wykorzystuje jednak swój talent, dając im wysoką pozycję w kulturze masowej, do tego, by angażować się politycznie. Bardzo często robią to osoby, które nie mają podstawowej wiedzy na temat życia publicznego, polityki.

Powtarzają to, co usłyszą w swojej telewizji albo przeczytają w swojej gazecie?

Niestety, tak. A artysta jako człowiek wybitny, powinien być jednak bardziej niż

zwykli ludzie odpowiedzialny za wspólnotę. Etos polskiej inteligencji zakłada przecież postawę misyjną, skierowaną ku swojej wspólnotocie. Ale to też musi się łączyć z troską o najsłabszych i z patriotyzmem. Również tradycja lewicowej inteligencji tak wyglądała. Ten etos został jednak zniszczony, i to celowo. Swoje zrobili okupanci, wojna, później komuniści dobijali, wypychali za granicę, a i hodowali swoją bolszewicką, sowiecką i peerelowską „nową inteligencję”.

Chcę jasno powiedzieć: dostaję także wiele wyrazów wsparcia od artystów, choć są to głosy dyskretne. Ludzie obawiają się presji środowiskowej, ostracyzmu, bojkotu, linczu. Przecież nawet tzw. symetryści są w publicystyce bezwzględnie niszczeni

Z sukcesami?

Oczywiście. Dzieci tej „nowej inteligencji” tworzą dziś dużą część elity, są salonem III RP. Oczywiście to nie jest jednorodne środowisko, są poststalinowcy, dzieci i wnuki KPP-owców, no i są liberałowie, z którymi zawarli sojusz. Z kolei niektórzy liberałowie – trzeba to przyznać – wierzą, że realizując swoje własne interesy, służą wspólnotocie. Problem w tym, że to się bardzo często wyradza, prowadzi do wilczego kapitalizmu, do darwinizmu społecznego. I tu możemy wrócić do artystów, którzy jako ludzie wybitni w naturalny sposób ciągną ku liberalizmowi, zwłaszcza w wymiarze indywidualistycznym i obyczajowym. Niestety, nie potrafią tego połączyć z etosem polskiej inteligencji, który opierał się na poczuciu misji, na odpowiedzialności wobec wspólnoty.

Czy jednak założenie, że zdolny aktor ma kompetencje do oceny sy-

tuacji politycznej, nie jest jednak absurdem?

Jeśli ktoś jest egocentrykiem, a do tego odniósł sukces, to uważa, że może wszystko. To są ludzie, którzy nie rozumieją, że gdyby nie odpowiedzialność innych, to wszystko by się zawaliło. Nie biorą też odpowiedzialności za skutki własnych postaw. Czy ktoś przeprosił za popieranie masowej imigracji w Szwecji, która wręcz niszczy kraj kiedyś tak dobrze funkcjonujący?

Podobnie dzieje się we Francji i Niemczech. Z powodów ideologicznych uderza się w podstawę wspólnoty narodowej.

Pan zapewnił artystom hojną pomoc w czasie pandemii, rząd PiS przywrócił ulgi podatkowe, zabrane przez Tuska, poziom inwestycji w kulturę osiągnął poziom bezprecedensowy. Nowe muzea, współprowadzenie wielu instytucji. Na tę grupę spadł deszcz prezentów. Czy jednak ktokolwiek okazał wdzięczność, podziękował?

Celebryci, którzy uprawiają politykę, to jest niewielka mniejszość. A ja jestem odpowiedzialny za całe środowisko artystyczne, za ludzi kultury. Za skromnego skrzypka, za młodego poetę, za pisarza, który nie jest modny, ale też za muzealnika, za konserwatora zabytków. Zamówiliśmy badania w tej sprawie. Wnioski są jednoznaczne: ci, którzy żyją z kultury na bardzo wysokim poziomie, to jest kilka procent. Ponad 60 proc. twórców żyje w trudnych i bardzo trudnych warunkach materialnych. Często nie mają stałej pracy i walczą o przetrwanie. Dla nich właśnie przygotowaliśmy ustawę o artyście zawodowym, która ma m.in. rozwiązać kwestię ubezpieczeń społecznych.

Ale ta ustawa nie została jeszcze przyjęta?

Tak. Nawet nie dlatego, że nie zdążyliśmy. Po prostu jeśli celebryci wychodzą i mówią to, co mówią, to ja nie jestem w stanie przekonać swoich wyborców, że warto dawać artystom kolejne „przywileje”, że warto tworzyć osobny fundusz ubezpieczeń. Polacy mają uzasadniony żal do celebrytów,

że są przez nich traktowani z taką pogardą.

Pani Krystyna Janda uważa, że PiS zabił jej mamę, ponieważ ciągle oglądała telewizję i nie mogła tego znieść.

Nie chcę się odnosić do tych słów, bo musiałbym przyczynić się do obniżenia – i tak niskiego – poziomu debaty publicznej.

Czy Andrzej Seweryn zaskoczył pana nagraniem, w którym wzywa: „Tym wszystkim Trumpom, Kaczyńskim, Orbanom, trzeba przyp...ć!”, zastrzegając jednocześnie: „Żadnych dialogów chrześcijańskich, żadnego tam, wiesz, rozumienia, debaty, porozumienia. Nie”?

Wiedziałem, jakie poglądy ma pan Seweryn. Nie są one dla mnie zaskoczeniem. Zaskoczeniem jest fakt, że wyraża je w taki właśnie sposób. Mogę też powtórzyć: gdy do mnie przychodził po pieniądze, to nie mówił, że mnie nienawidzi.

Czy w tej kampanii celebryci są jakoś szczególnie rozgrzani?

Nie, to jest pewien stały poziom. W poprzedniej kampanii też szykowali filmy, które miały przesądzić o zwycięstwie opozycji, a które nic nie zmieniły. Teraz też mamy głośny film, który ma wpłynąć na polityczne wybory Polaków. Ale chcę jasno powiedzieć: dostaję także wiele wyrazów wsparcia od artystów, choć są to głosy dyskretne. Ludzie obawiają się presji środowiskowej, ostracyzmu, bojkotu, linczu. Przecież nawet tzw. symetryści w publicystyce są bezwzględnie niszczeni. I oni – opozycja – mówią o wolności! Cały czas stosują terror środowiskowy, przemoc symboliczną, technikę paniki moralnej.

Ale Agnieszka Holland ze swoim filmem „Zielona granica” to PiS jednak pomaga, a nie szkodzi? To jest podnoszenie znaczenia tematu, w którym zdecydowana większość Polaków ufa rządowi, a nie opozycji.

Nie widziałem tego filmu, więc wstrzymam się z oceną, choć te okruczności, które pojawiają się w przestrzeni publicznej, raczej potwierdzają, że



Fot. Andrzej Witko

to coś, czego mogliśmy się – niestety – spodziewać. Ale sama sprawa granicy z Białorusią jest jednoznaczna: jesteśmy w stanie wojny hybrydowej z Rosją i Białorusią. Gdyby nie nasz mądry i stanowczy opór, Polska, ale i cała Europa, miałaby wielki problem.

Bez dużej odporności psychicznej nie da się bronić granic w dzisiejszym świecie.

Od tego są politycy, by wybierali rację stanu. Nasza odpowiedzialność jest głębsza, większa niż przeciętnego obywatela. I jestem pewien, że żadna

inna opcja polityczna nie byłaby w stanie podjąć takich odpowiedzialnych i trudnych decyzji, jakie my podjęliśmy i podejmujemy każdego dnia.

Film Agnieszki Holland znów nakręci nagonkę na Polskę, która i tak trwa. W czasie Forum Ekonomicznego w Karpaczu podczas jednego z paneli dyskusyjnych naskoczył na pana niemiecki dziennikarz z „Die Welt”. Zrobił to w sposób niezwykle obcesowy, protekcyjny – a przecież jesteśmy w Polsce, a pan reprezentuje demokratyczny werdykt Polaków.

Tak, to było charakterystyczne zdarzenie. Powiedziałem kilka krytycznych zdań na temat stanu Unii Europejskiej, wskazałem na rzecz oczywistą, czyli duży deficyt legitymizacji demokratycznych instytucji unijnych. Przecież to są głównie procedury, często podparte różnymi wygibasami prawnymi. Rządzą eksperci, rządzi świetnie opłacana biurokracja europejska, a w tle tego wszystkiego jest wyraźna dominacja państwa niemieckiego. Wskazałem też na skandale korupcyjne. I to wywołało furję niemieckiego dziennikarza, który nieomal zaczął krzyczeć, spocił się straszliwie, ale argumentów miał niewiele.

Wiara w Unię ma charakter quasi-religijny.

Ow dziennikarz twierdził, że to Unia Europejska rozwiązała kryzys covidowy, co jest o tyle zabawne, że wybuch pandemii uwiłdocił coś wręcz przeciwnego: wagę siły i sprawności państw narodowych. Pomocy finansowej też nie było – ani w czasie pandemii, ani po wybuchu wojny na wschodzie. Przekonywał także, że Unia rozwiązała kryzys finansowy. Słyszał pan o tym?

Wyemitowała obligacje, które pozwoliły nie utonąć Grecji i Włochom, które z kolei wpadły w kłopoty, bo przyjęły euro.

Tak, to wynika z polityki niemieckiej. Heroicznie rozwiązują problemy, które sami zafundowali. Polska poradziła sobie z kryzysem bardzo dobrze, ale własnym wysiłkiem, własnymi pomysłami. A KPO, które przecież miało pomagać w walce z kryzysem, wstrzymano nam pod wydumanymi pretekstami, z powodów czysto politycznych.

Napięcie między Polską a Niemcami, zarówno konkretne, wokół Odry, Swinoujścia, energii atomowej, jak i metaforyczne, są dziś najwyższe w całej Europie. Może jest tak, że tu się rozstrzyga coś naprawdę ważnego, co zdecyduje o losach kontynentu?

Ma pan rację, spór polsko-niemiecki jest bardzo wyraźny. Niemcy blokują nasze interesy gospodarcze, nie są zainteresowani naszym sukcesem. I dlatego nie możemy ustąpić ani o krok, nie możemy się cofnąć. Jeżeli to zrobimy, stanimy się tym, co już było prawie ulepione: kraj zależny, praktycznie kondominium, w którym niemieckie firmy panują na rynku, politycy niemieccy dyktują konkretne

Siła Tuska opiera się na dwóch filarach. Pierwszym jest poparcie potężnych grup interesu, tak w Polsce, jak i zagranicą. Drugim jest sprawność marketingowa. Ale ja się nie boję, chętnie zadam mu kilka pytań. Np. dlaczego nigdy nie konfrontuje się z mediami, które mają inną opinię niż media mainstreamowe? Od wielu lat rozmawia tylko z tymi mediami, które śpiewają mu „100 lat”

zmiany, „reformy”, w których zamyka się oczy na kwestię odszkodowań wojennych, słowem: nie broni się interesu polskiego społeczeństwa.

Opozycja twierdzi, że to napięcie jest winą rządu w Warszawie.

Spójrzmy na konkrety: to w Niemczech obowiązuje prawo, które pozwala na legalizację skradzionego dzieła sztuki po 30 latach. To rząd w Berlinie buduje centrum upamiętniające polskie ofiary bez konsultacji z polskim rządem, dobierając sobie z Polski ludzi, którzy podzielają jego punkt widzenia, wymazując z niego – wbrew ustaleniom sprzed wielu lat – część pomnikową. Cała

niemiecka soft power, te wszystkie niemieckie fundacje, pracują przeciwko polskiemu rządowi. W sprawie reparacji Berlin też nie ma żadnych argumentów, podświadomie wiedzą, że powinni zapłacić. Zasłaniają się niemiecką butą. Ciągłe nas pouczenia. Przecież to jest absurdalne.

Do wyborów już tylko miesiąc. Kandyduje pan z Warszawy, a nie jak zawsze z Łodzi. To boli?

Skąd. To wielkie wyzwanie i prestiż. Jarosław Kaczyński powiedział już kilka miesięcy temu, że stawia swoją osobę do dyspozycji naszego środowiska, w tym sensie, że robi wszystko, by wzmocnić nasze szanse wyborcze. Dlatego zdecydowano, że będzie walczył o głosy w okręgu kieleckim, gdzie PiS może zdobyć dodatkowy mandat. Warszawę zaproponowano mnie, rodowitemu mieszkańcowi stolicy. Uważam, że to dla mnie honor. Zastępuję przecież lidera w prestiżowym miejscu. A Łódź pokochałem, wiele dla niej zrobiłem i jestem z tego dumny.

Wezwał pan Donalda Tuska do „debaty jedynek”, on też przecież kandyduje z Warszawy. Czy jest jakiś odzew?

Nie zauważyłem. A warto porozmawiać, choćby o odszkodowaniach wojennych, które są polską racją stanu. Ale Donald Tusk reaguje w tych sprawach nerwowo.

Gdy pewien mężczyzna zapytał go o tę sprawę w czasie wiecu, niemal niego krzyczał, mówiąc: „Z jakiej paki Panu się mają należeć reparacje?”. To dowodzi, że on także intelektualnie nie bardzo dorasta do swojej roli. Każdy Polak jako członek polskiego narodu ma prawo do tych odszkodowań, a niezależnie od tego także każda rodzina indywidualnie. Wielu ludzi straciło rodziców, rodziny, szanse życiowe, także majątek, dorobek pokoleń.

Tusk w szermierce słownej jest sprawny, to właściwie jego główna broń. Ma zaplecze, które pracuje nad jego grepsami. Nie obawia się pan porażki w ewentualnej debacie?

Sila Tuska opiera się na dwóch filarach. Pierwszym jest poparcie potężnych grup interesu, tak w Polsce, jak i zagranicą. Drugim jest sprawność marketingowa. Ale ja się nie boję, chętnie zadam mu kilka pytań. Np. dlaczego nigdy nie konfrontuje się z mediami, które mają inną opinię niż media mainstreamowe? Od wielu lat rozmawia tylko z tymi mediami, które śpiewają mu „100 lat”. Politycy PiS, w tym ja, działają jednak inaczej, są bardziej otwarci. Zapytałbym także, dlaczego nie wspierał starań Łodzi o Expo w czasie, gdy był „królem Europy”, a jego głos może mógłby nam pomóc.

A dlaczego Jarosław Kaczyński nie chce debatować z Tuskiem?

Jarosław Kaczyński to polityk wielkiej klasy. Odpowiedzialny, twardy, decyzyjny, odważny, działający w polskim interesie. Taki, którego Polska potrzebuje. To polityk, który jest przeciwieństwem tego, co reprezentuje Tusk i jego ekipa w krótkich spodenkach. Platforma ma potężnych sponsorów, opiekunów, aspiruje do władzy, ale nie jest w stanie realizować żadnych projektów, które Polskę pchają do przodu, podnoszą na wyższy poziom, pozwalają spełnić ambicje i aspiracje. A Jarosław Kaczyński i PiS to potrafią. To, co zdarzyło się w ciągu ostatnich ośmiu lat to przecież nieprawdopodobny sukces, za którym stoi wizja Jarosława Kaczyńskiego, poparta umiejętnością korzystania z narzędzi naszego państwa. A to wszystko w czasie licznych plag: pandemii, wojny, nienawiści i brutalności ze strony totalnej opozycji. I dlatego debata Jarosława Kaczyńskiego z Donaldem Tuskiem nie miałaby sensu. Ale ja chętnie stanę do boju. No, już poświęcę się dla tej demokracji [śmiech]. Jeszcze raz zapraszam.

A jak według pana wygląda teraz obraz kampanii? Kto prowadzi?

To Prawo i Sprawiedliwość określiło tematy, agendę, scenariusz tej kampanii i to jest – oprócz wiarygodności – nasza przewaga. Najpierw ogłosiliśmy pytania referendalne, później

położyliśmy na stole konkretne propozycje. Działamy dynamicznie, podejmujemy sprawy ważne dla ludzi. Uważam, że jesteśmy w dobrej formie.

A jeśli zabraknie trochę do większości, to czy będzie koalicja z Konfederacją? Dziś obie strony mówią „nie”, ale innej opcji w przyszłym parlamencie może po prostu nie być.

Są momenty, gdy nie można bawić się w scenariusze dotyczące przyszłości,

Polska poradziła sobie z kryzysem bardzo dobrze, ale własnym wysiłkiem, własnymi pomysłami. A KPO, które przecież miało pomagać w walce z kryzysem, wstrzymano nam pod wydumanymi pretekstami, z powodów czysto politycznych

bo to negatywnie oddziałuje na działania bieżące. Moim zdaniem mamy szansę na samodzielne rządy i byłoby to z pewnością najlepsze dla Polski.

Konfederacja gra na emocjach antyukraińskich. Ale i stanowisko PiS jest twardsze niż parę miesięcy temu. Można postawić tezę, że ukraińska odpowiedź na polską ofertę przyjaźni i współpracy jest rozczarowująca? Że szansa mija?

Mija i – trzeba to jasno powiedzieć – odpowiedzialna za to jest strona ukraińska. My zrobiliśmy wszystko, co było naszym obowiązkiem i w naszym interesie, a nawet więcej. Tymczasem Ukrainy nie stać na to, by uporządkować sprawy dotyczące przeszłości. Wciąż blokują sprawy poszukiwań naszych ofiar rzezi wołyńskiej i ekshumacji. I żeby było jasne: przez lata to my, także ja osobiście, tę sprawę stawialiśmy

mocno i wyraźnie, nie Konfederacja. Mówiłem o tym jasno Ukraińcom: nie będzie mowy o żadnych upamiętnieniach w Polsce, jeśli wy nie zgodzicie się na rzecz podstawową w cywilizacji europejskiej, tak antycznej, jak i chrześcijańskiej, czyli na godne potraktowanie ofiar. Jesteśmy gotowi na współpracę, ekipy poszukiwawcze mogą być mieszane, nie chcemy z tego robić polityki, chcemy postawić przynajmniej krzyż z liczbą ofiar, datą śmierci, zmówić pacierz. To jest minimum, z którego nie ustąpimy. Ale trzeba też dodać, że i w tych kwestiach jesteśmy skuteczni. Uzyskaliliśmy jednak pozwolenie na poszukiwania we wsi Puźniki k. Tarnopola i tam te prace się toczą.

Czy trzecia kadencja PiS będzie oznaczała, że próby delegitymizacji tej władzy – w kraju i za granicą – wreszcie się skończą?

Każdy dzień demokracji, każdy dzień realizowania polskich interesów, zmienia rzeczywistość na lepsze. Idziemy do przodu. Ale uważam, że w trzeciej kadencji potrzeba będzie jeszcze więcej pokory. Trzeba się opierać zarówno pokusie rewanżyzmu, jak i sekciarstwa. Nie może być żadnej taryfy ulgowej dla tych, którzy nadużywają pozycji, którzy nie pracują na rzecz dobra wspólnego. A jednocześnie musimy próbować być jeszcze bardziej włączający. Tego wymaga dobro Polski. Wiele jednak zależy od opozycji – jeśli nadal będzie kulturowa model totalny, to nasze pole manewru będzie niewielkie. Byłaby to zła wiadomość, bo to niszczy demokrację, nakręca nienawiść, sprowadza debatę do oświadczeń i obrażania, osłabia Polskę, jest korzystne dla naszych rywali.

Może odejście Tuska coś zmieni? Jeśli przegra, pewnie nie będzie się męczył w polskim Sejmie.

Nie mam wątpliwości, że Tusk wrócił, by podnieść temperaturę sporu, dolożyć ognia. Zaczęło być u nas zbyt normalnie, zbyt spokojnie. Sukcesy Polski raziły wielu. Wysłano go tu po to, by podkreślić emocje, rozpałił pożar. To jest interes Berlina i Moskwy. ➤



fasizm
faszyzm
kaczyzm

Pałka faszyzmu

Podającym się za liberałów pałkarzom nie zależy na wolności. Faszyzm, z którym jakoby walczą, jest przecież urojony i służy jedynie odwróceniu uwagi od ich własnego zamordyzmu.

Rzekoma walka z faszyzmem oznacza więc tak naprawdę walkę z demokracją



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Symetryści to współczesna wersja szmalcowników” – napisał niedawno na Twitterze Zbigniew Holdys. Muzyk nie uchodzi wprawdzie za tytana intelektu, ale mając nawet szczątkową wiedzę, powinien zdawać sobie sprawę z tego, że jego porównanie – odnoszące się do uczestników odwołanego panelu na Campusie Polska Przyszłości – literalnie rzecz biorąc oznacza, że symetryści są współuczestnikami zbrodni. Być może Holdys miał na myśli kolaborantów (co również jest głupie), ale coś mu się pokielbało pod kapeluszem, więc napisał inaczej, mocniej – aby dokuczyć.

Takich jak Holdys jest wielu. Nie grzeszą wiedzą, nie za bardzo rozumieją, co się wokół nich dzieje, więc powtarzają podsuwany im przekaz. A ten od kilku lat pozostaje wśród opozycji niezmienny – w Polsce panuje dyktatura, łamane są prawa człowieka i stacamy się w stronę

faszyzmu. Ktoś, kto powie takie dyrdymały, natychmiast awansuje w swoich własnych oczach, czuje się bohaterem walki o wolność i częścią oświeconej elity. W rzeczywistości jednak pokazuje całemu światu, że nie ma najmniejszego pojęcia, o czym mówi i tym samym trywializuje ewentualne zagrożenia.

Serwis społeczności żydowskiej w Polsce jewish.pl musiał wyjaśniać Holdysowi, że „działalność szmalcowników skutkowałą cierpieniem i śmiercią pojedynczych ludzi, a nawet całych rodzin. Działalność żadnego z uczestników odwołanego panelu nie niesie takich skutków. To porównanie jest obraźliwe dla ofiar Holocaustu” – napisano.

Czy Holdys rozumiał niestosowność swojego wpisu – nie wiem. Przypuszczam, że jego środowisko polityczne ma tego rodzaju refleksje w głębokim poważaniu. Bo tutaj nie ma żadnych hamulców, idzie się do przodu, aby strącić rywala. Dzisiaj wystarczą odmienne poglądy, aby być nazwanym faszystą czy antysemitą. Wypowiedziane słowa są tylko inwektywą, bluźnieniem odartym z pierwotnej treści. Zagrożenie polega na tym, że przy takiej inflacji wyzisk prawdziwi faszyci czy antysemita pozostaną niezauważeni.

ZAPORA OGNIOWA

Pałka faszyzmu, którą bije się przeciwnika, nie jest niczym nowym. Jej wynalzcami byli komuniści, jednak o ile przed II wojną światową faszyci stanowili realną siłę, o tyle już po wojnie zagrożenie z ich strony było minimalne. Mimo to walka z faszyzmem trwała, ponieważ radykalna lewica uznała za faszystów wszystkich swoich przeciwników. W ten sposób faszyzm, który ma przecież swoją określoną definicję, stał się inwektywą używaną w propagandowej walce politycznej.

W latach powojennych rzekomymi faszystami byli najczęściej różnej proveniencji antykomuniści. Wrzucano ich do jednego wora z faszyzmem, uzasadniając to w bardzo prosty sposób. Skoro bowiem – jak tłumaczono – komunistyczny Związek Sowiecki pokonał w wojnie faszystów, to każdy, kto walczy z Sowietami, jest po stronie faszyzmu. Taka interpretacja bardzo odpowiadała Moskwie, a i dziś mamy jej pozostałości w putinowskiej propagandzie, która zarzuca nazizm walczącej Ukrainie i która regularnie przedstawia Polskę jako rezerwat antysemitów, z czego skutkami zmagaliśmy się w ostatnich latach.

W stalinowskim reżimie faszystami nazywano podziemie niepodległościowe w Polsce i każdego, kto nie chciał podporządkować się komunistycznej władzy. Ta tradycja przetrwała wśród niektórych potomków dawnych stalinistów i wraz z nimi przedostała się do naszych czasów, wzmocniona dodatkowo przez progresywne prądy płynące z Zachodu.

Z początku faszystą mógł zostać konserwatysta, chadek, katolik – czyli ten, kto respektował tradycyjne wartości. Teraz faszystą może być już właściwie każdy, jeżeli kwestionuje dogmaty liberalnej lewicy. Założyłeś rodzinę i masz dzieci? Sprzeciwiasz się aborcji? Chodzisz do kościoła? Uważasz, że istnieją dwie płcie? Jesz mięso? Nie masz depresji klimatycznej, tak jak Olga Tokarczuk? Nie bronisz karpi? Nie chcesz masowej imigracji z Afryki? – wszystko to razem oznacza, że jesteś faszystą. A skoro jesteś faszystą, to – jak każdy faszysta – stanowisz zagrożenie dla demokracji, więc powinien być izolowany.

Ta pałka faszyzmu okazała się na Zachodzie bardzo skuteczna. Do tego stopnia, że uległy jej również te siły, które uznawano niegdyś za prawicowe. Co więcej, także i one przyłączyły się do nagonki. Przykładem może być niemiecka CDU, której eksponowany polityk Manfred Weber domagał się niedawno zbudowania zapory ogniowej przeciwko PiS na wzór tej, którą w Niemczech otoczona jest nacjonalistyczna AfD.

Idea Webera jest bardzo czytelna. Chodzi o to, aby PiS – partia na wskroś demokratyczna – została wrzucona do jednego worka z sympatykami Trzeciej Rzeszy. To przecież kopia pomysłu radykalnej lewicy sprzed kilkudziesięciu lat – stygmatyzacja i eliminacja przeciwników pod fałszywymi zarzutami. Cel jest również ten sam – monopol władzy i sprowadzenie demokracji do niewiele znaczącego rytuału, w którym obywatele zostaną pozbawieni realnego wyboru. Rzekoma walka z fa-

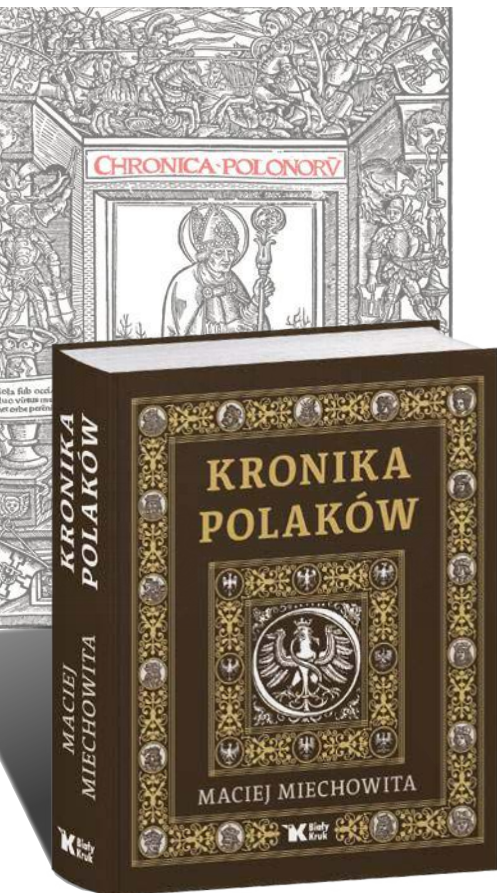
szyzmem oznacza więc tak naprawdę walkę z demokracją.

ŁAPAĆ ŻŁODZIEJA!

Tego rodzaju zabiegi byłyby o wiele trudniejsze, gdyby radykalna lewica – jakoby wojująca z faszyzmem – nie doprowadziła do zafalszowania tego pojęcia. Dla przeciętnej lewicowej Julki faszyzm w Polsce polega bowiem na tym, że rządzi PiS. Nikt jej nie prześladuje za to, że gada głupoty, może robić, co jej się żywnie podoba, chodzić na parady równości, walczyć o prawa ślimaków, bluźnić na władzę, czytać opozycyjne media, ale ona i tak uważa, że mamy w Polsce faszyzm. Albo że jesteśmy na prostej drodze do faszyzmu. Bo faszyzm jest dla niej wszystko, z czym ona się nie zgadza. Taka jest przecież obojętna definicja.

Oczywiście Julce obilo się kiedyś o uszy, że bliżej nieokreśleni naziści mordowali kiedyś Żydów, że były

REKLAMA



PÓŁ TYSIĄCA LAT OD ŚMIERCI MIECHOWITY UKAZUJE SIĘ POLSKIE TŁUMACZENIE CAŁEJ KRONIKI

Partner publikacji:

47 oryginalnych
drzeworytów,
512 str.,
format 19,5 x 24 cm,
twarda oprawa,
złocenia, tłoczenia.

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Bank Polski

Dla czytelników tygodnika „Sieci” 35% taniej!

Wejdź na stronę bialykrak.pl i wykorzystaj kod rabatowy **SIECI35**
(ważny do końca października 2023)

ZAMÓWIENIA: Biały Kruk Sp. z o.o., ul. Szwedzka 38, 30-324 Kraków,
tel.: 12/254 56 02, 12/254 56 04, 12/254 56 31, faks: 12/254 56 00,
e-mail: dystrybucja@bialykrak.pl, www.bialykrak.pl

Przy zamówieniu na kwotę powyżej 200 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

miliony ofiar, że istniały obozy koncentracyjne, ale nie potrafi wyjaśnić, dlaczego nie ma tego wszystkiego w obecnej Polsce. I dlaczego PiS, mimo ośmiu lat rządów, nie wsadził jej jeszcze do więzienia. Zapewne dlatego – myśli sobie Julka – że sprzeciwiam się reżimowi, rysuję kredkami hasła na chodniku i chodzę na demonstracje. To bardzo skuteczne metody, szkoda, że nikt na to nie wpadł przed wojną. Wtedy nie byłoby Hitlera ani jego zbrodni.

W tej celowo przejawionej przeze mnie optyce Julki, ofiary totalitarnych zbrodni, same są sobie winne, bo nie zdołały w wystarczający sposób sprzeciwić się oprawcom, nie były tak odważne, jak np. Marta Lempart, która twardo stawia czoło faszystowskiemu reżimowi. Jarosław Kaczyński jest tu Hitlerem albo Mussolinim, a Marta Lempart – rtm. Pileckim albo Mordechajem Anielewiczem. Jeżeli to nie jest banalizacja zbrodni, a zarazem pohańbienie ofiar, to trudno powiedzieć, co nią może być.

Krótko mówiąc – liberalna propaganda, waląc na oślep pałąk faszyzmu, nie tylko działa w złej wierze, dążąc do monopolu władzy, ale impregnuje młodych ludzi na możliwe zagrożenia. Co bowiem z tego, że będą oni odmieniali słowo faszyzm przez wszystkie przypadki, skoro nie znają prawdziwego znaczenia tego pojęcia?

Być może jednak nie powinni go znać. Bo chyba niesłusznie zakładamy, że pałkarzom naprawdę zależy na wolności. Faszyzm, z którym rzekomo walczą, jest przecież urojony i służy jedynie odwróceniu uwagi od ich własnego zamordyzmu. Komuniści i radykalna lewica też przecież kiedyś wmawiała ludziom, zwłaszcza na Zachodzie, że stoją po stronie demokracji. Wielu, niestety, dało się zwieść i stali się tym samym pożytecznymi idiotami. Ci naiwni ludzie uwierzyli, że bronią wolności, podczas gdy w rzeczywistości służyli najbardziej okrutnym tyranom.

Teraz mamy do czynienia z podobnym schematem. Nowa generacja zamordystów kamufluje swoje autorytarne ciągoty takimi samymi hasłami o walce w obronie wolności. Jednak w rzeczywistości zależy im przede wszystkim na zniewoleniu społeczeń-

stwa. To trochę tak jak z powiedzeniem o złodzieju, który najgłośniejsz wrzeszczy: „Łapać złodzieja!”.

Jeżeli więc ludzie, szczególnie ci młodzi, dadzą się oszukać, to za jakiś czas obudzą się w świecie, w którym ich głos nie będzie się liczył. Wtedy być może zrozumieją, na czym polega prawdziwa dyktatura, ale na walkę z nią będzie już raczej za późno.

KOZETKA U PSYCHOLOGA

Oczywiście nie wszyscy są tacy jak Julka czy wspomniany wcześniej Hołdys. Niektórym po prostu nie wypada robić z siebie ignorantów. Dlatego kombinują, tworzą brawurowe teorie dla ćwierćinteligentów, aby przekonać ich, że to, co widzą, jest w rzeczywistości zupełnie czymś innym.

Kilka miesięcy temu Marcin Matczak napisał artykuł do „Gazety Wyborczej”, w którym przekonywał swoich czytelników, że żyją w „faszystowskim państwie PiS”. Matczak jest prawnikiem, więc dobrze zna definicję faszyzmu. Wie, że gdyby Polska naprawdę była państwem faszystowskim, to nie byłoby tu wolności słowa, nie można byłoby więc wygłaszać dowolnych głupot i on sam nie pisałby żadnych artykułów. Dlatego wymyślił pojęcie „psychologicznego faszyzmu”, który miałby polegać na „stworzeniu państwa, w którym nagradza się za skuteczną agresję – stołkami, kontraktami, awansem”.

Nie bardzo wiadomo o co właściwie chodziło Matczakowi z jego „psychologicznym faszyzmem”. Być może ta zawiła konstrukcja miała ukryć jej brak związku z rzeczywistością. Bo Matczak pisze tak naprawdę o faszyzmie wirtualnym lub faszyzmie urojonym, który zrodził się wyłącznie w jego głowie. Niewykluczone zresztą, że jego czytelnicy cierpią na podobne dolegliwości.

Całkiem prawdopodobne jest też, że artykuł Matczaka jest rodzajem projekcji jego samego i środowiska politycznego, które reprezentuje. To znany z psychologii mechanizm, w którym przypisuje się innym własne negatywne cechy i zachowania. W tym sensie faszyzm, o którym pisze Matczak, byłby rzeczywiście psychologiczny.

OD FASZYSTY DO DEMOKRATY

O tym, że zarzut faszyzmu jest formułowany instrumentalnie, świadczy choćby szerokie stosowanie abolicji wobec każdego, kto przyjmie pożądaną postawę polityczną. Najgłośniejszym przykładem może być tutaj Roman Giertych, który z powodu swojego obsesyjnego antypisizmu został mianowany demokratą, zasługującym nawet na start z listy wyborczej Tuska. Podobnie było wcześniej z Michałem Kamińskim, który w 1999 r. odbył wraz z Markiem Jurkiem i nieżyjącym już Tomaszem Wołkiem słynną pielgrzymkę do łoża boleści Pinocheta. Dziś nikt nie ośmieli się nazwać go obelżywie faszystą, bo to przecież zasłużony demokrat.

Takich ludzi jak Giertych czy Kamiński jest więcej – nie tylko wśród polityków, ale również wśród dziennikarzy, profesorów, a nawet duchowieństwa. Nazwisk nie ma sensu przytaczać, bo jest ich zbyt wiele. Zresztą istota rzeczy nie polega tu na nazwiskach, lecz na dość specyficznej metodzie walki politycznej.

Pałkarze nawet nie kryją się z tym, że nie chodzi im o żaden faszyzm. Będą bić pałąk tak długo, dopóki politycznie nie zabiją przeciwnika albo dopóki on sam nie wywiesi białej flagi. Jednego dnia możesz być więc nazywany faszystą, a już kolejnego – jeżeli zmienisz front albo po prostu się złamiesz – nieoczekiwanie zamieniasz się w demokratę. To metody walki, które z demokracją mają niewiele wspólnego. Prędkiej z zastraszaniem w totalitarnym stylu, z łamaniem słabych kręgosłupów lub po prostu z polityczną korupcją, gdzie najpopularniejszą walutą jest kariera i wysokie stanowiska.

Bicie pałąk jest też ostrzeżeniem dla tych, którzy ośmielają się mieć jakiekolwiek skrupuły czy wątpliwości. To właśnie dlatego oberwało się nieszczęsnym symetrystom, których Hołdys nazwał szmalcownikami. Szeregi zamordystów muszą być przecież zdyscyplinowane i wyrównane.

Naszym „antyfaszystom” zależy na demokracji w takim samym stopniu, w jakim Sowietom zależało kiedyś na pokoju. To tylko pusty slogan ukrywający ich rzeczywiste zamiary.

DZIAŁAMY WSPÓLNIE NA RZECZ ZRÓWNOWAŻONEJ PRZYSZŁOŚCI



**W 2022 r. wygenerowaliśmy 335 mld zł
wsparcia dla polskiej gospodarki**

Piąte pytanie referendum

Ten plebiscyt ludowy już trwa. Rozpoczął się u zarania III RP, ale teraz, przed wyborami 15 października, osiąga apogeum, krystalizuje się, jego wynik się wykuwa. Ten plebiscyt nie jest sformalizowany, ba, nawet nie ma w nim jednoznacznego pytania, ale to, co niedopowiedziane, jest nie mniej ważne niż każda z czterech spraw poruszonych w referendum, które odbędzie z wyborami



DARIUSZ MATUSZAK

Tak naprawdę to my – wolni, świadomi swych praw obywatele oraz ci, którzy czują się władcami naszych umysłów i dusz odpowiadamy na piąte, niezadane pytanie. Można je sformułować tak: „Czy jesteś za tym, by obywatele w sposób bezpośredni decydowali o najważniejszych sprawach państwa, swych prawach i obowiązkach oraz głosując w referendum, rozstrzygali o nich w sposób ostateczny?”. Ostateczny, tzn., że rząd i parlament muszą rozstrzygnięcie wdrożyć i będzie ono obowiązywało, dopóki nie zmieni go następne referendum.

POLAK GÓWNIARZ

Być może początek dyskusji na temat tego pytania i udziału obywateli w we władaniu państwem dała wypowiedź Bronisława Geremka, który po klęsce wyborczej Tadeusza Mazowieckiego stwierdził: „Polacy nie dorośli do demokracji”. Była to teza lansowana też przez główny ośrodek wykuwania świadomości – „Gazetę Wyborczą”, która przez lata kreowała rządy, była ich karbowym oraz neurasteniczną, historyczną przedszkolanką dla niedojrzałego społeczeństwa. W 2015 r. Adam



Fot. Andrzej Skwarczyński

Michnik – arbiter demokracji, tolerancji i czego tam jeszcze – mówił, że „nie można oddać Polski gówniarzom”. Pogardliwe określenie padło w kampanii prezydenckiej i tak mu się spodobało, że powtarzał je wielokrotnie. Choć chamskie, to paradoksalnie w porównaniu z retoryką totalnej opozycji nawet stosunkowo łagodne, niemal do przyjęcia. Ot, takie nieelegancie, ale pozbawione treści epitety, jakimi starszy pobudzony pan może obrzucić kogoś na ulicy.

POLAK NIEWYTRESOWANY

Znacznie podlejsza bywa elegancja. Były RPO, dziś kandydat do Senatu

Adam Bodnar, odbierając w Niemczech medal od Federalnego Związku Towarzystw Niemiecko-Polskich, mówił o Polakach tak: „Polska kultura prawna i przemiany po 1989 r. zostały zainspirowane i były wspierane przez niemiecką myśl prawniczą. Na tym opieraliśmy naszą integrację europejską. Ale to powoduje – po stronie mentora – także szczególną odpowiedzialność. Jak w przypowieści z »Małego Księcia«. Jeśli oswoi się zwierzątko, to nie można go później porzucić”.

Jak słodko i jak podle to brzmi. Pełne pogardy, a jednocześnie oślisłego lokajstwa. Niemcy nas jakoś oswoiili i powinni dalej tresować. Ciekawe, jakim

zwierzątkiem jesteśmy? Małpką? Pie-
skiem? W każdym razie zwykłych świń
nie brakuje.

I dalej Bodnar dziękuje Niemcom:
„Kryzys w Polsce już teraz oznacza
wiele złego dla Polaków. Ale on może
stać się także zarzewiem kryzysu eg-
zystencjalnego dla Unii. Właśnie ze
względu na tragiczne doświadczenia
historyczne na Niemczech i na Repub-
lice Federalnej Niemiec spoczywa
szczególna odpowiedzialność za
przyszłość Unii – całej Europy, w tym
państw na wschód od dawnej żelaznej
kurtyny”.

Bodnar wygłaszał te brednie
w 2021 r., kiedy kanclerzem Niemiec
była jeszcze dawna komunistyczna
działaczka z leżącego na „wschód od
żelaznej kurtyny” NRD Angela Mer-
kel. Niby dlaczego na spadkobiercach
zbrodniarzy miałyby teraz spoczywać
„szczególna odpowiedzialność za przy-
szłość”? Może powinno być odwrotnie.
Może Niemcy powinni siedzieć cicho
i nie narzucać się ze swoimi wizjami
przyszłości Europy. Tych wiader lep-
kiego lukru, które Bodnar Niemcom
ulewa nie tylko moralnie, ale i intelek-
tualnie, nie da się strawić.

SKAMIELINA POSTĘPU

I kolejny przykład, jak z odległej,
zastygłej przeszłości, „świata, który
nie może zagać”. Wrzesień 2023 r.,
żywa skamielina postępu prof. Rado-
sław Markowski właśnie wygrzebał
w „GW” swoje stare skorupki i odczy-
tuje z nich: „Społeczeństwo nieoczy-
tane nie rozumie, że brak zaintereso-
wania powoduje, iż mamy być jakich
polityków”. „Przecież jedynkami PiS
są ludzie nigdzie niezatrudniani.
To jest klientelistyczny grajdół”.
„5–6 mln pisowskiego elektoratu
nie miało ani jednej książki w ciągu
roku w rękach”. „W polskiej histo-
rii nigdy nie było tak skrzywionego
elektoratu, jak ten po 2019 r., gdzie
dwie trzecie ludzi z wykształceniem
podstawowym i dwie trzecie poza
rynkami pracy jest siłą mogącą zbu-
dować rząd”, „Jestem rozczarowany
znaczłą częścią młodzieży, która nie
potrafi odtworzyć sensu kilku stron
książki ze zrozumieniem”.

To strofy ze skorup potłuczonych
garnków, które Markowski od zawsze
wypalał. Np. w 2020 r. dla „Polityki”
też odczytywał to, co tam dawno temu
w glinie wyskrobał: „Polacy nie są oby-
watelami wysokiej jakości. Mówię nie
o kwestiach patriotyzmu, ale o takich
rzeczach, jak np. udział w wyborach.
[...] O niskim rozumieniu dobra
wspólnego i gotowości cierpliwego
działania na jego rzecz. Także wie-
dza polityczna Polaków jest nieduża:
szwankuje rozpoznawanie ludzi poli-
tyki, ale też rozumienie procedur po-
litycznych”. Do końca świata na skorup-
kach Markowskiego jak na kamieniu
z Rosetty będzie wyryte to samo. Pro-
fesor zatrzymał się w rozwoju wieki
temu i żadnych nowych garnków już
nie wypali. Podobnie wielu innych
mniemanych Prometeusza polskiej
europejskości.

Po co te cytaty? Bo to są powtarzalne
wzorce bełkotu pogardy. Sprawa jest pro-
sta: Polski nie można oddać gówniarzom,
więc nie można ich pytać o cokolwiek.
O to, czy chcą, by im zwieziono w wago-
nach nielegalnych imigrantów do prze-
siedlenia albo jak długo mają pracować.
Nie pyta się zwierzątek, które Niemcy
niewystarczająco wytresowali na Euro-
pejczyków. Chomik czy świnka morska
nie mówią, jaką kłatkę chcą. Może to
Niemcy, skoro spoczywa na nich szcze-
gólna odpowiedzialność, powinni roz-
strzygnąć nasze referendum?

Po co na ważne pytania dotyczące
państwa i naszej wspólnoty mieliby
odpowiadać obywatele niskiej jakości,
tacy, co to nic nie czytają, a jak przeczy-
tają, to nie rozumieją? Wspomnijmy,
co ma do powiedzenia o wyborcach król
Europy Donald Tusk: „Dzisiaj królami
życia są ci, którzy chleją, biją dzieci, biją
kobiety i pracą się nie zhańbili od wielu,
wielu lat. Wymarzona klientela władzy,
która ma podobny sposób myślenia
– PiS – Patologia i Sitwa”. Czy naprawdę
światli ludzie jak Tusk mogą dopuścić,
by o ważnych sprawach decydowały
pijane lenie? Pójdzie taki uchłany na
referendum i co?

* * *

W obrzydzeniu referendum nie chodzi
tylko o strach, że ono pomoże wybor-
czo PiS. Przyczyna jest głębsza – owo

niczym niezachwiane, na odwiecznych
skorupach wyryte przekonanie, że
Polak jest głupi, nieeuropejski, to jed-
nostka „niskiej jakości”. Racjonalne jest
więc przekonanie, iż niskogatunkowym
ludziom nie można powierzać decyzji
o losach państwa i wspólnoty. Oni nie-
prawidłowo głosują w wyborach, a co
dopiero w jakimś referendum. Udział
w nim jest znacznie gorszy niż w elek-
cjach. A co, jeśli tym Polakom się to spo-
doba i będą chcieli częściej bezpośred-
nio wypowiadać się na temat ważnych
dla siebie spraw? Skoro partie się co do
czegoś zgadzają, to po co Polaków py-
tać? Raz zapytasz, a potem się okaże, że
choć Tusk z Hołownią czy kim tam się
dogadali, to jeszcze obywatele chcieliby
się wypowiedzieć. Po co to komu?

Francuski publicysta Patric Ederly
znakomicie przedstawił ten problem
w artykule dla portalu delibeRatio.
„Choć w sondażach aż 70 proc. Fran-
cuzów życzyłoby sobie ukrócenia imi-
gracji, to jednak, inaczej niż w Polsce,
nasi rządzący, wpuszczając do Francji
corocznie mniej więcej tyle osób, ile
zamieszkuje Niceę, nigdy nie zapytali
nas o zdanie” – pisze. A po co pytać ja-
kichś tam byle Francuzów, skoro partie
głównego nurtu się dogadały w spra-
wie imigracji? Podobnie w Niemczech.
Tam SPD, CDU, Zieloni, FDP robią
to, co sobie wielki biznes życzy i nie
będą pytać hołoty, czy mogą na roboty
sprowadzić jeszcze 6 mln robotli z Azji
i Afryki.

Z tego punktu widzenia polskie re-
ferendum to niebezpieczna rzecz i dla-
tego niemieckie media je zwalczają. Nie
chodzi tylko o to, że utrudnia ono osa-
dzenie u władzy Tuska z PO, ale daje też
fatalny przykład Niemcom. Jeszcze lud
z Halle czy Kolonii zażąda, by polskim
wzorem referendum przeprowadzono.
Ba, ono jest niebezpieczne dla samej
Unii. Belgowie, Szwedzi, Włosi też je
zobaczą. Za wszelką cenę więc trzeba
je obrzydzić. Nie mogą jacyś byle Polacy
swymi referendumi psuć porządków
w Unii. A tymczasem my odpowiemy
też na pytanie: „Czy jesteś za tym, by
obywatele w sposób bezpośredni de-
cydowali o najważniejszych sprawach
państwa, swych prawach i obowiązkach
oraz głosując w referendum, rozstrzy-
gali o nich w ostateczny sposób?”

Ukraińskie zboże nie wjedzie do Polski

Jeżeli będzie trzeba, ostatniego dnia obowiązywania embarga wydamy swoje rozporządzenie, które zakaze importu do Polski czterech zbóż do końca roku – mówi **Robert Telus**, minister rolnictwa i rozwoju wsi, w rozmowie z Maciejem Wością („Gazeta Bankowa”) podczas Forum Ekonomicznego w Karpaczu

Co wydarzy się 15 września na polskiej granicy z Ukrainą? Dokładnie tego dnia ma przestać obowiązywać unijny zakaz importu pszenicy, kukurydzy, rzepaku i słonecznika do Bułgarii, Węgier, Polski, Rumunii i Słowacji.

Robert Telus: Odpowiadam wprost – zboże z Ukrainy nadal nie będzie wjeżdżało do Polski. Po prostu.

Ale będzie mogło przejechać przez Polskę?

Tranzystem tak, ale nie trafi na polski rynek.

Czekamy na twardą decyzję Komisji Europejskiej w tej sprawie, udało się przekonać kraje graniczące z Ukrainą, by poparły wniosek o przedłużenie embarga na pochodzące z tego kraju zboże. A co z pozostałymi państwami unijnymi? Mam wrażenie, że cały czas musimy namawiać Unię, by przyłączyła się do nas.

Kraje graniczące z Ukrainą są żywo zainteresowane utrzymaniem embarga, bo to do nas to zboże bezpośrednio wjeżdża. Zatrzymaliśmy je na granicy 15 kwietnia, zbudowaliśmy koalicję państw przyfrontowych, co spowodowało, że Unia zaczęła wreszcie rozmawiać na ten temat i podejmować jakiekolwiek decyzje. UE postanowiła przedłużyć embargo do 15 września.



Dlaczego tylko do 15 września?

Tego nie rozumiemy. To nie ma żadnych merytorycznych podstaw. Właśnie wróciłem z Kordoby, ze szczytu unijnych ministrów rolnictwa, gdzie rozmawialiśmy na temat embarga. I gdyby decyzję w tej sprawie mieli podejmować właśnie ci ministrowie, jestem przekonany w 100 proc., że by ją poparli. Wiedzą, jak ważne są sprawy dotyczące żywności, nie widzą żadnych przeszkód, by przedłużyć embargo. Ale czy taką decyzję podejmie Komisja Europejska? Nie wiem, bo będzie ona

polityczna. Obawiam się, że może być dla nas niekorzystna. Ale my i tak zrobimy swoje.

Chociaż muszę panu powiedzieć, że rozmowy w hiszpańskiej Kordobie pokazały, że w Unii zaczęło coś pękać w tej materii. UE widzi koalicję pięciu państw, słyszy głos Węgier, które mówią bardzo mocno, że zatrzymają ukraińskie zboże, jeżeli Warszawa to zrobi, widzą Słowację, która wypowiedzi się w podobnym tonie. Koalicja mówi jednym głosem. Jeżeli chodzi o Bułgarię, jest tam pewien problem merytoryczny, ponieważ

na tym rynku działa wielu przetwórców słonecznika, którego im teraz brakuje. Dlatego nasze stanowisko jest elastyczne, proponujemy, by do listy produktów objętych embargiem można było coś dodać albo coś z niej wykreślić, np. słonecznik, którego w kraju mamy niewiele i dla naszego rynku nie ma on większego znaczenia.

Albo dodać do tej listy miód i maliny, jak mówił pan po spotkaniu w Kordobie.

Nie, to był tylko przykład naszej elastyczności, nie więcej. Chodziło mi tylko o to, żeby nie zamykać listy, by nad nią dyskutować – za zgodą wszystkich państw koalicji – gdy pojawi się taka potrzeba.

W dyskusjach na temat embargo pojawia się nawiązanie do naszej drogi do Unii Europejskiej. Polskie rolnictwo przez wiele lat musiało się dostosowywać do jej zasad, m.in. po to, by chronić przed naszą konkurencją rynek francuski czy hiszpański. Mówiło się wtedy, że Polska wejdzie do UE dopiero wtedy, gdy dokona bardzo dużej transformacji swojego rolnictwa. Dzisiaj to samo czeka Ukrainę?

Oczywiście. Chcemy członkostwa Ukrainy w Unii Europejskiej, ale nie w tej chwili. Rolnictwo polskie i ukraińskie są całkiem inne. Na Ukrainie norma to gospodarstwa o powierzchni kilku tys. ha, a nasza średnia to kilkanaście ha. Jeżeli nie postawimy Ukrainie warunków, będziemy mieli wielki problem. Dlatego stawiamy te warunki.

Polska słyszała je w latach 90. XX w. I musieliśmy je spełnić. Ukraina też będzie musiała to zrobić, żeby wejść do Unii.

Mówił pan, że decyzja o przedłużeniu embargo będzie decyzją polityczną. Komuś tak bardzo zależy na zdestabilizowaniu sytuacji w Polsce? To sprawdzian unijnej solidarności? UE dba o wszystkie kraje tak samo?

Jest to rzeczywiście egzamin z solidarności. Unijni politycy bardzo często się na nią powołują. Teraz my mówimy „sprawdzam”. Nam chodzi tylko o to, by zboże z Ukrainy pojechało do tych krajów, którym go brakuje. Nie mamy na świecie więcej zboża niż przed wojną na Ukrainie. Zmieniła się tylko droga jego transportu – pojechało prosto do Europy, gdzie jest go za dużo. W innych krajach, np. afrykańskich, może go brakować. Jeżeli w Europie przeważa mądrość, rozsądek i odpowiedzialność europejskich decydentów, zboże pojedzie tam, gdzie jest potrzebne. Jeżeli nie... Może np. Putinowi zależy na tym, by zdestabilizować rynek rolny w Europie, by zwiększyła się emigracja z Afryki na Stary Kontynent? Zablockowanie czarnomorskiej drogi transportu zboża to gra, którą prowadzi Moskwa.

Bierzemy udział w wojnie handlowej z Rosją. Czy Ukraińcy rozumieją, że nie mają do czynienia ze złośliwością krajów, które sprzeciwiają się importowi, ale z koniecznością obrony własnego rynku?

Ukraińcy myślą przede wszystkim o tym, by jak najszybciej wyeksportować swoje zboże. A nasz interes to interes naszego rolnika. Polskie stanowisko jest jasne.

Państwa stały się uczestnikami gry ekonomicznej. Teoria, według której rządy nie powinny się mieszać do biznesu, nie jest już aktualna. Państwo chroni własny rynek.

Odpowiedzialne państwo, odpowiedzialny rząd powinien chronić własny rynek. Podejmować odpowiedzialne decyzje, które może nie do końca spełniają oczekiwania Unii, ale są zgodne z interesem państwa. Odpowiedzialny rząd nie boi się takich decyzji.

Jest to też kwestia zapewnienia bezpieczeństwa żywnościowego. Ma ono taką wagę, jak np. bezpieczeństwo militarne.

Oczywiście. Wszystko to robimy dla naszego bezpieczeństwa żywnościowego. Wpisuje się ono w bezpieczeństwo Polaków. Żywność to

jeden z jego filarów. Polacy, by czuć się szczęśliwymi, muszą czuć się bezpieczni.

Czy jest jeszcze ktoś, kto kwestionuje tego typu interwencję państwa?

Tak. Gdyby doszli do władzy ci, którzy wyprzedawali w Polsce wszystko, co się dało, wyprzedaliby całą resztę. Symbolem poprzedniej władzy, a dzisiejszej opozycji, jest sprzedaż PKP Energetyka – spółki o kluczowym, strategicznym znaczeniu. Musieliśmy wyłożyć o wiele więcej pieniędzy, niż oni uzyskali ze sprzedaży, by tę spółkę odkupić. Zrobilibyśmy to, gdyż była to kwestia naszego bezpieczeństwa.

Założenia patriotyzmu konsumeneckiego trafiły do programu PiS pod hasłem „Lokalna półka”. Czy sklepy sprostają zadaniu zapewnienia swoim klientom artykułów miejscowych producentów?

Jestem przekonany, że tak. Już się to dzieje. Niektóre sklepy promują się hasłem sprzedaży polskich produktów. Patriotyzm konsumencki zaczyna być coraz bardziej popularny wśród Polaków. „Lokalna półka” leży w interesie handlu, jest korzystna dla rolników, gdyż dzięki niej mogą ominąć pośredników, i atrakcyjna dla konsumentów. To także element odbudowania polskiego przetwórstwa. Uważam, że ci, którzy wprowadzali nas do Unii Europejskiej, popełnili dwa historyczne błędy: po pierwsze, pozwolili na zniszczenie polskiego przetwórstwa, oddali je w ręce koncernów. O cenie produktu nie decyduje teraz rolnik, ale koncern. Po drugie, oddali handel wielkim korporacjom. Te dwa fundamentalne błędy stwarzają największe problemy w polskim rolnictwie.

Kiedy możemy się spodziewać unijnej decyzji w sprawie embargo?

W ostatnim możliwym dniu, oni zwykle nie robią tego wcześniej. Jesteśmy na wszystko przygotowani i jeżeli będzie trzeba, ostatniego dnia obowiązywania embargo wydamy swoje rozporządzenie, które zakaze importu do Polski czterech zbóż do końca roku. 

Jak oni nienawidzą!

W Telewizji Polskiej powstały już programy, których zadaniem jest odkłamywać przekaz stacji TVN i innych liberalnych mediów, zwłaszcza tych z zagranicznym kapitałem. Ale choć można odkręcić łgarstwo, to jednak rozprzestrzenianej przez nich nienawiści nie da się tak łatwo zatrzymać



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Odbiorca mediów liberalnych jest w Polsce codziennie bombardowany alarmistycznymi zapowiedziami nadchodzącej katastrofy. Codziennie.

Według opowieści TVN, Onetu czy „Gazety Wyborczej” żyjemy w kraju politycznie plasującym się gdzieś pomiędzy III Rzeszą a Koreą Północną.

Krystyna Jadna stwierdziła ostatnio, że partia rządząca zabiła jej matkę. „Ja myślę, że PiS zabił kilka osób. Moja matka umarła przez PiS. W pewnym momencie zrobił się guz i już tego nie wytrzymała. Wielu ludzi przeżywa to tak głęboko. Moja matka spędzała ostatni rok życia cały czas przed telewizorem, denerwując się do tego stopnia, jakby nie mogąc się pogodzić ze wszystkim, co słyszy, że moim zdaniem niestety umarła od tego” – powiedziała aktorka Tomaszowi Lisowi. Ten wykazał się zrozumieniem, sam zresztą wielokrotnie wzywał do demonstracji, marszów, protestów. Podczas strajku kobiet porównywano rządy Zjednoczonej Partii do Republiki Gileadkiej – antyutopijnej krainy z powieści Margaret Atwood „Opowieść podręcznej”, gdzie płodne kobiety udostępniają swe ciała wysokim urzędnikom, by rodzić im



dzieci. Sędziowska kasta stowarzyszona w różnych iustitiach co rusz straszy autorytaryzmem w Polsce, co kilkanaście dni prof. Andrzej Zoll z bólem w głosie ogłasza w „Faktach” TVN koniec demokracji w naszym kraju. I tak już od ośmiu lat!

FAKTY SIĘ NIE LICZĄ

Miażdżąca większość tych newsów okazuje się totalną dezinformacją. Gdy w zeszłym roku złote algi w Odrze zmieniły ekosystem rzeki, mainstream nazwał to „nowym Czarnobylem”. Gdy chora psychicznie kobieta popłakała się podczas wizyty policji, „Fakty” rozpętały piekło, że PiS chce niszczyć kobiety dokonujące aborcji. Wszystkie takie „afery” po kilku dniach są wyjaśniane i okazuje się, że nie było w nich żadnych pisowskich spisków, ale nie o to chodzi.

Jak zauważył amerykański badacz mediów Walter Lippmann, „człowiek zachowuje utrwalone doznania emocjonalne, nawet jeśli dawno nie ma dla nich racjonalnego uzasadnienia”. To znaczy, że nawet jeśli wyjaśni się, że jakiś skandal nie istniał, to i tak emocjonalny stosunek do sprawy pozostanie.

Pani Joanna z Krakowa została ocalona przez policję przed samobójstwem? Nieważne – serce wciąż się burzy, że niby to pogwałcono jej prywatność. Polska Straż Graniczna naraża życie, by przez granicę z Białorusią nie przedostali się terroryści? Nieważne, przecież portal Onet napisał, że „przerzucili 29-letnią ciężarną Kongijkę” przez płot – i tak w kółko. „Liczą się nie realne fakty, ale to, w co ludzie wierzą” – ostrzegali francuski socjolog Roger Mucchielli, gdy badał pod koniec lat 60. XX w. grupy wywrotowe, które destabilizowały demokrację, często zresztą na zlecenie sowieckich służb.

POLSKA NAJGORSZA WE WSZECHSWIECIE

Polaryzacja społeczna w demokracji, zwłaszcza w okresie przedwyborczym lub wobec starcia wielkich zagranicznych interesów, jest czymś naturalnym. Nie mamy za bardzo powodu, by szanować Donalda Tuska, że na polecenie Angeli Merkel podwyższył Polakom wiek emerytalny (co ujawniono ostatnio w notatce po rozmowie byłego polskiego premiera z marca 2011 r.). Jednak anty-PiS strzela dezinformacją, wszędzie tropi spiski, kolportuje totalną nieprawdę. Wymieńmy kilka przykładów najbardziej fanatycznych przekonań wyborców opozycji.

Wierzą oni np., że rząd, który ocalił Ukrainę przed klęską w wojnie z Rosją, jest w istocie prorosyjski. Oskarżając PiS o sprzyjanie Moskwie, sami wierzą w rosyjską wersję tragedii smoleńskiej, w pijanego gen. Andrzeja Błasika i samobójcze tendencje pasażerów tupolewa. Gdy prasa dosłownie z całego świata analizuje nagły wzrost siły militarnej Polski, oni wierzą, że jesteśmy słabi i bezbronni – tak jest ze wszystkim. Ludzie, którzy oglądają TVN przez dwie kadencje rządów PiS, myślą, że żyją w jakiejś totalitarnej rzeczywistości, która już puka do ich drzwi. W tym napięciu i stresie funkcjonują tak już od 2900 dni, bo tyle trwają już rządy Zjednoczonej Prawicy.

NIENAWIŚĆ JAKO PALIWO

Ostatnio Koalicja Obywatelska wyznaczyła we wzniecaniu przedwyborczej antypisowskiej histerii nową cezurę: każdy internauta mógł stworzyć grafikę, mema z wygenerowanym przez sztuczną inteligencję wizerunkiem Jarosława Kaczyńskiego i dopisać swoje zakończenie zdania „Jestem zagrożeniem...”. Chodziło, by wymienić kolejne rzekome ofiary: „dla kobiet”, „dla przedsiębiorców”, „dla demokracji”. Spindoktorzy Tuska już się nie kryją z tym, że Kaczyński ma być jakimś symbolem zła – jak „czarna wołga” dla małych dzieci w Związku Sowieckim. Przyjedzie po kogokol-

wiek i zabierze w nieznane. Chore, prawda?

Ale różnica między lewicą a prawicą nie polega tylko na tym, że Wiertnicza czy Czerna codziennie odpala nowe, „makabryczne” odkrycia o PiS, by zasiać kolejne ziarna nienawiści. Liberalny i lewicowy mainstream nienawidzi bowiem nie tylko prawicy, lecz także długowiecznych i powszechnych dla niej wartości. Jeśli Marcin Gutowski zaprzestał na razie publikacji kolejnych materiałów o rzekomych powiązaniach Karola Wojtyły z pedofilią (opartych zresztą na niewiarygodnych zeznaniach współpracowników SB), to nie dlatego, że przyłapano go na dezinformacji, ale dlatego, że salony zrozumiały, jak bardzo przestrzeliły

Anty-PiS strzela dezinformacją, wszędzie tropi spiski, kolportuje totalną nieprawdę. Wyborcy opozycji twierdzą np., że rząd, który ocalił Ukrainę przed klęską w wojnie z Rosją, jest w istocie prorosyjski

w atakowaniu Kościoła i Polski. „Całą tę aferę zorganizował PiS w porozumieniu z abp. Markiem Jędraszewskim” – insynuował Roman Giertych w rozmowie z Tomaszem Lisem, a w obronie Jana Pawła II wystąpił w „Gazecie Wyborczej” nawet Adam Michnik. Im naprawdę polskość kojarzy się źle.

Po analizie sześciu ostatnich rocznic historycznych okazuje się, że „Fakty” TVN nie potrafiły opisać wydarzenia, które w Polsce świętowano. 1 września nie wspomniano, że Niemcy napadły na Polskę, 31 sierpnia nie padło, że Solidarność powstała przeciwko PZPR, o 15 sierpnia nie powiedzieli, że to zwycięstwo nad bolszewikami, a 1 sierpnia

nie było wzmianki o tym, że powstanie warszawskie wybuchło przeciwko Niemcom. Trzeba teraz zestawić te dwa zjawiska: hitlerowski Niemcy czy lenińska Rosja nie są dla liberalistów warte wzmianki w materiałach na temat historycznych rocznic (!), ale o PiS – zawsze, wszędzie, codziennie.

W 2019 r. Centrum Badań nad Uprzedzeniami Uniwersytetu Warszawskiego opublikowało wyniki badań, z których wynikało, że zwolennicy opozycji częściej dehumanizują i nienawidzą pisowców niż odwrotnie. A było to 1500 dni temu – jakież jeszcze spustoszenie w głowach odbiorców liberalnych mediów poczyniły „Fakty”, Onet czy „Gazeta Wyborcza”? Nikt jednak takich badań nie powtórzył, zresztą poprzednie było realizowane z udziałem, m.in. prof. Michała Bilewicza, gorącego krytyka PiS, polskiej historii, Kościoła i wielu innych tradycyjnych wartości. Czyżby wynik badań zaskoczył samego autora?

ZATRUTE OWOCE

I tak na koncie wyznawców TVN i Onetu mamy już polityczne zabójstwo łódzkiego działacza PiS z 2010 r., plucie i wyzywanie dziennikarzy Telewizji Polskiej, dewastacje kościołów czy siedzib polityków PiS (zwłaszcza w okresie demonstracji Marty Lempart), normalizację wulgaryzmów („wyp...ć” i „j...ć PiS”), nazywanie polityków rządu „seryjnymi mordercami kobiet” (Donald Tusk), atakowanie własnej Straży Granicznej – wyzywanie tych, którzy sami narażają życie, by bronić naszego kraju (Frasyniuk nazywał mundurowych „psami”).

Uzależnieni od nienawiści wyborcy opozycji klną, obrażają i atakują w imię walki z PiS, w imię „demokracji”, „nowoczesności”, „wolności” i „tolerancji”. Każdy fanatyzm przeradza się w końcu w groteskę, niczym u Sowietów „walczących o pokój” czy aborcjonistów zabijających nienarodzone dziewczynki w imię „praw kobiet”.

Może więc śp. mama Krystyny Jandy przeżywała nie tyle postępowanie władz Rzeczypospolitej, ile obraz z krzywego zwierciadła TVN?

Błąd nadopiekuńczości

Porażka, zniewaga i bolesne doświadczenia mogą zostawić ślad w psychice dziecka. Jednak człowiek potrzebuje stresujących bodźców, które budują siłę jego charakteru. Nic nowego, ale świat „rozpieszczonych umysłów” tę prawdę odrzucił. Ameryka już płaci polityczną cenę za nadopiekuńczość



MACIEJ WALASZCZYK

Wyjaśnijmy już na wstępie: współczesne dzieci wcale nie są tak bardzo rozpieszczane, choć to również jest problemem. Żyją pod ciągłą presją, w napięciu, muszą wykazywać się dobrymi ocenami, osiągnięciami, a media społecznościowe zmuszają je do ciągłej rywalizacji z rówieśnikami. One wiedzą, że

ich przyszłość ekonomiczna wygląda niepewnie. Jednak nadopiekuńczość dorosłych, przekonanie o konieczności ich ochrony przed życiem, ma negatywne skutki.

Zjawisko to szczególnie silnie występuje w Stanach Zjednoczonych, gdzie na dzieci nałożono dużo więcej ograniczeń, niż miało to miejsce w dzieciństwie ich rodziców, choć ci dorastali w czasach dużo niebezpieczniejszych. Dzieci zostały pozbawione możliwości bawienia się bez nadzoru dorosłych. Tymczasem zabawa odgrywa kluczową rolę w rozwoju mózgu, który umożliwia dziecku rozwinięcie się w prawidłowo funkcjonującego dorosłego człowieka.

Jak wskazują Greg Lukianoff i Jonathan Haidt, autorzy książki „Rozpieszczony umysł”, zabawę wyparły duża liczba prac domowych zadawanych szczególnie w szkole podstawowej, zajęcia pozalekcyjne, smartfony i gry komputerowe. Tymczasem nieskrępowana zabawa bez nadzoru dorosłych jest szkołą tak docenianej przez Alexisa de Tocqueville’a umiejętności stowarzyszania się, którą ten myśliciel dostrzegł u zarania republiki amerykańskiej. Umiejętności rozwijane podczas nieskrępowanej zabawy uczą rozwiązywania konfliktów bez udziału dorosłych. Ale im więcej czynności przez nich nadzorowanych, tym mniejsze szanse na opanowanie tej sztuki. Zdaniem politologa Vincenta Ostroma sposoby wychowawcze odciągające od wolnej zabawy stanowią zagrożenie dla liberalnych społeczeństw, w których

zasada „spróbuj rozwiązać swój problem samodzielnie” wypierana jest przez „użyj siły lub wezwij na pomoc dorosłego”. W efekcie młodzież zamiast łagodzenia interakcji społecznych jest skłonna je zaogniać i polaryzować. Zamiast samodzielnie stawić czoło problemom, uciekają się do przymusu i powoływania na strony trzecie.

PARANOIDALNE RODZICIELSTWO

Przyczyną tych zjawisk jest jednak nie tylko rodzicielstwo, nazwane przez autorów „Rozpieszczony umysł” paranooidalnym, w którym dominuje strach przed zagrożeniem mającym nieustannie czyhać na dzieci, a realizowanym w ciągłym usuwaniu przeszkód z ich życia. To również – jak w przypadku USA – państwo systemowo wspierające taki rodzaj rodzicielstwa, w którym rodzice dający dzieciom dużo swobody mogą zostać aresztowani pod byle pretekstem. Tak było np. gdy spóźnieni do domu rodzice (9-letni syn w oczekiwaniu na nich grał w koszykówkę na podwórku) zostali aresztowani po donosie sąsiada. W konsekwencji sąd zdecydował o umieszczeniu dziecka w rodzinie zastępczej, a wszystkich wysłano na terapię.

Okazuje się, że tego rodzaju wychowanie połączone z prawem i normami społecznymi utrudniającymi dzieciom nieskrępowaną zabawę może mieć negatywny wpływ na ich zdrowie psy-





chiczne. Lukianoff i Haidt dobrze ten problem opisują na przykładzie powszech-

nego w Ameryce zjawiska ochrony dzieci przed alergiami. W latach 90. XX w. tylko czworo dzieci na 1 tys. było uczulone na orzeszki ziemne. Jednak skłonność do ich nadmiernej ochrony spowodowała, że orzechy generalnie zostały w przedszkolach zakazane. Z badań przeprowadzonych w 2015 r. wynika, że regularne jedzenie produktów zawierających orzeszki ziemne wywołało reakcję ochronną układu odpornościowego. Po pięciu latach w grupie dzieci spożywających je regularnie odsetek uczulonych wyniósł 3 proc., a w grupie chronionej aż 17 proc. Podobnie jest z higieną, dzięki której z jednej strony chronimy przed mikroorganizmami, a z drugiej powodujemy rozwiniecie układów odpornościowych wytwarzających nadmierną reakcję immunologiczną na substancje, które w rzeczywistości nie stanowią zagrożenia.

Przechodząc na pole psychologii – przywołana przez autorów „Rozpieszczonego umysłu” prof. Alison Gopnik uważa, że chroniąc dzieci przed każdym możliwym niebezpieczeństwem, uczymy je przesadnej reakcji na sytuacje, które wcale nie są niebezpieczne i uniemożliwiamy przyswojenia umiejętności, które będą musiały opanować, gdy dorosną. Błędne rozumienie natury ludzkiej prowadzi do zamkniętego koła, w którym dzieci stają się mniej odporne

i bardziej kruche; dorośli, wzmacniając ochronę, zwielokrotniają tylko ten efekt. Zdaniem Haidta i Lukianoffa obsesja na punkcie ochrony młodych ludzi przed poczuciem zagrożenia, nadmierna ochrona przed stresującymi doświadczeniami powodują, że w dorosłym życiu trudno im poradzić sobie z trudnościami. To również przyczyna wzrostu liczby nerwic, depresji i samobójstw. Do tego dochodzą osiągnięcia cywilizacyjne, bo obniżona została poprzeczka dla naszej tolerancji dla tego, co uważamy za dyskomfort i ryzyko. Unikamy ciężkich prac fizycznych, które stanowiły nieodłączną część życia ludzi.

Dzięki internetowi i smartfonom nadmierna komunikacja źle wpływa na zdrowie psychiczne młodych, a ogromne ilości taniego pożywienia prowadzą do epidemii otyłości. Autorzy „Rozpieszczonego umysłu” zwracają uwagę, że w dorosłość będzie wchodziło pokolenie użytkowników społecznościówek, które ma mniejsze doświadczenia w życiu poza siecią niż poprzednie generacje. Osiemnastolatkom zachowują się, jakby byli o trzy lata młodszy, dorastają dużo wolniej. To, co wymaga interakcji z drugim człowiekiem, inicjacja wejścia w dorosłość, taka jak picie alkoholu, randki, pierwsza praca, jest odkładane w czasie. Urządzenia odciągnęły ich od innych ludzi, a wszystko razem spowodowało, że częściej zapadają w depresję. Wzmogło też tendencję do postrzegania świata jako dużo bardziej niebezpiecznego i wrogiego, niż jest w rzeczywistości.

POLITYCZNE KONSEKWENCJE NADOPIEKUNČZOŚCI

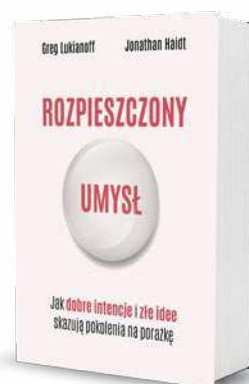
To wszystko ma swoje konsekwencje społeczne i polityczne. Wzmacnia je bardzo silna w amerykańskiej kulturze polityka tożsamości. Idea ucłowieczania przeciwnika politycznego, którą głosił Martin L. King, szybko przeistoczyła się w marksistowski konflikt, w którym nie ma miejsca na tolerancję. Herbert Marcuse nauczył lewicę, że tolerancja wzmacnia klasę posiadającą dostęp do władzy, edukacji,

mediów i kanałów komunikacyjnych, dlatego radził stosować taktykę, która jest represywna, wzywając do odbierania praw, surowych restrykcji wobec konserwatywnego społeczeństwa i jego reprezentacji politycznej. I tak się stało. Tego rodzaju teorie padły w Stanach Zjednoczonych na podatny grunt, napędzając plemienną politykę tożsamości wspólnego wroga. Na zasadzie kontrastu uprzywilejowany – dyskryminowany zaczęto definiować wydumane problemy, które wcześniej nimi nie były, a potem z nimi walczyć. Media społecznościowe ułatwiły dostęp do publiczności, dzięki czemu ludzie zmniejszyli własną samokontrolę, przylącując się do działań tłumu piętnującego wydumanych ciemnych, nierówności, krzywdy. Co więcej, kultura tak wytworzonego „call-out” spowodowała, że życiu młodych ludzi zaczęła towarzyszyć autocenzura, strach i czujność przed powiedzeniem czegoś „obraźliwego”. Jeśli wśród publiczności znajdą się osoby, które współczują potępianej ofierze, boją się odezwać, tworząc mylne wrażenie akceptacji. Pojawiły się obawy o polubienie niewłaściwego postu i wprost uległość przed motłochem z mediów społecznościowych.

UPADEK UNIWERSYTETÓW

Kiedyś wolność słowa na uczelniach ograniczały ich władze, ale to studenci domagali się wręcz bezwzględnego jej respektowania. Jednak już pod koniec lat 60. XX w. pojawiła się pierwsza fala ataku na wolność badań naukowych, a zarzewie rewolty tliło się także w kolejnych latach.

W 1987 r. na Uniwersytecie Stanforda lansowano hasło: „Hej, ho kultura Zachodu musi odejść!”, rozkręcając tzw. wojnę o kanon, a więc akcję dopisywania do zbioru kluczowych tekstów literackich i filozoficznych Zachodu czarnych autorów, którym mieli ustąpić miejsca „martwi, biali mężczyźni”, tacy jak Platon, Arystofanes czy Szekspir. Zjawisko to nasiliło się dekadę temu, gdy lawinowo zaczęły pojawiać



się zgłoszenia studentów o usuwanie „prowokujących” materiałów z treści kursów akademickich. Władze uczelni zaczęły być atakowane żądaniem, by nie zapraszały mówców, których poglądy uważano za nieakceptowalne. Gdy je ignorowano, zaczęto uciekać się do przemocy, m.in. uniemożliwiania pozostałym studentom uczestnictwa w wydarzeniu będącym udziałem niepożądanego według nich mówcy. Kurs największych dzieł literatury i filozofii Zachodu, m.in. z tekstami Homera, Dantego, św. Augustyna, Owidiusza, Michela de Montaigne został zaatakowany jako niszczący wartości o „wykluczającej i obraźliwej narracji”, zawierający treści prowokujące, dyskryminujące i marginalizujące tożsamość studentów. Domagano się od profesorów ostrzeżeń, że analizowany materiał może okazać się „wstrząsający”.

Te zjawiska, eksploatowane przez lewicę, są szersze. To także wymuszanie na wykładowcach zwracania się do studentów za pomocą zaimków neutralnych płciowo. Lub forsowanie pseudonaukowych teorii, np. uznających amerykańską kulturę za „kulturę gwałtu” z dominacją agresji seksualnej. Takie przestępstwa się zdarzają, ale nie są powszechne. Niestety, na jednym z uniwersytetów debata na ten temat nie mogła się odbyć, ponieważ opinia, że „kultura gwałtu” istnieje, ale w Afganistanie, mogłaby się okazać „traumatycznym doświadczeniem dla potencjalnych słuchaczy”. Jedną ze studentek dostała histerii, utworzono specjalną „bezpieczną przestrzeń”, gdzie każdy, kto poczuł się sprowokowany i dotknięty, mógł posiedzieć na poduszkach, napić soczku i pobawić kolorowanymi pod opieką wyspecjalizowanego personelu.

Lewicowa młodzież żyje w przekonaniu, że jedyną odpowiedzią na inne poglądy (nazywane mową nienawiści) jest przemoc, która wzmogła się szczególnie po zwycięstwie wyborczym Donalda Trumpa w 2016 r. Szczególnym przykładem są zamieszki, jakie bojówki Antify wywołały na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley przeciw wystą-

pieniu tam prawnicowego komentatora Milo Yiannopoulosa. Straty wyniosły 0,5 mln dol. W Middlebury College tłum rozbił spotkanie Charlesem Murrayem tylko dlatego, że w jednej z książek on postawił tezę, że poziom inteligencji u przedstawicieli innych ras nie musi być uzależniony wyłącznie od czynnika ekonomicznego, ale też różnic genetycznych. Wykład został zakłócony, a towarzyszącej wykładowcy profesorce uszkodzono kregosłup.

Apogeum przemocy wywołała w ostatnich latach działalność bojówek Black Lives Matter. Gdy komentarka Heather Mac Donald chciała opowiedzieć, że na skutek ich działalności policja mniej chętnie interweniuje w dzielnicach zamieszkiwanych

sprzeczną ze spuścizną Sokratesa, który samego siebie nazywał osą Ateńczyków i uważał, że jego zadaniem jest żądlenie, zakłócanie, kwestionowanie i prowokowanie. Tymczasem absolwenci zdominowanych przez lewicę nauk społecznych w USA mają ograniczony kontakt z profesorami reprezentującymi odmienne poglądy polityczne, nie mają pojęcia, co myśli i czym żyje druga część społeczeństwa, co wywołało totalne zaskoczenie po zwycięstwie Trumpa. A wszystko po to, by chronić uczucia niedoroślej młodzieży przed „znęcaniem się” czy traumą. W pierwszych latach XXI w. pojęciem tym objęto każde doświadczenie uznane przez daną osobę jako fizycznie i emocjonalnie krzywdzące, choć jeszcze niedawno uznawano, że traumę wywołuje tylko czynnik fizyczny powodujący fizyczne obrażenia.

Młodzieży nie nauczono pokonywać trudności, w tym mierzenia się z różnymi ideami i poglądami. Religia bezpieczeństwa spowodowała, że stali się nietolerancyjni, zamknięci, podatni na skrajne ideologie, wyszukiwanie konfliktów o temperaturze wojen religijnych

przez Murzynów, przez co ich mieszkańcy narażeni są na przemoc ze strony przestępców, jej wykład zablokowano, a ją okrzyknięto „faszystowską poplecniczką państwa policyjnego”.

To rzeczywistość amerykańskich uniwersytetów I poł. XXI w. W efekcie mamy do czynienia ze stłamszeniem ducha swobodnego dociekania, różnicy zdań, debaty opartej na dowodach, argumentach i szczerości intelektualnej. Jak słusznie piszą autorzy „Rozpieszczonego umysłu”, teorie mówiące, że uczelnie powinny chronić swoich studentów przed ideami, które uznają za obraźliwe, jest

EPIDEMIA DEPRESJI

Kolejnym problemem jest depresja, którą dotknięte są miliony ludzi. Jedną z jej przyczyn jest zniekształcenie poznawcze, prowadzące do katastrofizacji i ulegania fatalizmowi porażek. Autorzy „Rozpieszczonego umysłu” przekonują, że rodzice, nauczyciele i profesura uniwersytetów nieświadomie wpajają całym pokoleniom nawyki mentalne, które są obserwowane u osób cierpiących na nerwicę i depresję, np. uleganie emocjom i wyolbrzymianie zagrożeń. Młodzieży nie nauczono pokonywać trudności, w tym mierzenia się z różnymi ideami i poglądami. Religia bezpieczeństwa spowodowała, że stali się nietolerancyjni, zamknięci, podatni na skrajne ideologie, wyszukiwanie konfliktów o temperaturze wojen religijnych rodem z XVII w. Dla których celem życia stał się własny komfort i przekonanie, że mają do niego absolutne prawo. Zdaniem Lukianoffa i Haidta te problemy mogą się okazać tymczasowe, a rodzice i nauczyciele mogą wychować mądrzejsze, silniejsze i niezależne dzieci. W końcu od czasów starożytnych wiadomo, że cierpienia, kłopoty i przeszkody, których doświadczamy, mają stymulować umysł i utwardzać charakter. Innej drogi nie ma.



TOTALIZATOR
SPORTOWY



EDYCJA

**WYGRYWAMY
ZACZYNA SIĘ OD WY**

Kup dowolny produkt ,
zagłosuj na wybrany obiekt
sportowy lub kulturalny
i sprawdź, czy wygrałeś!

Szczegóły i regulamin loterii promocyjnej
na gramywygrywamy.pl

Okres sprzedaży produktów promocyjnych uprawniających do udziału w loterii trwa od 17 sierpnia do 16 września 2023 r.
Udział w loterii poprzez głosowanie na wybrany obiekt sportowy lub kulturalny możliwy jest od 17 sierpnia do 18 września 2023 r.
Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

eprasa.pl 1b20750007

18+ 

Polak ma w sobie wolność



Kolejne pokolenia Polaków miały to zadanie, wolność nam zadaną.

Czyli odziedziczyły niepodległość wywalczoną przez przodków, ale mają za zadanie ją utrzymać. Mamy to już we krwi, odziedziczone, że cokolwiek by się nie zdarzyło, Polak zawsze będzie wolnym człowiekiem – mówi **Krystyna Śliwińska**, organizatorka Przystanku Niepodległość, w rozmowie z Edytą Hołdyńską

Tematyką przewodnią tegorocznej VIII edycji Przystanku Niepodległość będzie wolność. Jakie jest znaczenie wolności dla Polski? Czy jesteśmy w momencie, w którym możemy powiedzieć, że jesteśmy wolni?

Krystyna Śliwińska: Hasłem tegorocznego przystanku jest „Wol-

ność jest w Tobie, wolność jest w Nas”. To są sparafrazowane słowa bł. ks. Jerzego Popiełuszki, który mówił: „Wolność jest w nas”. Zaadresowałam te słowa do ludzi, żeby mogli utożsamiać się z tym hasłem i poczuć tę wolność. Chciałam potraktować każdego uczestnika i widza indywidualnie i zaprosić do rozmowy o wol-

ności. Czy my jesteśmy wolni? Rok temu mówiliśmy o polskim romantyzmie. To ma swoje konsekwencje i w tym roku. To ta epoka otwierała nam drogę do państwowości i wolności. Mimo przeróżnych zawiroowań losów naszej ojczyzny, zagrożeń płynących z zewnątrz, Polacy w znakomitej większości zawsze czuli się

wolni. My, patrząc na naszą historię, nigdy nie lubiliśmy poddańczości. Do dziś są politycy, którzy lubią się kierować odmiennym od polskiego interesem, ale w znacznej większości my w Polsce tego nie chcemy. Polak ma wolność w sobie.

Polacy są wolni, nawet kiedy państwo polskie musi walczyć o niepodległość?

Kolejne pokolenia Polaków miały to zadanie, wolność namadaną. Czyli odziedziczyły niepodległość wywalczoną przez przodków, ale mają za zadanie ją utrzymać. Mamy to już we krwi, odziedziczone, że cokolwiek by się nie zdarzyło, Polak zawsze będzie wolnym człowiekiem. Chyba że sam się nagina do nacisku. To ta część narodu, która wolności nie ceni, nie szanuje. Wszystko jej jedno, kto i jak będzie rządził. Przyjdzie dyrektywa z Moskwy, to ją wdrożą w Polsce. Tu nie można mówić o wolności. To jej zaprzeczenie, oddanie wolności. To rodzaj zniewolenia. Inaczej działał np. śp. Lech Kaczyński.

Czy śp. Lech Kaczyński był wzorem polityka wolności, człowieka wolności? Walczył o wolność dla Polaków?

Kiedy słucha się słów prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który potrafił powiedzieć wielu politykom, także rosyjskim, w twarz, choćby o tym, jak zakłamywali naszą historię, prawdę o Katyniu, to nie można mieć wątpliwości. Kiedy wspomni się o tym, jak polecał do napadniętej przez Rosję Gruzji i o tym, jak stworzył Muzeum Powstania Warszawskiego po to, by oddać hołd bohaterom Warszawy, ale też całemu pokoleniu, które walczyło o wolność, to jasno widać, że był to prawdziwie wolny polityk. On doskonale nas uczył, czym jest wolność narodu. Że ona wpisana jest w DNA Polaków. Dopiero dzisiaj wielu zauważa, że Lech Kaczyński miał rację.

Ta wolność była w przeszłości odbierana Polakom także fizycznie. Poprzez zamykanie w więzieniach, wyroki śmierci. A jednak żołnierze

wyklęci byli wolni duchowo mimo wszystko?

Zaznaczenie pamięci o żołnierzach wyklętych jest niezwykle istotne dla kolejnych pokoleń. To byli cisi bohaterowie, którzy nawet mimo zniewolenia fizycznego nie dali odebrać sobie prawdziwej wolności. Gdyby nie to pokolenie żołnierzy niezłomnych, nie byłoby wielu wydarzeń lat 70. i 80.: Czerwca, Radomia, Gdańska. Nie byłoby kolejnych zrywów wolności. To było prawdziwe bohaterstwo i umiłowanie wolności, stało się ono wzorem dla następnych pokoleń, które odczuwały znaczenie walki o wolność Polski. Od samego początku Przystanku Niepodległość jest z nami prof. Krzysztof Szwaagrzyk, którego działanie i życie pokazuje, jak ważna jest pamięć o żołnierzach niezłomnych.

Nawiązywała pani wcześniej do słów bł. ks. Jerzego Popiełuszki, ale kolejnym wielkim Polakiem mówiącym o polskiej wolności był św. Jan Paweł II.

Swoim pontyfikatem św. Jan Paweł II kazał nam, Polakom, walczyć o wolność. Miał tę siłę, która pozwalała mu jednocześnie z dobroci serca prosić, ale i huknąć na nas, jeśli wymagała tego sytuacja. Miał autorytet i wiedział, że posłuchamy. Docierał ze swym przesłaniem do milionów Polaków. To za jego pontyfikatu i pod wpływem jego słów powstała Solidarność. Tego zrywu wolności nie dało się już potem zatrzymać. Słowa o wolności św. Jana Pawła II to prawdziwe rekolekcje duchowe dla Polaków.

O tym wszystkim będą państwo debatować podczas spotkań w Polanicy-Zdroju. Co roku przystanek odwiedzają wybitni goście. Z czyjej obecności cieszy się pani najbardziej?

To są wspaniali profesorowie, publicyści, ale przede wszystkim Polacy, którzy zjeżdżają do nas z całego kraju, a nawet z zagranicy. I z każdej obecności cieszyć się jednakowo. Czekamy na każdego gościa. Jak już utarło się u dużej części

15–17 września w Polanicy-Zdroju w ziemi kłodzkiej odbędzie się VIII edycja Przystanku Niepodległość. To miejsce, gdzie od 2015 r. spotykają się Polacy z różnych stron kraju, którym leży na sercu dobro ojczyzny.

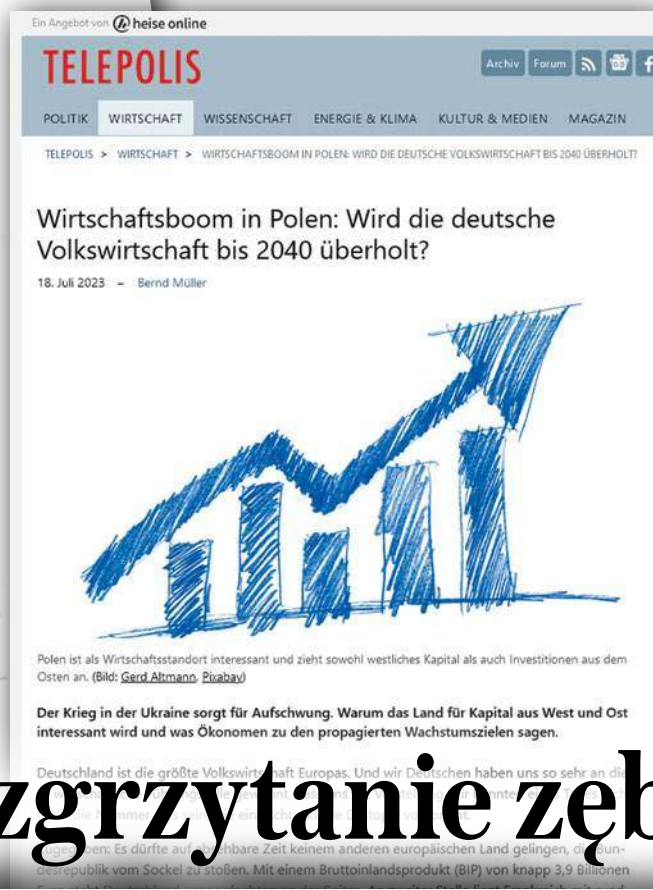
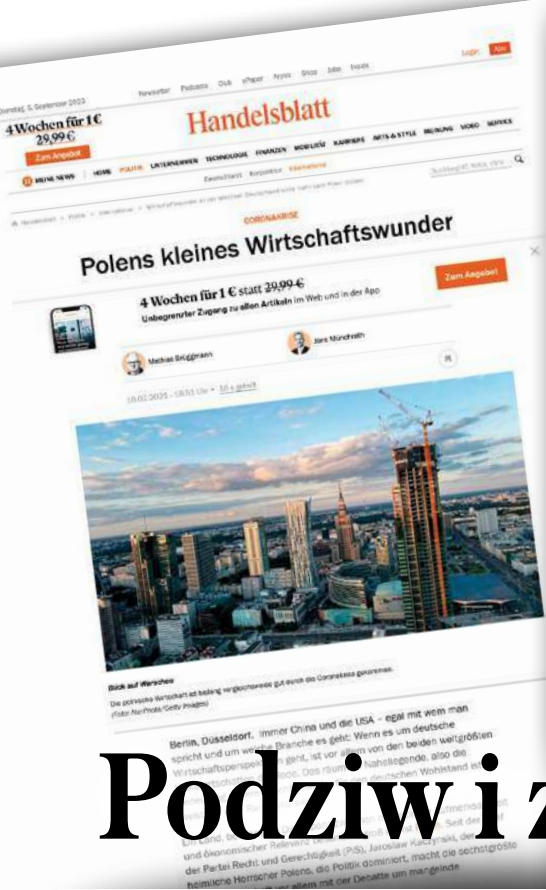
Przez trzy dni uczestnicy Przystanku będą rozmawiać o Polsce, jej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. O szansach, zagrożeniach, ważnych wydarzeniach w kraju i na świecie. Myśl przewodnią tegorocznej edycji brzmi: „Wolność jest w Tobie, Wolność jest w Nas”.

Tematy poruszane w trakcie spotkań będą dotyczyć kwestii niepodległości, roli i wielkości śp. prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego – człowieka wolności, żołnierzy wyklętych, tragedii smoleńskiej, kondycji i roli młodego pokolenia.

W dyskusjach wezmą udział wybitni publicyści, naukowcy, historycy oraz politycy.

Tegoroczną edycję, podobnie jak wcześniejsze, objął honorowym patronatem Prezes Rady Ministrów Mateusz Morawiecki, a patronatem duchowym – JE ks. bp Marek Mendyk, ordynariusz świdnicki.

naszych bywalców, tu nie wypada nie być. W ubiegłym roku musieliśmy zamknąć rejestrację, bo było zbyt wielu chętnych, nie dalibyśmy rady wszystkim ugościć. Myślimy nad nową formułą, żeby nikomu nie odmówić. To naprawdę miejsce i czas, w którym można poczuć ducha patriotyzmu. Posłuchać o naszych chrześcijańskich korzeniach i wspaniałej historii. To my, Polacy, wielokrotnie pokazaliśmy światu, jak postępować. Dziękujemy sponsorom, wszystkim, którzy pomagają nam tworzyć Przystanek Niepodległość od lat.



Podziw i zgrzytanie zębami

Według niemieckich mediów Polska pisze swoją historię sukcesu gospodarczego i zyskuje znaczenie w Europie. W nastawieniu Berlina do Warszawy to jednak niewiele zmieniło

Polnische Wirtschaft” – to określenie znane było na Śląsku już w pierwszej połowie XVIII w. Oznaczało lenistwo, brak dyscypliny, nieporządek. Rozpowszechniło się po pierwszym rozbiorze Polski – używali go pruscy urzędnicy opisujący sytuację na przejętych terenach. Ale okazało się ono niezwykle trwałe. O „Polnische Wirtschaft” mówili m.in. Karol Marks, Fryderyk Engels, Otto von Bismarck czy Carl von Clausewitz, a później używali go naziści do usprawiedliwiania napaści na Polskę. W okresie zimnej wojny i później dalej było stosowane w Niemczech, by opisać zły stan gospodarki i organizacji państwa nad Wisłą.

Dziś u naszych sąsiadów nikt tego terminu, nad wyraz pejoratywnego, już nie używa, w każdym razie na poważnie. W końcu „The Economist” właśnie ogłosił, że Niemcy znów mogą się stać „chorym człowiekiem Europy”, którym już były na przełomie XX i XXI w. „W latach 2006–2017 Niemcy osiągały lepsze wyniki gospodarcze niż ich europejscy partnerzy i dotrzymywały kroku Ameryce. Dziś jednak przeżywają trzeci kwartał stagnacji i mogą okazać się jedyną



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

dużą gospodarką, która skurczy się w 2023 r. Według MFW w ciągu najbliższych pięciu lat również będą się rozwijać wolniej niż Ameryka, Wielka Brytania, Francja czy Hiszpania” – czytamy. Polska tymczasem, według „The Economist”, rozwija się dynamicznie. „W miarę jak wojna na Ukrainie trwa i następuje zauważalna zmiana, oczyszczenia zwrócone są na Europę Wschodnią, wśród twierdzeń, że »środek ciężkości

Europy przesunęła się na wschód« i pochwał dla niedawnych osiągnięć gospodarczych Polski” – czytamy.

DYNAMICZNY ROZWÓJ

Ten fakt nie umknął także niemieckiej prasie. „Mimo swoich nieporozumień z Brukselą Polska, stanowiąca pomost na Wschód, zyskuje znaczenie w Europie” – pisał w lipcu dziennik gospodarczy „Handelsblatt” (HB), podkreślając, że uprzemysłowione kraje Zachodu zmagają się ze skutkami geopolitycznych wstrząsów, tymczasem Polska „pisze swoją historię sukcesu gospodarczego”. „Polska jako europejska



lokalizacja inwestycji jest obecnie na kursie wznoszącym” – dodała gazeta. Według HB żaden inny kraj w UE „nie korzysta tak bardzo ze zmian w globalnych łańcuchach dostaw jak wschodni sąsiad Niemiec”. Polska jest atrakcyjna, bo ma wysokie wskaźniki wydajności, niskie koszty pracy, rynek wykwalifikowanych pracowników oraz dobrze rozwiniętą infrastrukturę. Intel, największy producent mikroprocesorów na świecie, zainwestuje rekordowe pieniądze w fabrykę pod Wrocławiem zamiast pod Magdeburgiem.

Polska doścignie Niemcy? Zdaniem gazety to niemożliwe. Osiągnięcie unijnej średniej w 2033 r. pod względem PKB na głowę „jest wykonalne”. „Z odrobiną szczęścia”. I jest to zadziwiające, bo w końcu Polska, jak podkreślił „HB”, cierpi na „poważne deficyty demokracji, a jej sieć energetyczna oparta na węglu jest przestarzała”.

Dziwi się także dziennik „Die Welt”. „Dwie dekady po rozszerzeniu Unii Europejskiej na wschód nadal utrzymują się uprzedzenia wobec takich krajów jak Polska czy Słowenia. Czy słusznie?” – pyta gazeta. Według niej, gdy kraje Europy Środkowo-Wschodniej dołączały do UE, mówiono „o kumoterstwie, przestępczości i zacofaniu”. Tymczasem w wielu dziedzinach doszłusowały już do reszty, a w innych „prześcignęły członków z dłuższym stażem, takich jak Niemcy”. „Polska uważana jest za »gospodarczego prymusa« i rozwija się dynamicznie. Jednym z najważniejszych elementów tego rozwoju jest szkolnictwo. Polscy uczniowie są w kategorii czytania ze zrozumieniem, matematyce i naukach przyrodniczych »ponadprzeciętnie mocni«” – czytamy. Na poparcie tej tezy „Die Welt” przytacza wyniki badań PISA z 2018 r., w których polscy uczniowie we wszystkich trzech kategoriach zajęli drugie miejsca – za Estonią, a przed Niemcami. Autorzy tekstu najwyraźniej jednak odczuwają spory dysonans poznawczy, bo nie omieszkają wspomnieć o rzekomym „ograniczeniu niezależności wymiaru sprawiedliwości i brakiem praworządności” nad Wisłą.

W „Die Welt” ukazał się zresztą także wywiad z Rainerem Zitelmannem – ekonomistą analizującym problemy bogactwa. Stwierdził on, że gospodarczy sukces Polski wynika

z pozytywnego stosunku Polaków do bogacenia się. „Na dłuższą metę żaden kraj, w którym ludzie gospodarczego sukcesu są demonizowani, nie osiągnie ekonomicznego powodzenia” – zaznaczył Zitelmann. „Tymczasem Niemcy maszerują w kierunku gospodarki planowej” – dodał. Poradził także młodym, dynamicznym Niemcom, by emigrowali nad Wisłę.

Portal branżowy Cashkurs pisze zaś o „wejściu Polski do klasy światowej” i widzi podobieństwa do powojennego cudu gospodarczego w Niemczech. „Po kryzysie gospodarczym Polska wyprzedziła Węgry i Grecję pod względem parytetu siły nabywczej, a w 2019 r. nawet Portugalię. Wzrost gospodarczy Polski jest także bardziej zrównoważony niż wielu innych krajów, gdyż opiera się na solidnych podstawach makroekonomicznych, niskim długu publicznym i zrównoważonym handlu zagranicznym” – czytamy. Zdaniem portalu Polska jest jednak jeszcze czymś więcej, a mianowicie „nową geopolityczną potęgą Europy”.

FOBIE PIS

Podczas gdy Polska się rozwija, Niemcy się związają. W lipcu gazeta „Ostsee Zeitung” cytowała szefa działającej na wyspie Uznam spółki przewozowej Usedomer Baederbahn, wzywającego do zwiększenia inwestycji w infrastrukturę po niemieckiej stronie granicy. Joergen Bosse ostrzegł, że niemieckie kurorty już teraz nie mogą konkurować z tymi po polskiej

REKLAMA



Twoja generacja

Mariusz Dorot
czwartek, godz. 20.00

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

67/0823/F

części wyspy. Lepsza infrastruktura, hotele, niższe ceny. Pod koniec czerwca po polskiej stronie otwarto tunel pod Świną, a po stronie niemieckiej od lat 90. XX w. w zasadzie nie inwestowano w drogi czy bazę hotelową. Podobne wrażenia miał dziennikarz „Tagesspiegel”, który udał się w sierpniu na wycieczkę nad Odrę na polsko-niemieckim pograniczu. Przekroczył przy tym most im. Władysława Bartoszewskiego, łączący polskie Siekierki z niemieckim Neuruednitz. Po polskiej stronie czysto, wygodne ławki, uprzejmi ludzie, kawa i ciasto. Po niemieckiej „chamstwo, architektoniczna brzydota i ptasie odchody” – zaznaczył.

Żadne z niemieckich mediów natomiast nie raczyło zauważyć, że gospodarczy rozkwit Polski nastąpił w momencie, gdy niemieckie wpływy nad Wisłą drastycznie zmalały i Polska przestała dążyć do pływania – jak robiła to za rządów PO-PSL – „w głównym nurcie” europejskim. Ostatnie 20 lat polityki Niemiec wobec Polski opierało się zasadniczo na kilku aksjomatach: budować relacje tylko z siłami politycznymi, które są otwarte na niemieckie postulaty, czyli interesy. Nie uwzględniać punktu widzenia Polski w polityce wschodniej, w szczególności wobec Rosji, oraz każdą krytykę Niemiec przedstawiać jako antyeuropejskość i antyniemiecką fobię. To, że Polska ze znienawidzonym PiS na czele rozwinęła się w sumie wbrew Niemcom, musi boleć. Dlatego doniesienia o sukcesie gospodarczym Polski idą w parze z alarmistycznymi artykułami o „końcu demokracji” nad Wisłą, o totalitaryzmie, dla którego jedynym panaceum są Donald Tusk, Platforma Obywatelska i ustalenia na Campus Polska Przyszłości („Süddeutsche Zeitung”), czy o „ciemnych stronach” planów zbrojeniowych polskiego rządu („Die Welt”), które nie tylko zagrażają polskiemu budżetowi, lecz także godzą w interes Sojuszu Północnoatlantyckiego.

Mało tego, teraz to Polacy, pełni pychy, atakują niemieckiego sąsiada („Der Spiegel”). Nawet gdy ktoś za Odrą zdoła się na odrobinę samokrytyki, to tylko by dolożyć do pieca: tak, popełniliśmy błędy, ale to PiS jest antyniemiecki! Tak w czerwcu przekonywał w wywiadzie dla „Die Welt” Dietmar Nietan, polityk SPD i koordynator rządu federalnego ds. współpracy z Polską, argumentując, że niemieccy politycy udający się do Warszawy na rozmowy, jeśli w ogóle, „są przyjmowani za zamkniętymi drzwiami”. Tam często spotykają się z niezyczliwością. „Wspólne zdjęcia, podczas których można było choć przez uśmiech i podanie ręki sprawić wrażenie dobrego sąsiada, są często bojkotowane przez polską stronę” – czytamy. Biedny minister obrony Niemiec Boris Pistorius musiał rzekomo samotnie stać z wieńcem w ręku przy Grobie Nieznanego Żołnierza podczas oficjalnej wizyty w Polsce w lutym br.

PONIŻANIE NIEMCÓW

„Sukcesy wyborcze PiS wiążą się z poważnymi błędami w niemieckiej polityce, z wieloletnim brakiem zainteresowania Polską” – przyznał Nietan w rozmowie z „Die Welt”. Według niego „ta arogancja mści się teraz”. „Polacy uważają się za zwycięzców i zgodnie z tym podobijają stawkę. Rząd PiS żąda odszkodowań w wysokości 1,3 bln euro za zniszczenia spowodowane przez Niemców podczas wojny. Domaga się także uznania mniejszości polskiej w Niemczech” – wylicza polityk SPD. Wszystko to miało sprawić, że „chęć podjęcia dialogu jest obecnie niemal zerowa”. „Mało który minister federalny chce jechać do Warszawy, żeby tam zostać odrzuconym” – do-

dał. Mimo to Nietan opowiedział się za „większą empatią dla Polski”, za pozytywną agendą współpracy. Taką zresztą zamierza opracować i przedstawić do jesieni.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że wobec rosnącej pozycji Polski nasi sąsiedzi za Odrą mają trudności z dostosowaniem się do nowej sytuacji. Dalej wspierają polską liberalną opozycję, uzasadniając brak zainteresowania współpracą z polskim rządem rzekomą antyniemiecką fobią Jarosława Kaczyńskiego. Ta wydumana fobia zresztą służy w niemieckiej prasie do uzasadnienia niemal wszystkiego. „Dlaczego Polska nie zamawia niczego w nie-

mieckim przemyśle (zbrojeniowym), nie wiadomo. Podejrzewa się, że zaufanie do Niemiec po powolnej pomocy dla Ukrainy spadło w Warszawie do poziomu zera. Decyzja ta jest jednak także częścią wrogiej wobec Niemiec kampanii PiS” – czytamy choćby na łamach „Die Welt”. Gazeta twierdzi dalej, że Polska „zbroi się tak, jakby nie była częścią militarnego sojuszu” i nie stara się o wspólne projekty z partnerami w NATO, tak „jak jest w przypadku Niemiec i Francji”. O tym, że Niemcy i Francja wykluczyły Polskę ze wspólnych projektów zbrojeniowych, choćby w konstrukcji nowego czołgu, gazeta nie wspomina ani słowem.

Za to dziennik „Süddeutsche Zeitung” postuluje wymianę Polski na Czechy. Czechy i Niemcy to „partnerzy, którzy mogą na sobie polegać, a Berlin wreszcie dostrzegł potencjał Czech jako pośrednika w relacjach z innymi krajami Europy Środkowej”. W lipcu szefowa dyplomacji Niemiec Annalena Baerbock mówiła o rozszerzeniu Trójkąta Weimarskiego, czyli podupadającego formatu współpracy z Francją i Polską. Innymi słowy: „jeżeli Polska nie chce, Czechy są gotowe” – czytamy. W skrócie: Niemcy nie zamierzają zmienić swojej polityki wobec Polski bez względu na koszt, wolą czekać na zmianę władzy na korzystniejszą dla nich, a jeśli to się nie uda, zamienną Warszawę na Pragę. Myślenie imperialne to najwyraźniej coś, z czego ciężko się wyleczyć. Im bardziej będzie rosła pozycja Polski, tym mocniej Niemcy będą się trzymały dawnego *status quo*.

„Die Welt”: „Polska uważana jest za gospodarczego prymusa i rozwija się dynamicznie”. „Handelsblatt”: „Polska jako europejska lokalizacja inwestycji jest obecnie na kursie wznoszącym”

Prawica przegrywa z imigrantami

Migranci co prawda napierają na całą Europę, ale Włochy i Wielka Brytania są tu szczególnie ciekawymi przypadkami

Do tej pory nic nie przynosi efektów, nawet zastosowana tu i ówdzie prawicowa terapia szokowa.

Kontrola i zatrzymanie napływu imigrantów było niegdyś najważniejszym celem motywującym Anglików do poparcia wystąpienia z Unii Europejskiej. Kampania referendalna Vote Leave z 2016 r., której jedną z twarzy był późniejszy premier Boris Johnson, obiecała Anglikom, że jeśli kraj odzyska suwerenność, to rychło będzie w stanie roztoczyć kontrolę nad kolejnymi



JAN ROKITA

falami migracyjnymi. Zaś wyborczy manifest torysów z 2019 r. uczynił zobowiązanie zapanowania przez rząd nad skalą migracji głównym przesłaniem zwycięskiej kampanii wyborczej.

Jednak cztery lata po tamtych wyborach i siedem lat po brexitowym referendum afroazjatycka imigracja na Wyspy osiąga tak bezprecedensowe rozmiary, że szefowa brytyjskiego MSW Suella Braverman uznaje ją za „zagrożenie narodowego charakteru Wielkiej Brytanii”. Nawiasem mówiąc, jest coś z ironicznego paradoksu w tym, że sama pani minister, reprezentująca „twardogłową” frakcję torysowskiej prawicy, jest dzieckiem afrykańskich imigrantów z Kenii i Mauritiusa.



We Włoszech z kolei społeczne pragnienie postawienia zapory masowej migracji przez Morze Śródziemne wyniosło do władzy alt-prawicę (czy też skrajną prawicę, jak się zwykle mówi w Europie Zachodniej) pod wodzą Giorgii Meloni. Jeszcze jako jeden z liderów twardej opozycji przeciw lewicowemu rządowi Matteo Renziego dzisiejsza pani premier była pierwszym włoskim politykiem mającym odwagę głosić tzw. teorię etnicznego zastąpienia, w myśl której należy postawić tamę bardziej lub mniej jawnym siłom dążącym do zmiany dotychczasowej białej większości Europejczyków na nową większość o pochodzeniu afrozjatyckim. Jeszcze kilka lat temu Meloni zwracała uwagę na to, że rocznie 100 tys. etnicznych Włochów jest zmuszonych uciekać z kraju, a na ich miejsce przybywa 150 tys. Arabów, Azjatów i Murzynów, co jej zdaniem świadczyło o prawdziwości „teorii zastąpienia”, traktowanej przez wielu jako jedna ze współczesnych teorii spiskowych.

W 2022 r. Meloni przyniatająco wygrała wybory z hasłem „blokady morskiej” dla statków przewożących migrantów do Europy. No i właśnie teraz okazuje się, że odkąd alt-prawica rządzi w Italii, skala imigracji rośnie lawinowo, znacznie szybciej niżli w latach poprzednich, za rządów lewicy.

Rzecz jasna migranci napierają na całą Europę, ale Włochy i Wielka Brytania są tu szczególnie ciekawymi przypadkami. W ciągu ostatnich lat w tych dwóch krajach społeczne zniecierpliwienie narastającą migracją doprowadziło bowiem do swoistej antyimigracyjnej „terapii szokowej”, czyli wstrząsów tektonicznych i zmian w tamtejszej polityce. Wielka Brytania jako pierwszy kraj w historii opuściła Unię, a Włochy stały się pierwszym państwem Europy Zachodniej rządzonym przez alt-prawicowego premiera.

OBIETNICE BEZ POKRYCIA

Jednak skutki tych fundamentalnych przemian dla samego faktu imigracji są przeciwne w stosunku do intencji i obietnic. Wedle statystyk brytyjskiego MSW negatywne saldo migracji z i do Wielkiej Brytanii jeszcze w 2022 r. wy-

nosiło 504 tys. osób, zaś w roku bieżącym sięgnie już 1 mln. Dziennik „The Telegraph” ujawnił ostatnio, że niepublikowana rządowa prognoza na rok 2024 jest jeszcze gorsza i znacząco przekracza ów 1 mln. A to jasno pokazuje, iż konserwatywny rząd premiera Sunaka po cichu zakłada fiasko swoich starań o powstrzymanie migrantów.

Podobnie rzecz się ma w Italii pod rządami Meloni. Tamtejsze MSW podaje dane dla kategorii „imigranti sbarcati”, czyli tych, którzy we włoskich portach zesłi z łodzi na ląd. W tym roku, od stycznia do sierpnia, odnotowano ich 106 tys., podczas gdy w analogicznym

Brytyjski rząd poniósł fiasko, próbując przenieść część nielegalnych imigrantów na wynajętą w tym celu i zacumowaną w porcie Portland barcę Bibby Stockholm, gdzie na trzech piętrach miało zamieszkać ponad 500 mężczyzn

okresie 2022 r. – 53 tys., zaś jeszcze rok wcześniej – 37 tys.

Trend jest całkiem jasny: za tolerancyjnych wobec imigracji rządów lewicy skala napływu Murzynów, Arabów i Azjatów do Włoch była mniejsza niżli za rządów alt-prawicy. Nic dziwnego, że od jakiegoś czasu włoskie media podkreślają fiasko antyimigracyjnych obietnic Meloni. Co więcej, o ile rząd Sunaka w Londynie nerwowo szamocze się z kwestią migracyjną, ponosząc zresztą porażkę za porażką, to gabinet Meloni sprawia takie wrażenie, jakby coraz wyraźniej uznawał się za pokonanego przez nieprzewidywalną falę migracyjną, gdyż zaczął podejmować kroki przyzwalające, pod pewnymi warunkami, na masowy napływ migrantów.

W ostatnim czasie szczególnie duży rozgłos zyskał dekret pani premier, zatwierdzony przez rząd, drastycznie zwiększający limity osób mogących przybywać spoza krajów UE do pracy w Italii. Na trzy lata 2023–2025 Meloni wyznaczyła ów limit na poziomie mniej więcej 0,5 mln ludzi, co i tak stanowi zaledwie jakąś połowę zapotrzebowania zgłaszanego przez włoskich pracodawców. Włoscy eksperci zauważają, że przy bardzo humanitarnych tamtejszych przepisach o łączeniu rodzin 0,5 mln przybywających pracowników oznacza co najmniej 1,5 mln nowych imigrantów, legalizowanych tym razem przez rząd Meloni. Przy czym, choć teoretycznie dekret wskazuje zawody, do których odnoszą się owe limity, to są one ujęte tak szeroko, że wyglądają na praktyczną fikcję. I tak do Włoch będą mogli przybywać m.in.: hydraulicy, elektrycy, kierowcy, mechanicy, ludzie do opieki nad chorymi, starcami i dziećmi albo do pracy w hotelach, a także pracownicy sezonowi do prac na roli i w turystyce (i to w ramach dodatkowego limitu 40 tys. osób).

Piszę o tych wszystkich szczegółach, gdyż dopiero one pozwalają sobie uzmysłowić, że w istocie mamy do czynienia ze „zmianą narracji” premier Meloni (jak to eufemistycznie określił jeden z włoskich ekspertów). Mówiąc wprost: Meloni wydaje się być świadoma swej porażki w zwalczaniu imigracji, więc próbuje ją po części przynajmniej zalegalizować. Jest ku temu zresztą kilka dobrych powodów. Przede wszystkim rosnący deficyt pracowników we Włoszech przy bardzo kiepskim trendzie demograficznym (jeszcze gorszym niżli u nas w Polsce) i najniższym bezrobociu w historii włoskiej gospodarki, co tym razem nie jest bynajmniej powodem do optymizmu. A także rosnąca presja włoskiej lewicy, liberalnych mediów, organizacji humanitarnych i sporej części biskupów katolickich, aby alt-prawicowy rząd porzucił brutalne idee w rodzaju „blokady morskiej” (którą Meloni zapowiadała jeszcze niedawno). Zwłaszcza odkąd w lutym tego roku tuż przy słynnej kalabryjskiej plaży Steccato di Cutro miała miejsce kolejna katastrofa morska statku z imigrantami.

IRYTACJA I BEZSILNOŚĆ

Włoski partyjny kolega europosła Ryszarda Legutki (razem kierują w europarlamencie frakcją Europejskich Konserwatystów i Reformatorów), a zarazem czołowy polityk partii pani premier Nicola Proccaccini nie pozostawia złudzeń co do nowej linii włoskiej alt-prawicy. Komentując dekret Meloni, mówi: „Nie ma narodu, który byłby w stanie sobie poradzić bez umiarkowanej migracji”.

Co ciekawe, to, co uznane zostało w Europie, nie bez racji, za polityczny sukces Meloni, czyli zmuszenie Unii Europejskiej do zawarcia antymigracyjnego układu z Tunezją, również na razie okazuje się fikcją. Od czasu owego układu nastąpił bowiem... wzrost o jedną trzecią owych „imigranti sbarcati” przyływających właśnie z Tunezji – do poziomu 25 tys. młodych mężczyzn w ciągu ostatniego miesiąca. Być może przemytnicy, spodziewając się przeszkód ze strony rządu w Tunisie, po prostu potroili teraz swoje wysiłki. Ale i tak jest to koronny dowód na czczosław prawniczej gadaniny o „blokadzie morskiej”.

Szczególna złość ogarnia z tego powodu prawicowych samorządowców z wysp znów obleganych przez imigrantów. Wiceburmistrz Lampeduzy (należący do koalicyjnej Ligi Salvini) Attilio Lucia wystąpił ostatnio z głośnym we Włoszech atakiem na panią premier. „Mamy obleżony ośrodek recepcyjny, zapchany szpital i izbę przyjęć, która jest bezużyteczna dla chorych mieszkańców i turystów” – mówi Lucia. I pyta retorycznie: „Gdzie jest ten rząd? Jakiego są jego intencje? Co robi premier, która zapowiadała blokadę morską?” Po czym szyderczo konkluduje: „Prawica jest gorsza niż lewica [...]. I smutno mi z tego powodu, bo Salvini był moim kolegą, a teraz nie odbiera ode mnie telefonów”.

Z kolei nad brytyjskimi wysiłkami opanowania migracji zawisło ostatnio jakieś fatum. Najpierw (co w Londynie od brexitu staje się już regułą) poczynania rządu Sunaka zablokował w lipcu londyński sąd. Anglia zawarła jakiś czas temu porozumienie z Rwandą, wypłacając tamtejszemu rządowi 140 mln funtów w zamian za zgodę na odsyłanie

tam nielegalnych przybyszów z Syrii, Iraku, Iranu, Wietnamu, Sudanu i Albanii. Kiedy jednak pierwsze samoloty już miały wylatywać do Afryki, w sprawie wniósł się londyński High Court, unieważniając umowę rządową jako sprzeczną z Europejską Konwencją Praw Człowieka. Poirytowany wiceszef partii torysów poseł Lee Anderson skwitował sytuację stwierdzeniem: „Fuck off, back to France”. A gdy zażądano odesłania przeprosin, odmówił, dodając, iż to przejaw skrajnej frustracji jego samego i jego wyborców. Anderson mówi przy tym otwarcie, że jego partia ponosi generalną porażkę w radzeniu sobie z imigrantami.

W tym roku – od stycznia do sierpnia – włoskie MSW odnotowało już 106 tys. „imigranti sbarcati”, czyli tych, którzy we włoskich portach zeszli z łodzi na ląd. W analogicznym okresie 2022 r. – było to 53 tys., zaś jeszcze rok wcześniej – 37 tys.

I choć to święta prawda, to nie dziwota, że wiceszef torysów jest dziś postacią nienawidzoną na Downing Street.

Podobne fiasko, i to w groteskowej postaci, rząd poniósł, próbując przenieść część nielegalnych imigrantów na wynajętą w tym celu i zacumowaną w porcie Portland barkę Bibby Stockholm, gdzie na trzech piętrach miało zamieszkać ponad 500 mężczyzn.

Najpierw całą akcję uniemożliwili sami imigranci, stawiając opór, alarmując organizacje humanitarne i wnosząc skargi sądowe. Co zresztą nie dziwi, zważywszy na dotychczasową praktykę rządu, wynajmującego dla nich dziesiątki hoteli na południu Anglii, w tym czterogwiazdkowe. Potem do akcji protestacyjnych włączyli się ekologodzy i ak-

tywiści praw człowieka, argumentując, że ów wielki statek to w istocie „zbrodnia tortur” na ludziach oraz bomba ekologiczna. Również burmistrz Portland domagał się sądowego zakazu osiedlania imigrantów w jego mieście. Kiedy twardej minister Braverman udało się w końcu przełamać ów opór, okazało się, że woda na statku jest skażona sławetną „bakterią legionistów”, więc na gwałt wyciągano ze statku ludzi dopiero tam zakwaterowanych. Tymczasem sądy zaczęły wydawać kolejne wyroki nakazujące imigrantom nie wyprowadzać się z wytwornych hoteli i ignorować wydawane nakazy władz.

Tragifarsa z umową z Rwandą i barką Bibby Stockholm dowodzi jednak tego, że pełna suwerenność, jaką po brexicie dysponuje Wielka Brytania w materii migracji, niczego w gruncie rzeczy nie zmienia. Wspomniany już poseł Anderson tłumaczy przyczyny fiaska tym, że: „mamy lewicowych prawników, obrońców praw człowieka, mamy organizacje charytatywne, wszystko jest przeciwko nam”. Sekretarz parlamentarny MSW Sarah Dines wzbudziła oburzenie prawników i działaczy humanitarnych, argumentując, iż to eleganckie angielskie hotele stanowią jeden z czynników ściągających do Anglii ludzi, żyjących wcześniej w strasznych warunkach we francuskich obozach przejściowych. „Ale nie mogą oczekiwać, że zatrzymają się w hotelu czterogwiazdkowym” – dodała.

Tymczasem jednak na kanale La Manche co rusz toną łodzie z uciekinierami z Francji, a opozycyjna Partia Pracy żąda (jakby się umówiła z „faszystką” Meloni) ustalenia bezpiecznych korytarzy na kanale i wysokich limitów legalnego napływu ludzi. Bo skoro ani brexit, ani alt-prawica nie mają siły, aby zatrzymać wędrowną ludźmi maszerującą na Europę, to na prawicy pojawia się pomysł, aby już z nią nie walczyć, ale jakoś zalegalizować. Zdaje się, że i w Rzymie, i w Londynie coraz częściej myśli się o imigrantach i Europie jak o nieuniknionych przyprawach Laguny Weneckiej, która, choć od 100 lat ludzie wymyślają najróżniejsze zapory, i tak z roku na rok coraz głębiej pochłania miasto – ikonę starej Europy.

Wielka mistyfikacja?



GORAN ANDRIJANOVIĆ

Przybywam, by błagać Boga o przebaczenie, uzdrowienie i pojednanie” – to były pierwsze słowa papieża Franciszka w czasie jego wizyty apostołskiej w Kanadzie w lipcu ub.r. To miała być, jak ją papież opisał, „pielgrzymka pokutna”.

Miała ona miejsce wśród dyskusji o systemie funkcjonowania szkół rezydencjalnych działających w Kanadzie od początku XIX do końca XX w., mających zapewnić obowiązkową edukację dzieciom Indian. Większość placówek była prowadzona przez instytucje chrześcijańskie, najczęściej przez Kościół katolicki. W 2021 r. dyskusja nabrała nowego wymiaru.

Indianie z plemienia Tk'emlúps te Secwépemc ogłosili, że za pomocą radaru penetrującego ziemię odkryli ciała

215 dzieci w masowym grobie na terenie dawnej szkoły rezydencjalnej w Kamloops. Niedługo później poinformowano, że odkryto nowe „masowe groby” na terenie szkół z internatami w Saskatchewan i jeszcze kilku innych miejscach. Kanadyjskie i zagraniczne media pisały o dziesiątkach tysięcy dzieci w ukrytych grobach, umierających z powodu głodu lub przemocy. Twierdzono, że było to ludobójstwo na rdzennych plemionach Kanady. Rozpętała się antychrześcijańska histeria, podpalono kilka kościołów.

WYKOPALISKA

A gdzie jesteśmy dzisiaj, rok po przeprosinach papieża?

W Kanadzie do tego momentu nie odnaleziono ani jednego ciała dziecka z rzekomych masowych grobów. Wszystko wskazuje na to, że był to jeden z największych fake newsów w historii zachodniego dziennikarstwa. To podsumowanie tekstów, jakie w ostatnich dniach ukazały się w mediach świata anglosaskiego. „The New York Post”, „The Daily Mail”, „The Times”, „Spiked”, „Spectator” – wszystkie piszą o prawdopodobnym

oszustwie, które miało miejsce w Kanadzie. Oczywiście te lewicowo-liberalne media, które kiedyś pisały o „masowych grobach” i podsycaly antychrześcijańską nagonkę, nie zamieściły żadnych przeprosin i sprostowań. Nawet jeśli to zrobią, jasne jest, że straciły zaufanie, uczestnicząc w historycznej kampanii przeciwko Kościołowi.

Oczy wielu otworzyła wiadomość, która napłynęła niedawno z kanadyjskiego miasta Manitoba. Tamtejsze organizacje związane z rdzennym plemieniem Minegoziibe Anishinabe prowadziły badania w piwnicy kościoła katolickiego Matki Bożej Siedmiu Boleści w pobliżu szkoły rezydencjalnej.

Przeszukano 14 lokalizacji, które były wcześniej badane przez radary, i odkryto anomalie w ukształtowaniu terenu, które uznano za masowe groby, zanim poddano je jakimkolwiek badaniom. Ustalono już, że nie ma tam ciał.

Należy dodać i to: żaden z rzekomych grobów na terenie szkół rezydencjalnych do dziś nie został otwarty w celu ustalenia, czy tak poważny zarzut jest prawdziwy.

Rok temu w czasie wizyty papieża w Kanadzie w tekście zatytułowanym „Za



*Dwa lata
po nagłośnieniu
sprawy „masowych
grobow” dzieci rdzennej
ludności Kanady
na terenie szkół
rezydencjalnych
nie znaleziono
żadnych ciał*

Fot. Cole Burton / AFP / Eannews

co papież przeprasza” napisałem następujące zdania: „Wiadomość o masowych grobach w Kamloops została przekazana kanadyjskiej opinii publicznej przez szefową plemienia Rosanne Casimir. Zrobiła to, mimo że eksperci obsługujący radar podkreślali, iż twierdzenia o odnalezieniu ciał dzieci nie można udowodnić bez wykopalisk. Odkrycie pewnych anomalii w ziemi nie oznacza, że są to groby dzieci ze szkół. Kilka tygodni po tych wiadomościach inne indiańskie plemię, Cowessess, ogłosiło, że również za pomocą radaru znalazło 751 nieoznaczonych grobów na terenie dawnej szkoły w Saskatchewan. I to twierdzenie zostało sformułowane bez niezbędnych wykopalisk i badań”.

„To wszystko było bardzo trudne dla Kanady. Potrzebujemy więcej wykopalisk, abyśmy mogli poznać prawdę. Zbyt wiele powiedziano i zdecydowano, zanim pojawił się jakikolwiek dowód” – stwierdził w rozmowie z „The Daily Mail” Jacques Rouillard, emerytowany profesor Wydziału Historii Uniwersytetu w Montrealu. I dodał: „Nie lubię używać słowa oszustwo, ponieważ jest zbyt mocne, ale w tej kwestii krąży też zbyt wiele kłamstw niepopartych dowodami”.

BEZ DOWODÓW

Szczególnie niepokojące w tej historii jest to, że w tworzeniu tej kampanii brały udział nie tylko media, lecz także kanadyjskie władze. Liberalny premier Justin Trudeau również nie czekał na żadne dowody. Po wiadomości o rzekomo zabitych dzieciach z Kamloops zapowiedział, że flagi we wszystkich instytucjach państwowych zostaną opuszczone do połowy masztu. Następnie pojawił się na miejscu „masowego grobu” w Saskatchewan, gdzie jego fotograf zrobił mu zdjęcie klęczącego z pluszowym misiem w dłoni. Należy zaznaczyć, że w tym roku w Kanadzie odbyły się wybory i premier najwyraźniej chciał maksymalnie wykorzystać ten temat.

To zdjęcie i jego przeprosiny za „chrześcijan, którzy wyrządzili Indianom wiele krzywdy” obiegły cały świat. To posunięcie Trudeau, jak napisali późniejsi analitycy, uprawomocniło twierdzenia o masowych grobach.

Kiedy potem rozpoczęła się kampania nienawiści wobec chrześcijaństwa, a w Kanadzie zaczęto palić kościoły, Trudeau potępił przemoc, ale dodał, że „rozumie gniew”. Było to w czasie, gdy zdestawowano 83 kościoły, z czego 36 spalono. Jednocześnie do kampanii, która przecież była w większości skierowana przeciwko Kościołowi katolickiemu, włączyli się także niektórzy przywódcy organizacji praw człowieka. „Spalić ich wszystkich” – pisała w internecie niejaka Harshii Walla, „działaczka na rzecz praw człowieka”.

„W szczytowym okresie paniki społecznej, która nastąpiła na przełomie maja i czerwca 2021 r., w mediach głównego nurtu powtarzały się nawet miejskie legendy o dzieciach wrzucanych do pieców i potajemnych pochówkach o północy” – napisał niedawno znany kanadyjski dziennikarz Johanatan Kay. I dodał: „Z pewnością, pomyślałem, wszystkie te osoby publiczne nie przyjęłyby takich twierdzeń, gdyby nie pojawiły się prawdziwe dowody. Minęły prawie dwa lata od czasu, gdy ukazały się pierwsze szokujące nagłówki. W tym okresie nie odnaleziono ani jednego nieoznakowanego grobu – ani w Kamloops, ani w żadnej innej społeczności Pierwszych Narodów, która następnie przeprowadziła własne badania. Ani jednego”.

Kay uważa, że w Kanadzie od dawna funkcjonuje polityka ojkofobii, którą kanadyjskie społeczeństwo chce ukazać jako wylęgarnię rasizmu i wszelkich negatywnych zjawisk tego świata. Wpisuje się w to cała narracja o „ludobójstwie” rdzennej ludności Kanady.

„Od czasu objęcia urzędu Trudeau zgodził się nie z jednym, ale dwoma oskarżeniami, jakoby Kanada dopuściła się ludobójstwa. Oprócz narracji o szkołach rezydencjalnych, drugie dotyczy rzekomo trwającego ludobójstwa wobec rdzennych kobiet i dziewcząt. Nie znam innego porównywalnego przykładu historycznego, w którym oficjalnie obraz narodu został całkowicie zmieniony na jego niekorzyść, i to w ciągu zaledwie dziesięciu lat, jak to się stało w Kanadzie” – wyjaśnił Kay podłoże całego zjawiska.

TO FAKE NEWS

Oczywiście media lewicowo-liberalne w Polsce, a także te należące do tzw. otwartego Kościoła, pospieszenie przyłączały się do hysterii na temat tego, co działo się w Kanadzie. W tym czasie Tomasz Terlikowski napisał w „Rzeczpospolitej”: „To, co działo się w szkołach rezydencjalnych w Kanadzie, było zbrodnią. Zbrodnią przeciwko konkretnym dzieciom, rodzinie, przeciwko lokalnym kulturom. Kościół katolicki – wraz z innymi wspólnotami wyznaniowymi – choć owej zbrodni nie wymyślił, to w niej uczestniczył”.

Nie ulega wątpliwości, że system szkół rezydencjalnych, który został zaprojektowany przez państwo kanadyjskie, miał swoje bardzo poważne wady. Aby jednak o nich mówić, trzeba też powiedzieć prawdę. A prawdą jest, jak pokazują obecne fakty, że na terenach dawnych szkół nie ma masowych grobów, jak twierdzono.

Jak pisze Kay, niewykluczone, że eks-humacje, które mają się rozpocząć w niektórych placówkach szkolnych, pozwolą na odnalezienie ciał. Píše, że do połowy XX w. biednych Kanadyjczyków, białych i tubylców, chowano w skromnych grobach w różnych miejscach. Ale pomyśl, że gdzieś znajdują się masowe groby, w których wrzucono dziesiątki tysięcy zamordowanych dzieci, za co odpowiada Kościół katolicki – to klasyczny fake news. 

Należycie do silnych i odważnych narodów

Argentyńczycy doskonale kojarzą Polaków, bo na przełomie XIX i XX w. masowo przybywali i zapuszczali u nas korzenie. Polska była czwartym krajem, który dał nam najwięcej imigrantów, tuż po Hiszpanii, Włoszech i Niemczech. Myślę, że każdy z nas ma przyjaciela o polskim nazwisku

Z *Santiago Muzio*, prawnikiem francusko-argentyńskim, dyrektorem Wyższego Instytutu Socjologii, Ekonomii i Polityki (ISSEP) w Madrycie, rozmawia Małgorzata Wolczyk

Polacy i Argentyńczycy niewiele wiedzą o sobie nawzajem. Jak Polska kojarzy się w Argentynie? A może wcale nie istniejemy w waszej świadomości?

Santiago Muzio: Ależ skąd. Argentyńczycy doskonale kojarzą Polaków, bo na przełomie XIX i XX w. masowo przybywali i zapuszczali u nas korzenie. Swoim wysiłkiem i pracą pomogli zbudować Argentynę. Polska była czwartym krajem, który dał nam najwięcej imigrantów, tuż po Hiszpanii, Włoszech i Niemczech. Była też fala migracyjna z Polski po 1945 r. wskutek komunizmu. Myślę, że każdy z nas w Argentynie ma przyjaciela o polskim nazwisku. Szacuje się, że dziś ok. 1 mln moich rodaków ma polskich przodków. Nawet 8 czerwca każdego roku obchodzimy Dzień Polskiego Osadnika.

Sporą zasługę w tych relacjach ma wspólna wiara katolicka.

Oczywiście. Polska, podobnie jak Hiszpania, czyli nasza matka-ojczyzna, jest krajem, który zawsze walczył w obronie wiary. Istnieje wiele podobieństw między naszymi państwami. Należycie do silnych i odważnych narodów. Znacie swoją historię i macie powody być z niej dumni. A Polskie kobiety są piękne! Podobnie jak Argentyнки.

Problem w tym, że jak słuchamy Argentyńczyka papieża Franciszka, to mamy wątpliwości, czy aby na pewno reprezentuje on katolicyzm, jaki znamy i praktykujemy.

Myślę, że dla wielu Argentyńczyków wiadomość o tym, że kard. Bergoglio został nowym papieżem, była zasmucająca. W każdym razie ja tak czułem. To papież, który nie przestaje zaskakiwać, niestety. Uprawia jakiś świecki katolicyzm, ale też ciągle zajmuje się polityką. Obecny papież jest wyzwaniem nie tylko dla was, lecz także i dla nas. Wywołuje ogromne zamieszanie i niepewność.



Fot. Archiwum prywatne

Wiele wypowiedzi papieża powoduje ból w tej części Europy. Sprawia wrażenie, jakby nic nie wiedział o naszej historii, np. uparcie wybiela Rosję. W wywiadzie dla argentyńskiej telewizji C5N Franciszek powiedział: „Kiedy imperium czuje się słabe, rozpoczyna wojnę, aby móc sprzedawać broń”. Czy jest to powszechna myśl wśród Latynosów, którzy zwykli postrzegać Amerykę jako imperium zła, a Rosję jako imperium dobra?

Sposób myślenia papieża nie odzwierciedla myślenia nas wszystkich. Była to niewątpliwie osobista opinia Bergoglio. Myślę, że papież mówi każdemu rozmówcy to, co ten chce usłyszeć. Tak wywołuje zamieszanie, ponieważ, niestety, nie prosi o radę swoich doradców w kwestiach, o których niewiele wie, zwłaszcza tych geopolitycznych. Nie powinniśmy przywiązywać tyle wagi do jego wypowiedzi w sprawach niezwiązanych z wiarą i Kościołem. Rozumiem, że może to gorszyć Polaków, tak samo jak on gorszy nas, Latynosów, gdy podejmuje z radością na audiencjach komunistycznych przywódców z państw znanych jako narkodyktatury. W Ameryce komunizm nie umarł, panoszy się podobnie jak na Kubie. Zmienił tylko swoją nazwę i teren walki. Prawie wszyscy obecni szefowie państw Iberoameryki są członkami Grupy Puebla – lewicowej organizacji, która kontynuuje prace rozpoczęte przez Fidela Castro, Lulę i Cháveza w latach 90. XX w. To jest właśnie Forum w São Paulo, którego „misją” było zapewnienie kontynuacji komunizmu w Ameryce Południowej, po upadku muru berlińskiego. Sympatia papieża dla reprezentantów Grupy Puebla szokuje wielu Latynosów.

To pocieszające, że myślimy podobnie. Moja warszawska parafia ma ołtarz z podarowaną przez Argentynę figurą Dziewicy z Luján, a w czasie Świątowych Dni Młodzieży gościłam w domu kilkunastu Argentyńczyków, stąd wiem, że wiara daje mi wspólny język wartości z Latynosami.

Dziewica z Luján jest duszą Argentyny. Nasza flaga wzięła kolory z jej płaszcza: jasnoniebieski i biały. W pielgrzymce do Matki Bożej z Luján co roku uczestniczy do 2 mln Argentyńczyków. Argentyna jest krajem maryjnym. To nie przypadek, że ostatnie objawienie maryjne uznane przez Kościół miało miejsce w San Nicolás de los Arroyos, nad brzegiem rzeki Paraná. Oznacza to, że Argentyna ma do odegrania ważną rolę wśród narodów, zgodnie z Bożym zamysłem.

I dlatego Polaków tak frapuje papież z Argentyny i jego niecodzienne przesłania.

Cóż, a może każdy wiek i czas ma takie papieństwo, na jakie zasługuje? Argentyński jezuita o. Leonardo Castellani w wydanej w 1964 r. powieści „Juan XXIII (XXIV) fantazja” antycypował ekscesy, jakie wywoła w Kościele wybór argentyńskiego papieża. Jeśli Polacy chcą poznać zalety argentyńskiego katolicyzmu, to szczerze polecam przeczytać książki tego wielkiego myśliciela.

Zdaje się, że jeszcze bardziej niż katolicyzm łączy was piłka nożna, a tym co dzieli – polityka?

Owszem, futbol jest ważny, ale najważniejsza jest w Argentynie rodzina. W niedzielę wszyscy zbierają się na wspólny posiłek w domu seniorów rodu. Kwestią, co do której zgodni są wszyscy moi rodacy, jest także to, że Malwiny są nasze, a nie brytyjskie. Jako wspólnota polityczna jesteśmy pęknięci, bo polityka ostatnich 20 lat, zapoczątkowana objęciem urzędu przez prezydenta Néstora Kirchnera i kontynuowana przez wdowę po nim Cristinę, przyczyniła się do powstania podziałów.

W takim telegraficznym skrócie przybliżmy ten podział czytelnikom.

W latach 70. w Argentynie miała miejsce wojna domowa między rewolucyjną lewicą, która przemocą próbowała ustanowić komunistyczną dyktaturę za rządów Isabel Perón (była prezydentem Argentyny i wdową po Peronie), a następnie w czasach junty wojskowej.

Rząd Kirchnera otworzył w Argentynie stare, zagojone już niemal rany, rozpalając nienawiść między lewicą – z którą się zgadzał – a wojskiem i innymi ludźmi prawicy. Ten gabinet uwięził wielu żołnierzy i prawicowców, stosując często arbitralne procedury, które nie respektowały minimalnych praw procesowych oskarżonych. Było to swego rodzaju polowanie na czarownice, które pozwalało kirchneristom zajmować uwagę opinii publicznej, aby jednocześnie w ukryciu opróżniać kasę państwową.

To dlatego od paru lat w kontekście Argentyny słychać już tylko o ruinie państwa, rekordowej inflacji?

Trudno w kilku zdaniach streścić przyczyny upadku Argentyny. Jak kraj, który pod koniec XIX w. był najbogatszy na świecie, może teraz zajmować pierwsze miejsce w rankingu najbardziej zrujnowanych gospodarek? Argentyna jest dziś moralnie i ekonomicznie bankrutem. Kraj, który produkuje to, co niezbędne do wyżywienia 400 mln ludzi na świecie, jest świadkiem głodu swoich mieszkańców. Wskaźnik ubóstwa w Argentynie wynosi prawie 40 proc. (mówimy o ok. 18 mln ludzi), a w grupie dzieci do 14. roku życia ten sam odsetek sięga 54 proc. Ojcem argentyńskiego dramatu jest bez wątpienia socjalizm, który doprowadził kwitnący kraj do upadku. Cristina de Kirchner, obecna wiceprezydent Argentyny, była oskarżana w licznych sprawach sądowych, a kwoty wyłudzone przez nią i jej popleczników sięgają miliardów dolarów.

I w tym krajobrazie zjawia się nagle Javier Milei i, skupiając uwagę całego świata, wywraca polityczny stół, sięgając po 30 proc. głosów w sierpniowych prawyborach.

Javier Milei prawdopodobnie będzie naszym kolejnym prezydentem. Jak sam mówi, Argentyńczycy są obecnie na rozdrożu i muszą dokonać wyboru: albo będą iść obecną ścieżką, a wtedy Argentyna w ciągu 30 lat stanie się największym na świecie slumsem pod gołym niebem, albo wszyscy zaczną pracować nad odzyskaniem tego, czym niegdyś był ten kraj. I jeśli Bóg pomoże, to odzyska należne mu miejsce na mapie politycznej.

A jednak Milei nie ma magicznej różdżki, aby uzdrowić sytuację, narosłą po tylu dekadach. Ten ekscentryczny polityk nie ma zaplecza politycznego ani struktur. Gniew Milei, jego antysystemowa siła i charyzma mogą nie wystarczyć.

Owszem, naród jest zmęczony i to też przełożyło się na jego sukces. Milei wiedział jednak, jak obudzić coś, czego wśród Argentyńczyków już nie było: nadzieję. Nie martwię się, że jest to ktoś spoza systemu. Przeciwnie. Obecny system argentyńskich partii politycznych jest całkowicie skorumpowany. Jeśli istnieje szansa dla Argentyny, należy jej szukać poza strukturami partyjnymi, które w ostatnich latach prowadziły jedynie grę naprzemienną, aby zachować przywileje, niezależnie od tego, czy są po prawej, czy po lewej stronie. W historii wielkich zmian zawsze dokonywała mniejszość, a czasem jedna wybitna jednostka. W Argentynie czas odzyskać wolność, bo jesteśmy w sytuacji nadzwyczajnej. Totalitarne państwo wkroczyło do wszystkich sfer życia publicznego, a Javier Milei chce nam zwrócić wolność. Wspierają go ludzie równie wartościowi, np. kandydatka na wiceprezydenta Victoria Villarruel. Milei kompletuje swój zespół, którego celem jest wyciągnięcie Argentyny z ruiny. Jest także jedynym kandydatem, który przedstawił plan rządu obejmujący odpowiednie działania na poziomie gospodarczym, prawnym i społecznym.

My, Polacy, wiemy, co to znaczy przechodzić ze skrajności w skrajność, od komunizmu do turbokapitalizmu. Czy przekonuje was program Milei, zakładający całkowitą prywatyzację firm? Niektóre z jego punktów, jak np. legalny handel organami, brzmią przerażająco.

Na temat programu Javiera Milei krąży wiele fake newsów. Należy zrozumieć, że spółki państwowe w Argentynie były jaskiniami Ali Baby, w których okopali się politycy. W takich warunkach wydaje mi się pilną sprawą, aby Argentyna sprywatyzowała te przedsiębiorstwa, uwikłane w skrajną korupcję. Argentyna to kraj, który został zbudowany dzięki przedsiębiorczości imigrantów, w tym Polaków. Milei proponuje, aby państwo dbało o swoje naczelne funkcje (bezpieczeństwo, sprawiedliwość, sprawy wewnętrzne, obrona, stosunki międzynarodowe), a wszystkie inne ministerstwa (takie jak Ministerstwo ds. Kobiet), które służyły jako „koryto” dla swoich aparatczyków i popleczników – zlikwidować. Milei nigdy nie proponował sprzedaży narządów, to słowa wyrwane z kontekstu i cytowane przez prasę głównego nurtu, która kłamie, aby go demonizować. Milei sprzeciwia się aborcji, ideologii gender, edukacji seksualnej, Agendzie 2030. Ma odwagę robić to, co myśli i jest w tym

konsekwentny, co w naszych czasach nie jest powszechne. Często nazywany jest szaleniem. Irlandzki poeta Pearse powiedział kiedyś: „Skoro rozsądny nie chce mówić, niech przemówi szaleniec”. Są chwile, kiedy rozsądni ludzie boją się porzucić swoją strefę komfortu i zacząć działać. W Argentynie jest wielu dobrych ludzi zniesmaczonych polityką, którzy zdecydowali się porzucić walkę o idee. Nadszedł więc czas, aby „szaleniec”, jak Javier Milei, wykrzyczał prawdę na cały głos.

Czy Argentyna dołączy do BRICS?

Jeśli Javier Milei wygra, Argentyna nie przystąpi do BRICS. Milei dał jasno do zrozumienia, że nie będzie żadnej współpracy z reżimami. Zobaczymy, co się stanie, jeśli wygra inny kandydat. Integracja BRICS może być korzystna dla nas w kwestiach gospodarczych oraz w perspektywie krótko- i średnioterminowej. Rosnąca obecność Chin w Argentynie (i całej Ameryce Południowej) stwarza realny problem. Po przejściu większości zasobów naturalnych Afryki Chiny są zdecydowane zrobić to samo w iberosferze, a zwłaszcza w Argentynie, która posiada wiele niewykorzystanych zasobów naturalnych (niektóre, takie jak gaz czy lit, stanowią jedną z najważniejszych rezerw na świecie). Chiny stały się pierwszym partnerem handlowym Argentyny. W grę wchodzi realna kwestia suwerenności narodowej. Mam nadzieję, że kimkolwiek będzie następny prezydent, będzie miał strategiczną wizję, i oby długoterminową.

Franciszek to papież, który nie przestaje zaskakiwać, niestety. Nie powinniśmy przywiązywać tyle wagi do jego wypowiedzi w sprawach niezwiązanych z wiarą i Kościołem

Czy jako dyrektor kuźni młodych, konserwatywnych kadr w Madrycie, jest pan optymistą? Wydaje się, że ISSEP odgrywa ważną rolę we Francji i Hiszpanii. Czy jest szansa na odebranie lewicy monopolu w kulturze, mediach i edukacji?

Mam na to nadzieję, i to ogromną. Wierzę, że dzisiejsza młodzież jest spragniona prawdy i absolutu. To właśnie widzimy w ISSEP. Współczesny świat odmawia młodym ludziom możliwości bohaterstwa, oferując im jedynie ekran, łatwy seks i rozrywki. Ale młodość nie do tego została stworzona. Bez wątpienia jednym z największych wyzwań stojących przed młodzieżą jest chęć założenia rodziny. A współczesny świat jak nigdy dotąd atakuje rodzinę. Na szczęście widać reakcję. W Ameryce Łacińskiej dziś buntem jest bycie na prawicy. Lewica stała się burżuazyjna i, jak sądzę, straciła vitalność, jaką miała kiedyś. Dziś dla wielu młodych ludzi najważniejsze to przetrwanie w świecie, który jest coraz bardziej samolubny. Lewica nie ma odpowiedzi na najważniejsze pytania. W Ameryce Łacińskiej trend wyznaczają ludzie tacy jak Agustín Laje, żeby wymienić tylko jedno nazwisko, ale niedługo wszyscy usłyszą o Javierze Milei.



Ukraińska ofensywa może przyspieszyć?

O wyniku ofensywy zdecyduje przede wszystkim to, kto jest bardziej zmęczony, zdeterminowany i pomysłowy. Nie ma też cudownych broni, które są w stanie zmienić sytuację na froncie. A Ukraina potrzebuje sukcesu, przełamania Rosjan i poczucia, że dotychczasowe ofiary nie okazały się daremne



MAREK BUDZISZ

W połowie sierpnia dziennik „The Washington Post”, powołując się na oceny amerykańskiego wywiadu, informował, że rozpoczęta w maju ukraińska ofensywa „nie przyniesie” prawdopodobnie oczekiwanego sukcesu strategicznego. Na początku września przedstawiciele amerykańskiego wywiadu wojskowego oceniali na 40–50 proc. szansę na to, że uda się przełamać rosyjskie linie. Siłom zbrojnym Ukrainy nie powiedzie się, w świetle tych ocen,

plan dojścia do Morza Azowskiego i rozcięcia sił rosyjskich na dwie części po to, aby izolować Krym.

O tym, że Amerykanie są zaniepokojeni powolnymi postępami sił ukraińskich, świadczyć mogą też słowa Antony’ego Blinkena w Kijowie. Amerykański sekretarz stanu, który niespodziewanie przybył na Ukrainę, mówił, że „widzi postępy” ukraińskiej ofensywy, ale zarazem dodał, że jednym z celów jego wizyty jest troska o to, aby Kijów w przyszłości otrzymał „wszystko, co jest niezbędne dla skutecznego kontruderzenia”, co sugerowałoby, że sytuacja jest daleka od ideału. Z kolei na spotkaniu z Zelen-skim Blinken powiedział, że przybył do Kijowa, „aby usłyszeć ocenę sytuacji” od ukraińskiego prezydenta. Wszystko to sugeruje, że w Waszyngtonie panuje pogląd, iż obecna ofensywa nie dopro-

wadzi do przełomu strategicznego, wojna będzie się przeciągać, i trzeba zacząć myśleć, co dalej.

Zdaniem ekspertów, na których opinie powołuje się „Ukraińska Prawda”, obecna ofensywa może być kontynuowana jeszcze przez ok. dwa miesiące. Potem warunki atmosferyczne, intensywne opady, charakterystyczne dla tej pory roku, i rozmiękły w efekcie grunt uniemożliwią przemieszczanie się sił pancernych i zmechanizowanych. Front stanie do grudnia, stycznia, kiedy, podobnie jak rok wcześniej, działania znów zostaną wznowione.

DLACZEGO TAK WOLNO?

Można pokusić się zatem o pierwsze podsumowanie ukraińskiej ofensywy i sformułowanie prognoz na najbliższe tygodnie i miesiące. Gen. David

Petraeus, były szef CIA i dowódca amerykańskich sił w Iraku, powiedział w wywiadzie, że „wojny wygrywa ta strona, która szybciej się uczy”, a jego zdaniem „Ukraińcy uczą się najszybciej na świecie”. I to napawa go optymizmem, kiedy myśli o przyszłości. Dodał, że ofensywa potrwa jeszcze co najmniej cztery miesiące, w zależności od warunków pogodowych. Ale jest też przekonany, że ostatecznie siłom ukraińskim uda się dokonać znaczących wyłomów w rosyjskich liniach, bo, jak zauważył, „ciągle wprowadzają innowacje, stale się dostosowują, uczą. Rezultaty widać na polu bitwy, chociaż są one powolne, bardzo ciężkie i w niektórych przypadkach kosztują zbyt wiele”.

Na pytanie, dlaczego siłom ukraińskim nie powiodła się strategia blitzkriegu, jest co najmniej kilka odpowiedzi. Michael Kofman i Robert Lee, amerykańscy eksperci, którzy już kilkakrotnie byli na pierwszej linii frontu, formułują tezę, że w pierwszej fazie ataku, jeszcze w maju, strona ukraińska zbyt optymistycznie zakładała możliwości przełamania. Na Zaporozżu uderzono dużymi siłami, które nadziały się na dobrze przygotowaną rosyjską obronę i nie tylko nie udało im się przebić frontu, ale nawet dojść do pierwszej linii obrony. Inni analitycy wskazują, że błędem było oparcie kontrofensywy na nowych siłach „gwardii przełamania”, niedawno sformowanych brygadach ochotniczych wyposażonych w sprzęt z Zachodu, które przygotowywały się do kontrnatarcia. Dziennik „Financial Times” pisał na początku września, że system szkolenia sił ukraińskich na zachodnich poligonach też odbiega od ideału. Brakuje np. tłumaczy, a strona ukraińska skarży się, że wysłane na przeszkolenie oddziały są uczone, jak walczą siły NATO, mające dominację w powietrzu. W realiach ukraińskiego frontu ta wiedza była zupełnie nieprzydatna. „W lipcu-sierpniu zachodnie media sztucznie rozdmuchały pogląd, że nie walczymy według zachodniej metodologii, ale według sowieckiej – powiedział Andrij Zagorodniuk, były minister

obrony Ukrainy. Walczymy w sposób, który uważamy za konieczny i technicznie możliwy. Żaden Amerykanin nie poradziłby sobie w naszej wojnie, choćby dlatego, że nie mamy lotnictwa”. Z kolei zachodni analitycy w rodzaju Kofmana podkreślają, że ciężar kontrofensywy powinien spoczywać na starych, doświadczonych związkach taktycznych w rodzaju 24. czy 28. Brygady Zmechanizowanej, które niepotrzebnie zostały

Gen. David Petraeus, były szef CIA i dowódca amerykańskich sił w Iraku, powiedział w wywiadzie, że „wojny wygrywa ta strona, która szybciej się uczy”, a jego zdaniem „Ukraińcy uczą się najszybciej na świecie”. I to napawa go optymizmem, kiedy myśli o przyszłości

wykrwawione w walkach o Bachmut, miasta bez strategicznego znaczenia. Należało je wzmocnić, wyposażać w sprzęt, a nie polegać na nieźle uzbrojonych, ale niedoświadczonych związkach taktycznych.

Strona ukraińska podkreśla z kolei, że dostała od Zachodu raptem 15 proc. „zamówionego” sprzętu niezbędnego do rozminowywania, co znakomicie utrudniło i spowolniło przechodzenie rosyjskich linii obrony. Rosjanie, budując tzw. linię Surowikina, dobrze się przygotowali na ukraińskie natarcie. Jak powiedział w jednym z wywiadów żołnierz kryjący się pod pseudonimem Madziar, dowódca kompanii uderzeń systemami bezzałogowymi: „Wróg jest wyposażony w ogromną liczbę min. Są miejsca, gdzie na metr kwadratowy przypada kilkanaście min różnego typu”. Aby niszczyć trały zamontowane na czołgach rozminowujących pola mi-

nowe, Moskale układali po trzy miny, jedna na drugiej. Urządzili wręcz polowanie na dostarczone Ukrainie (w zbyt małej liczbie) systemy służące do rozminowywania. Zresztą pola zarosły, co dodatkowo utrudniało przechodzenie przez nie, kładzione wraz z przesuwaniem się frontu na nowo.

Ben Barry, ekspert brytyjskiego think tanku IISS, w rozmowie z tygodnikiem „The Economist” porównał sytuację na ukraińskim froncie do tej, która miała miejsce pod El Alamein, kiedy Niemcy dowodzeni przez Erwina Rommla położyli 1 mln min, umacniając swe linie obrony. Strona ukraińska nie miała i nadal nie ma wystarczających zasobów, aby je przejść. Na początku kontrofensywy miała 200 30-osobowych zespołów saperskich, które w toku walk poniosły już duże straty. Przede wszystkim dlatego, że pola trzeba rozminowywać ręcznie, często pod ogniem nieprzyjaciela.

A nie chodzi wyłącznie o zapory w postaci min. Ihor Ganenko, dowódca 47. Brygady Magura, powiedział mediom, że Rosjanie „kopią bardzo wąskie i głębokie na 3 m rowy”. Ich zdobycie ma być utrudnione, bo jeden ranny żołnierz blokuje możliwość kontynuowania natarcia. Budują też zmyślne pułapki, jak choćby linie obrony, które nimi w istocie nie są, ale wypełnione materiałami wybuchowymi mogą zostać zdalnie wysadzone w powietrze.

ROSJANIE SIĘ ZBROJĄ

Rosjanie uczą się również, jak prowadzić nowoczesną wojnę, co czyni ją znacznie trudniejszą. Maria Berlińska, szefowa Centrum Wsparcia Wywiadu Powietrznego, powiedziała mediom, że jej zdaniem, jeśli sytuacja „z dronami” szybko nie ulegnie zmianie, to „za rok będziemy musieli uisnąć do stołu negocjacji pokojowych z Rosjanami”, którzy skokowo zwiększyli swe możliwości w tym zakresie. Jak zauważyła, Moskale produkują miesięcznie już 45–50 tys. dronów, kilkakrotnie zwiększyli też swe zdolności w zakresie amunicji krążącej, niezłych z wojskowego punktu widzenia systemów w rodzaju Orłanów, które

stanowią bardzo groźną i niemożliwą do unieszkodliwienia broń, tym bardziej że ukraińskie siły zbrojne mają ograniczone możliwości w zakresie walki radioelektronicznej. Berlińska jest zdania, że początkowa przewaga Ukrainy w zakresie „wojny dronów” jest dziś niwelowana, bo Rosjanie szybko zwiększają swe możliwości, a produkcja na Ukrainie nie rośnie w takim tempie, jak powinna.

FRONTOWA RZECZYWISTOŚĆ

Ukraina ma też problemy z tzw. medycyną taktyczną, czyli zdolnościami do ewakuowania swoich rannych żołnierzy z pola walki. Jest zbyt mało zespołów ratunkowych, a ich wyposażenie, delikatnie mówiąc, pozostawia wiele do życzenia. Oksana Korczyńska, która przez ostatnie 18 miesięcy pracowała w przyfrontowych punktach medycznych, wywołała skandal, pisząc w sieciach społecznościowych, że sanitariusze nadal muszą posługiwać się nieprzydatnymi opaskami zaciskowymi, tzw. stazami taktycznymi, produkcji chińskiej, które nie tamują masywnych krwotoków. Na Ukrainie mówi się głośno, że ma to związek z korupcją i nawet ostatnia dymisja ministra Reznikowa nie rozwiąże tego problemu. Jest on o tyle istotny, że jeśli nie udaje się w praktyce zrealizować zasady „złotej godziny”, a w takim czasie każdy ranny czy kontuzjowany żołnierz powinien liczyć na pomoc medyczną i ewakuację, to straty będą rosły lawinowo. I tak jest w przypadku ukraińskich sił zbrojnych, zmuszonych obecnie atakować dobrze umocnione rosyjskie linie obrony.

Niedawno dziennik „The New York Times” podawał, powołując się na źródła w Pentagonie, że przez 18 miesięcy wojny strona ukraińska przeprowadziła od 40 do 50 tys. amputacji, co też jest potwierdzeniem tezy, iż medycyna pola walki stanowi jej piętę achillesową. Zarządzenie przez Zeleńskiego kontroli orzeczeń komisji lekarskich kwalifikujących do służby wojskowej, które za łapówki miały na masową skalę wydawać świadectwa niezdolności, a także liczne zwolnie-

nia w komisjach uzupełnień i towarzyszące im skandale korupcyjne na Zachodzie odbierane są w kategoriach osłabienia morale społeczeństwa ukraińskiego i pierwszych oznak problemów kadrowych.

W toku walki gen. Syrski zmuszony został do zmiany taktyki. Stara, polegająca na atakowaniu większymi formacjami piechoty wspieranej siłami pancernymi, okazała się nieskuteczna. Teraz walczy się małymi grupami, plutonami, co najwyżej kompaniami. Siły pancerne odgrywają rolę pomocniczą. Liczy się znów artyleria i to, kto ma więcej amunicji

CO DALEJ?

W związku z tym można zapytać, co dalej. Gen. Oleksandr Tarnawski, dowodzący na kierunku zaporoskim, powiedział w wywiadzie dla brytyjskiego „Guardiana”, że „jeszcze wszystko przed nami”. W jego opinii Rosjanie skierowali 60 proc. wysiłków na budowę umocnień pierwszej linii obrony, a dwie pozostałe powinny przysparzać już znacznie mniej problemów. Tym bardziej że Moskale są zmęczeni, mają duże straty i nie dysponują niezbędnymi rezerwami. Po przełamaniu w okolicach wsi Robotyne i Werbowe z przejściem następnych umocnień winno pójść łatwiej. Z tymi ocenami nie wprost polemizuje w rozmowie z „The Economist” Trent Maul, dyrektor zespołu analiz w America’s Defence Intelligence Agency (DIA). W jego opinii druga i trzecia linia ro-

syjskich umocnień wcale nie jest słabsza od pierwszej. Rosjanie stale je zresztą rozbudowują, a o wyniku ofensywy przesądzi, jak uważa Maul, to, kto ma większe rezerwy i kto będzie w stanie stale uzupełniać ścierany w toku walk potencjał bojowy.

Innymi słowy – niewiele wiadomo. Strona ukraińska, przygotowując ofensywę, popełniła sporo błędów, ale przedstawiciele Zachodu, lubiący występować z pozycji mentorów, również nie są bez winy. W toku walki gen. Syrski został zmuszony do zmiany taktyki. Stara, polegająca na próbie atakowania większymi formacjami piechoty wspieranej siłami pancernymi, okazała się katastrofalnie nieskuteczna. Teraz walczy się małymi grupami, plutonami, co najwyżej kompaniami. Siły pancerne odgrywają rolę pomocniczą. Znów liczy się artyleria i ilość amunicji. O wyniku ofensywy zdecyduje przede wszystkim to, kto jest bardziej zmęczony, zdeterminowany i pomysłowy. Nie ma też cudownych broni, które są w stanie zmienić sytuację na froncie. Nawet jeśli Ukraina dysponowałaby samolotami F-16, to i tak zapewne, jak uważają eksperci, ich użycie nie dałoby przewagi pozwalającej myśleć o zwycięstwie w wojnie.

Prezydent Wołodymyr Zełenski, wprowadzając Rustema Umerowa, nowego ministra resortu obrony, powiedział, że musi on działać bardzo szybko i przede wszystkim odbudować zaufanie społeczeństwa. Jak zaznaczył, „społeczeństwo znajduje się obecnie w bardzo trudnej sytuacji emocjonalnej” i potrzebuje przełomu. Miał zapewne na myśli walkę z korupcją, ale chyba również sytuację na froncie. Ukraina potrzebuje sukcesu, przełamania Rosjan i poczucia, że dotychczasowe ofiary nie okazały się daremne. Zachód też czeka na przełom, od którego może zależeć gotowość do kontynuowania wsparcia finansowego i wojskowego. Jeśli ten nie nastąpi, a dzisiaj nikt chyba nie wie, czy i kiedy można liczyć na dobre wieści z frontu, to wówczas znajdziemy się w trudniejszej sytuacji. Zarówno politycznie, jak i strategicznie.



Uniwersytet Ave Maria w Naples na Florydzie założony przez amerykańskiego multimiliardera Toma Monaghana, byłego właściciela sieci „Domino’s Pizza”

Davida Brooksa „najważniejszą religijną książką dekady”. Jej znaczenie polegało na tym, że autor owej pracy – najpopularniejszy dziś chrześcijański bloger w USA Rod Dreher – nie tylko opisał duchową zapaść Zachodu i kryzys współczesnego Kościoła (co czyniło przed nim wielu pisarzy), lecz także jako jeden z nielicznych odważył się zaproponować konkretne rozwiązania na przyszłość. Zarysowany przez niego program nawiązywał do dziedzictwa żyjącego na przełomie V i VI w. św. Benedykta z Nursji.

ŻYJEMY W CZASACH NEOPOGAŃSKICH

Żeby zrozumieć lepiej myśl Drehera, należy odwołać się do refleksji szkockiego filozofa Alasdaira MacIntyre’a, który w zakończeniu swego klasycznego już dzieła „Dziedzictwo cnoty” porównywał sytuację dzisiejszych chrześcijan do sytuacji, w jakiej znaleźli się wyznawcy Chrystusa u schyłku cesarstwa rzymskiego. Pisał: „Punktem zwrotnym tamtej historii był moment, w którym ludzie dobrej woli zarzucili próby ocalenia imperium rzymskiego i przestali utożsamiać już obyczajowość oraz wspólnotę moralną z zachowaniem imperium. Zamiast tego postawili sobie – nie zawsze zdając sobie z tego w pełni sprawę – zadanie nowych form wspólnoty, w ramach której moralność i dobre obyczaje mogłyby przetrwać nadchodzące wieki barbarzyństwa i ciemnoty. Jeżeli moja interpretacja naszych warunków moralnych jest słuszna, należy także wyciągnąć wniosek, że my również już jakiś czas temu osiągnęliśmy podobny punkt zwrotny. Na obecnym etapie sprawą zasadniczą jest budowa lokalnych form wspólnotowych, w których możliwe byłoby zachowanie dobrych obyczajów oraz życia intelektualnego i moralnego w obliczu epoki nowego barbarzyństwa, które już nadchodzi [...]. Tym razem jednak barbarzyńcy nie gromadzą się u naszych granic; oni od jakiegoś czasu już sprawują nad nami władzę. Fakt, że nie uświadamiamy sobie tego, stanowi element naszej skomplikowanej sytuacji. Nie czekamy na Godot, lecz na kogoś innego, na kolejnego – bez wątpienia bardzo odmiennego – świętego Benedykta”.

Benedykt z Nursji był założycielem zakonu benedyktynów. Tworzone przez

„Opcja Benedykta” w praktyce

Dziś na świecie powstaje coraz więcej nowych wspólnot i lokalnych społeczności katolickich inspirowanych programem naszkicowanym przez Roda Drehera w jego bestsellerowej książce



GRZEGORZ GÓRNY

W 2017 r. w Stanach Zjednoczonych ukazała się książka, która doczekała się wielu przekładów na języki obce, wywołując w świecie katolickim ciągnące się do dziś dyskusje. „Opcja Benedykta” – bo o niej mowa – nazwana została przez redaktora naczelnego „New York Timesa”

niego klasztor – jak podkreślał MacIntyre – nie uważały za swą powinność podtrzymywania imperium, ponieważ przestały się z nim utożsamiać. Ich podstawowym zadaniem była nie walka o przetrwanie cywilizacji rzymskiej, lecz budowa społeczności chrześcijańskiej. W zasięgu ich oddziaływania znalazły się okoliczne osady, które przyjmowały benedyktyńską duchowość oraz zasady życiowe, wyrażone w lapidarnej dewizie *ora et labora*. Stopniowo wspólnoty mnichów stawały się centrami lokalnych społeczności chrześcijańskich, jawiąc się jako wyspy ducha w morzu barbarzyństwa. W ten sposób nie tylko przeniosły one w przyszłość wiarę i położyły fundament pod gmach chrześcijańskiej Europy, lecz także ocaliły dla potomności to, co najcenniejsze w kulturze antycznej. Szkołki filozof uważały, że właśnie dzięki nim przetrwała zarówno racjonalność, jak i moralne życie.

To, co dla MacIntyre’a było intuicją wieńczącą jego książkę, dla Drehera stało się punktem wyjścia do zarysowania programu działania, który nazwał „opcją Benedykta”. Jego zdaniem nadszedł dziś czas, by chrześcijanie przestali utożsamiać się z cywilizacją zachodnią, ponieważ stała się ona antychrześcijańska i to w sposób – według niego – nieodwracalny. To cywilizacja oparta na całkowitym zaprzeczeniu Dekalogu, coraz bardziej nietolerancyjna wobec wyznawców Chrystusa, gwałcąca ich sumienia i narzucająca postępowanie sprzeczne z podstawowymi zasadami wiary. Zwalczanie religii nie opiera się dziś, jak w systemach totalitarnych, na przemocy i przymusie bezpośrednim. Obecnie – jak zauważa Chantal Delsol – uzyskuje się podobny efekt przy użyciu „pewnej psychologicznej i moralnej formy nacisku: różnych rodzajów wpływu, zawstydzania i onieśmiania, ukrytych lub jawnych gróźb ekonomicznych, wywierania presji przez ośmieszenie itd.”. Ta walka toczy się przede wszystkim w sferze szeroko pojętej kultury, stąd trafność określenia „wojna kulturowa”, której szczególnymi elementami są media i szkolnictwo.

W tej sytuacji Dreher proponuje, by chrześcijanie zmienili swój paradygmat działania. Przestali uważać za swą powinność obronę cywilizacji zachodniej, dotkniętej genem autodestrukcji i ska-



Uczelnia w Naples ma być kuźnią chrześcijańskich elit, swoistą szkołą liderów w Kościele katolickim

zanej na obumarcie, a zamiast tego skoncentrowali się na budowaniu lokalnych społeczności chrześcijańskich, które – na wzór wczesnośredniowiecznych klasztorów – staną się oazami ewangelizacji na duchowej pustyni, pozwalającymi przetrwać czasy neopogaństwa. Droga do tego powinno być tworzenie wspólnot żywej wiary, w których na co dzień pielęgnowane będą cnoty chrześcijańskie i które będą promieniować na otoczenie przykładem własnego życia.

OAZY DUCHA W KRAJOBRAZIE PUSTYNI

„Opcja Benedykta” wywołała gorące dyskusje w wielu krajach. Doczekała się zarówno licznych krytyk, jak i pochwał. Istotniejsze wydaje się jednak to, że zainspirowała ona wiele środowisk katolickich na świecie do praktycznego wcielenia w życie programu naszkicowanego przez Drehera. Co prawda już wcześniej gdzieś powstawały podobne inicjatywy, jednak nie miały one tak silnej podbudowy konceptualnej.

Jedna z takich wspólnot o nazwie Tipi Loschi została założona pod koniec XX w. we Włoszech. Stworzyło ją 20 katolickich rodzin, które postanowiły przeprowadzić się do miejscowości San Benedetto del Tronto nad Adriatykiem. Choć mieszkają we własnych domach, pracują w różnych miejscach i uczęszczają do swoich parafii, to razem założyli m.in. szkołę im. Gilberta Keitha Chestertona oraz klub św. Łucji, w którym wspólnie się modlą, studiują Pismo, świętują, pomagają potrzebującym, organizują pielgrzymki i zawody sportowe itp. Jak mówi ich lider Marco Sermarini: „Myśmy niczego nie wy-

myślili. Odkryliśmy jedynie na nowo skarby, które trzymaliśmy i ukrywaliśmy przed sobą w starym pudełku”.

Najsłynniejszym przedsięwzięciem wpisującym się w ten nurt było założenie w 2003 r. przez amerykańskiego multimiliardera Toma Monaghana (byłego właściciela sieci „Domino’s Pizza”) uniwersytetu Ave Maria w Naples na Florydzie. Biznesmen doszedł do wniosku, że większość katolickich uczelni w USA wbrew oficjalnej nazwie zatraciła swój chrześcijański charakter. Nie tylko przestano się tam troszczyć o pogłębianie wiary studentów, lecz także nawet zaczęli być oni zarażani przez wykładowców awersją do Kościoła. Dlatego zamiast dofinansowywać któryś z istniejących uniwersytetów katolickich, przedsiębiorca zdecydował się stworzyć nowy. Starał się dopilnować, by kadra profesorska i program nauczania gwarantowały najwyższy poziom wiedzy i wierność Magisterium Kościoła. W jego wizji wykładowcy teologii powinni nie tylko przekazywać wiedzę, lecz także świadczyć o swej wierze osobistym przykładem. Uczelnia miała być kuźnią chrześcijańskich elit, swoistą szkołą liderów w Kościele katolickim.

W krótkim czasie w Naples powstało całe miasteczko akademickie, w którego centrum Monaghan wybudował wielki kościół. Chciał, by trwała w nim nieustająca adoracja Najświętszego Sakramentu, a studenci mogli się wyspowiadać o każdej porze dnia i nocy. Z czasem wokół kampusu zaczęli wykupować ziemię i stawiać domy katolickie z całych Stanów Zjednoczonych, których przyciągała opinia tego miejsca. Chcieli żyć i wychowywać swoje dzieci w miejscowości wolnej od pornografii, sex showów czy nocnych klubów ze striptizem,

do czego często sprowadzali ich motywację krytycy. Chodziło im raczej o to, że chcą mieszkać, rozwijać się i działać w społeczności, z którą mogą się w pełni utożsamić, ponieważ podziela ona ich poglądy i wartości. Czuli, że jest to sposób, by nie tylko samemu wzmocnić swoją wiarę, lecz także przekazać ją najbliższym.

ŻYĆ W SPOSÓB CHRZEŚCIJAŃSKI

Publikacja „Opcji Benedykta” spowodowała, że tego typu inicjatyw zaczęło powstawać coraz więcej, przy czym wiele z nich otwarcie przyznaje się do swej inspiracji pisarstwem Drehera. Jedną z nich jest wiejska farma Cottonwood w stanie Michigan, założona w 2019 r. i skupiająca osiem gospodarstw domowych. Jej mieszkańcy różnią się pochodzeniem, wiekiem czy wykształceniem (są wśród nich nauczyciele, artyści, biznesmeni czy handlarze), ale łączy ich jedno: pragnienie życia w sposób chrześcijański. Wszyscy uciekli z wielkich miast również po to, by znaleźć wspólnotę sąsiedzką i żywe więzi międzyludzkie oraz być bliżej natury, w bezpośrednim kontakcie z przyrodą.

Inną z tego rodzaju inicjatyw jest francuska Monasphère, której nazwa pochodzi od połączenia dwóch słów: „monastere” (klasztor) oraz „sphere” (sfera). Jej początki sięgają października 2020 r., gdy trzech biznesmenów postanowiło wyszukiwać na prowincji opustoszałe klasztory lub sanktuaria, budować wokół nich nowe domy lub remontować stare oraz tworzyć tam wspólnoty złożone z kilkunastu rodzin, pragnące prowadzić pogłębione życie chrześcijańskie. Gdy ogłosili swój pomysł w internecie, w ciągu pięciu dni odezwano się do nich 850 osób, z których aż 530 wyraziło chęć kupna nieruchomości w pobliżu takiego ośrodka.

Pomysłem zainteresował się bp Dominique Rey z Tulonu, który skontaktował pomysłodawców Monasphère z kilkoma wspólnotami działającymi na terenie jego diecezji, by połączyli swe siły. Jego zdaniem projekt może pomóc

chrześcijańskim rodzinom wzrastać w wierze w nieprzychylnym otoczeniu kulturowym. Przestrzegł jednak zarazem przed tworzeniem „religijnych kolchozów”. Poradził, by mieszkańcy „klasztornych sfer” nie izolowali się od lokalnej społeczności, lecz stawiali się jej częścią, uczestnicząc w życiu publicznym regionu i nie zaniedbując miejscowej parafii.

Dreher proponuje, by chrześcijanie przestali uważać za swą powinność obronę cywilizacji zachodniej skazanej na obumarcie, a zamiast tego skoncentrowali się na budowaniu lokalnych społeczności chrześcijańskich, które – na wzór wczesnośredniowiecznych klasztorów – staną się oazami ewangelizacji na duchowej pustyni, pozwalając przetrwać czasy neopogaństwa

Dziś Monasphère ogłasza się w internecie jako „pierwsza firma, która planuje i realizuje projekty nieruchomości na terenie całej Francji, w pobliżu chrześcijańskich ośrodków duchowych. Monasphère wspiera osoby i organizacje, opracowując projekty nieruchomości, które łączą w pełni niezależne życie prywatne, braterskie sąsiedztwo z innymi rodzinami oraz zakotwiczenie na terenach pozamiejskich w prawdziwej ekologii relacyjnej i duchowej”. Twórcy inicjatywy postawili sobie za cel stworzenie we Francji w ciągu 10 lat 100 takich centrów duchowych. Nie jest to zadanie niemożliwe do wykonania, ponieważ zgłasza się do nich coraz więcej opactw lub

klasztorów oraz katolików mających dość religijnego minimalizmu.

ENKLAWY POZA ENTROPIĄ

Bardzo często o powstaniu nowej lokalnej społeczności chrześcijańskiej decyduje chęć uchronienia dzieci przed indoktrynacją i deprawacją seksualną w szkołach publicznych. Tak dzieje się m.in. w USA, gdzie świadomi rodzice starają się zapewnić swoim pociechom edukację wolną od współczesnych ideologii. Potrafią więc zmienić miejsce zamieszkania i przeprowadzić się w pobliże placówek oświatowych, do których mają zaufanie. Tak było np. w przypadku parafii Matki Bożej Różańcowej w Greenville w Karolinie Południowej, gdzie wokół miejscowej szkoły powstała wspólnota Relocatio. Każdego roku przyjmuje ona nowych uczniów, których rodzice przyjeżdżają nawet z tak odległych stanów, jak Illinois, Kalifornia czy Oregon. Chwalą oni nową szkołę nie tylko za bezpieczeństwo (brak narkotyków i młodocianej przestępczości), lecz także za wysoki poziom nauczania oparty na klasycznym modelu edukacji.

Podobna motywacja kierowała też w Polsce rodzinami, które zmieniły miejsce zamieszkania tylko po to, by ich synowie mogli uczęszczać do szkoły Sternik w Józefowie, a córki do szkoły Żagle w Międzyzlesiu. Nie pociągnęło to jednak za sobą utworzenia nowej wspólnoty, jak zdarza się w innych państwach. Niemniej istnieją już w naszym kraju osiedla, których mieszkańcy dobierają się na zasadzie klucza religijnego (np. na warszawskich Młocinach czy w Łomiankach), tworząc wspólnoty sąsiedzkie doskonale rozumiejących się ludzi. Świadczy to o postępującej także u nas sekularyzacji, która zagarnia coraz większe obszary życia publicznego i sprawia, że katolicy zaczynają organizować się w nowy sposób, kierując się „opcją Benedykta”. Program zarysowany przez Drehera ma to do siebie, że można go będzie za jakiś czas zweryfikować, sprawdzając, jak potoczyły się losy powstających dziś „enklaw poza entropią”.

K

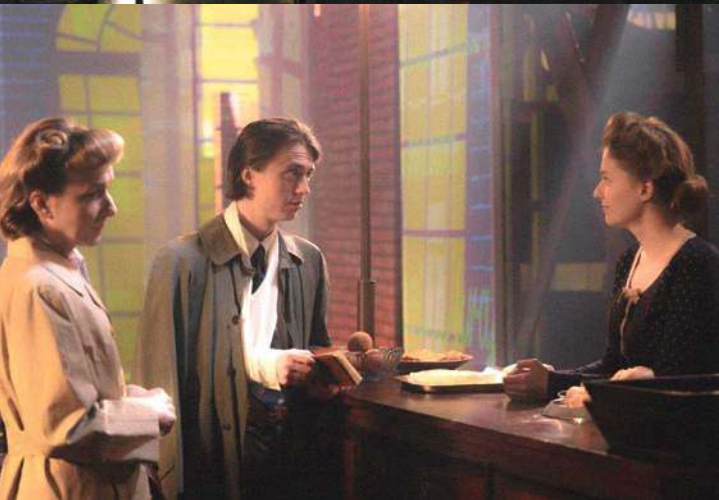
ULTIMATYV

*„Praski Reytan”
to opowieść o strasznych
powojennych latach,
w których bohaterstwo
przeplatało się
z nikczemnością,
a jej bohaterowie zostali
zmiażdżeni przez
historię. Rozmawiamy
z Mikołajem Kubackim,
odtwórcą głównej
roli w spektaklu
wyreżyserowanym przez
Tomasza Drozdowicza
wg scenariusza Piotra
Zaremby*



Ballada o Bolku Chmielarzu

Fot. AKPA



Z aktorem **Mikołajem Kubackim** rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

Kiedy ostatnio był pan na Pradze?

Mikołaj Kubacki: Przy okazji kręcenia serialu „Król” w reżyserii Jana P. Matuszyńskiego. Spędziłem tam kilka miesięcy, przygotowując się do roli Edwarda Tiutczewa. Przechadzałem się po dzielnicy. Wydawała mi się bardzo urokliwa. Przyjeżdżam do Warszawy z Krakowa, gdzie mieszkam i gram w teatrze. Dopiero odkrywam to miasto. Przede wszystkim Pragę Północ, z której pochodził też bohater sztuki „Praski Reytan”.

Akcja serialu „Król” (realizowanego cztery lata temu) rozgrywa się w międzywojniu i w czasie okupacji, „Praski Reytan” to czas powojenny. Poznawał pan Pragę tylko w dekoracjach?

Przede wszystkim, chociaż zdarzało mi się zapuszczać także nieco dalej.

Dotarł pan na Małą 13, „poprzeczną do Inżynierskiej”?

Ostatecznie nie, ale cały czas mam w pamięci ten adres. Odbieram go symbolicznie. Dużo mówi o naszym

bohaterze. Bolek Chmielarz był bardzo mocno przywiązany do tego miejsca. Podobało mi się w nim też to, że na pierwszym planie stawiał rodzinę. Mimo że stracił dwóch braci (jednego w dziesiątym dniu powstania, drugi wyjechał na Zachód i nie było z nim kontaktu, bo ubecja przechwytywała listy). Dom przy Małej 13 był jego miejscem, wiązał się z najbliższymi.

Wspomnił pan o symbolicznym adresie. Bolek – mały trybik zdarzeń, trafia w poprzek trudnej do ogarnięcia, inżynierskiej układanki historii. Ta go wciąga, zagarnia i w pewnym momencie przygniata, zatrząskując w matni powojennych zmian?

Dla mnie historia Bolka Chmielarza jest mocno poruszająca, chwilami rozpaczliwa. Ale też uniwersalna. Także w formie spektaklu (wyreżyserowanego dla Teatru Telewizji przez Tomasza Drozdowicza) bliska dzisiejszemu odbiorcy.

W jakim sensie?

Mieliśmy możliwość grania po części współcześnie. Bez udawania, że cofnęliśmy się o 80 lat, do czasów tużpowojennych, gdy rozgrywa się większa część akcji. Nie mówimy gwara warszawską, tylko stylizujemy język, próbujemy wejść w rodzaj przenośni, metafory. Dlatego m.in. pojawiają się muzyczne wstawki łączące klimat praskich ballad i wojennych przyśpiewek (jak np. przerobiona tekstowo „Siekiera, motyka”) z rapem.

„Praski Reytan” nie tylko muzycznie czerpie z ballady.

Dzięki temu przedstawiona w sztuce historia Bolka Chmielarza nie ma charakteru dokumentu, jest trochę bajkowa, chociaż opowiadamy o prawdziwych wydarzeniach (sztuka Piotra Zaremby sięga do autentycznych tekstów raportów i donosów, nieraz cytowanych dosłownie, jak list bohatera do UB z czerwca 1949 r.) i niemal wszystkie postaci, od kolegów po oprawców Bolka, są prawdziwe.



Historycznym pierwowzorem Bolka był Bolesław Chmielewski. Kiedy poznajemy go w sztuce, ma 22 lata; był w obozie, do którego trafił z łapanek. Kiedy wraca do Warszawy, zostaje rodziną w ruinie, ale chce działać. Zostaje szefem praskiej młodzieżówki PSL. Usilnie stara się walczyć o niepodległą Polskę.

Jakim wyobrażeniem na temat siebie i Polski żyje ten kolejarski syn?

Dla mnie to bohater złożony – z jednej strony człowiek o wielkiej odwadze i sercu, z drugiej często niepotrafiący sobie poradzić z rzeczywistością. Na początku pełen młodzieńczej energii, ale też pozujący na kogoś obytego i znaczącego. Wchodzi w politykę z idealistycznym nastawieniem i zaufaniem do Stanisława Mikołajczyka oraz jego wizji. Próbuje dowodzić praską młodzieżówką. Mam wrażenie, że bardzo chce się wykazać i pięć po szczytach politycznej kariery. Obserwuję to i we współczesnym świecie.

Gdy Mikołajczyk ucieka z kraju, a siedziba PSL zostaje przejęta przez komunistów, wszystko się zmienia?

Bolek zostaje zdradzony przez swojego najbliższego współpracownika. Za każdym razem, kiedy próbuje wyjść do świata, jest sprowadzany na ziemię przez ubeków, aresztowany, przesłuchiwany, w końcu idzie na współpracę. Nie oceniając jego decyzji, mogę powiedzieć, jak próbowałem go zrozumieć.

Mamy ograniczoną wiedzę na temat tego, co się wtedy działo, bo fakty były fałszowane, a narracja konfabulowana. W efekcie, również takich działań, widzimy w pewnym momencie Bolka jako człowieka samotnego, który przegrał walkę – mam wrażenie – również z samym sobą, stracił wizję, dawne ideały i wiarę w ludzi. Ale z czasem ten człowiek się podnosi. Jego historia jest dla mnie zarazem dotkliwa i wzruszająca.

Bolek Chmielarz wydaje się postacią skrajnie różną od bohatera, któremu zawdzięcza pan nominację do nagrody im. Zbyszka Cybulskiego.

Chodzi o Kamila z filmu „Apokawixa” (2022) w reżyserii Xawerego Żulawskiego. Mam dziś 28 lat. Na potrzeby obu produkcji musiałem wrócić do

doświadczeń sprzed dekady. Bohaterów wiele różni, ale też łączy próba znalezienia swojego miejsca na ziemi, odpowiedzi na czasy, w jakich żyją. Są wystawiani na próbę, dokonują wyborów, nie do końca wiedząc, z czym za chwilę przyjdzie im się zmierzyć. „Apokawixa” pokazuje konsekwencje wynikające z braku szacunku człowieka dla natury. Cały film jest oczywiście zabarwiony dużą dozą poczucia humoru.

A nad czym pan teraz pracuje?

Trwają zdjęcia do kinowego współczesnego filmu, o którym nie mogę mówić. Dużo też działałem w macierzystym krakowskim Starym Teatrze. Jestem po niesamowitym spotkaniu z Lukiem Percevaliem, uznanym twórcą teatralnym belgijskiego pochodzenia. Poznałem go przy okazji pracy nad dramatem rodzinnym „Pewnego długiego dnia”. Mam nadzieję, że to początek długiego i ciekawego teatralnego doświadczenia. ▀

„Praski Reytan”, reż. Tomasz Drozdowicz, emisja w poniedziałek, 11 września, o godz. 21.10 w TVP1 i TVP Kultura

Bruce Brenda David

Na Zachodzie lawinowo rosła liczba młodych ludzi, dla których proces „zmiany płci” stał się życiową tragedią. Już pierwszy taki „eksperyment” ponad pół wieku temu zakończył się dramatem. Nikt nie wyciągnął jednak z tego jakichkolwiek wniosków. A przecież gdyby opinia publiczna zechciała otworzyć się na fakty, istniałaby możliwość uniknięcia morza cierpienia. Jednak lewicowa ideologia to opium dla mas. A wykształceni z dużych miast są podatni na nią jak nikt inny.

W 1955 r. amerykański seksuolog John Money użył sformułowania „gender role”. Zastosował to pojęcie do określenia kulturowo nabytych różnic między kobietami i mężczyznami. Zdaniem Moneya biologiczna płeć „może być sprzeczna z tożsamością seksualną” i trzeba ją operacyjnie skorygować, by „uzgodnić” płeć z tożsamością. Money został prekursorem operacji „zmiany płci” i twórcą pierwszej kliniki „zmiany płci”.

Najbardziej brzemiennym w skutki społeczne był eksperyment Moneya na dwóch kanadyjskich bliźniakach jednojajowych. Jeden z nich, David Reimer (1965–2004), wskutek błędu lekarskiego stracił pracę w wieku siedmiu miesięcy. Money doradził operację „zmiany płci”, usunięcie jąder, poddanie kuracji hormonalnej i rozpoczęcie wychowywania chłopca jako dziewczynki, co zrobiono, gdy pacjent miał dwa lata. Dziecku zmieniono imię na Brenda. Brat bliźniak był natomiast wychowywany zgodnie ze swoją płcią biologiczną.

Money twierdził, że Brenda znakomicie odnajdywała się w nowej tożsamości. Udawał, że eksperyment potwierdza, iż rola kobieca i męska może być wybrana po urodzeniu, że można kształtować rolę płciową niezależnie od płci genetycznej. Raporty z badań zostały

opublikowane w 1972 r. Ich treść wpłynęła na teorię i praktykę w psychologii, socjologii oraz women’s study. Temat podjęły też media. W 1973 r. magazyn „Time” jako pierwszy opublikował artykuł stwierdzający, że tradycyjne wzorce męskości i kobiecości można zmienić i nie są one zależne od genów. Ta i kolejne publikacje na temat ideologii gender spotkały się z ogromnym odzewem społecznym.

Okazało się jednak, że okaleczone dziecko z eksperymentu Moneya nigdy nie akceptowało nowej roli. Czteroletnia Brenda pocięła różowe i białe sukienki, które kazano jej nosić. Zachowywała się jak chłopiec, w żeńskiej łazience oddawała moc na stojąco, bawiła się w żołnierza, uprawiała sporty walki. Nie interesowała się lalkami, nie chciała się bawić z koleżankami. Zawsze wołała zabawki brata. Walcząc z fałszywą i niepasującą tożsamością, dostawała napadów wściekłości, cierpiała na skutek lęków, depresji, zagubienia i agresji.

Gdy miała 12 lat, lekarze rozpoczęli podawanie estrogenów, Brenda jednak odmawiała poddawania się terapii hormonalnej. Nie akceptowała także swojego kobiecego wyglądu. Po konsultacjach z psychiatrami rodzice poinformowali swoje dziecko o jego biologicznej tożsamości, gdy miała 14 lat. Wtedy Brenda odmówiła operacji formowania wagi. Zdecydowała, że chce żyć jako mężczyzna. Rok później przeszła zabieg mający na celu odbudowę prącia. Od tego czasu pacjent relacjonował znaczną poprawę komfortu życia. Usunął piersi, wstrzykiwał sobie testosteron. Bruce-Brenda zmienił imię na David i w wieku 25 lat się ożenił. Niestety, chłopiec, który został dziewczynką, która została mężczyzną, oscylował między kolejnymi fazami lęku, gniewu, wyparcia i depresji. W 2004 r. David Reimer popełnił samobójstwo,



ROBERT TEKIELI

strzelając sobie w głowę. W opinii matki gdyby nie wyniszczający eksperyment, nadal by żył.

Według zeznań ofiar, Money zmuszał rodzeństwo w czasie wizyt kontrolnych do kazirodczych zachowań seksualnych.

Money został oskarżony w mediach o próby potwierdzania wymyślonych teorii przy pomocy sadystycznych eksperymentów. Jednak krytykę swego bestialstwa nazywał prawicową, antyfeministyczną patriarchalną propagandą.

Money uważał, iż pedofilia oparta na pozytywnym uczuciu do najmłodszych nie powinna być karana, nazywał też heteroseksualność „sztucznym konceptem” i zachwalał biseksualny seks grupowy. Kolekcjonował i wykorzystywał w swoich wykładach nekrofilską i pedofilską propagandę.

Prekursor ideologii gender był mianiem seksualnym, który swoje dysfunkcje podniósł do rangi teorii naukowej, czego środowisko naukowe nie zechciało zauważyć. Do dziś John Money jest autorytetem dla wielu psychologów i seksuologów, zaś ideologia gender stała się, jak kiedyś marksizm na Wschodzie, państwową ideologią determinującą przepisy prawa i edukację w szkołach Zachodu. W Polsce media społecznościowe przynoszą informacje o pierwszych osobach decydujących się na detranzycję. Mamy jeszcze szansę na to, by transseksualne szaleństwo nie stało się w naszym kraju problemem społecznym. 



w tolkienowskie schematy w rodzaju okółoludzkich dyktomii: elfy vs. krasnoludy. Na szczęście nie próbuje skupić uwagi na przymiotach swego pisarskiego rzemiosła, bo są one jedynie przyzwoite, nie uwodzi ani język, ani wyobraźnia. Tu oddziałuje całość – trzy książki czytało mi się bardzo dobrze, krócej niż tydzień, i jest to konkretna rekomendacja.

Niewarte Książka Harry'ego Harrisona „*Bill, bohater galaktyki*” to historia prostego chłopaka z leżącej na obrzeżach wszystkiego planety Phigerinadon II, którego największym życiowym marzeniem jest zostać operatorem mechanicznych roztrząsaczy obornika. Zachwala się tę książkę jako „»Paragraf 22« literatury SF” i znakomitą satyrę na militarizm, a jest niesmiesznym, przewidywalnym gniotem. Piszę o niej ze swoistym zadziwieniem, że można tak popaść w ideologiczne zaślepienie i toporne schematy. Bo kto wywołuje wojny? Zdegenerowana arystokracja. Propaganda wojenna kłamie – przerażające siedmiostopowe jaszczury w rzeczywistości mierzą siedem cali i nie mają pojęcia, dlaczego ludzie wywołali z nimi wojnę.

A Bill to wymarzone mięso armatnie zdegenerowanych beneficjentów Systemu: umiśniony i niezbyt rozgarnięty byczek. Powieść ta w zamierzeniu ma być antywojenną propagandą. Jednak te prawdziwie niebezpieczne książki były napisane przynajmniej z talentem. Zresztą najbardziej pacyfistyczna ze znanych mi powieści, „Przygody wojaka Szwajka”, nie ma nic wspólnego z lewicową ideologią. Więc zdecydowanie: szkoda czasu i atlasu.

Warte „*Strażak*” Joe Hilla to postapokaliptyczny thriller o pandemii, w którym elementy nadprzyrodzone dawkowane są w sposób wyważony. Państwo upada, powstają szwadrony śmierci, rodzi się anarchia. Tematem książki jest ogień, dym, popiół. Ale też męstwo, lojalność, miłość, zaufanie, poświęcenie, rozsądek, dobroć, wola przetrwania. Może krzywdzę autora, ale czuję niepokój, kiedy pojawiają się stereotypowe wątki z lewicowego imaginariu: kobieta w patriarchalnej opresji, karykaturalne postaci męskich szowinistów czy utopijna wspólnota bez przemocy. Na szczęście istota talentu Hilla leży gdzie indziej. Dystans głównych bohaterów do siebie, zadziwiająco realistyczna, szlachetna naiwność ich motywacji, nieoczywistość psychologiczna postaci bez uproszczeń, które sprawiają, że przestajemy w nie wierzyć – Hill buduje powieściowy świat bardzo konsekwentnie. Nie daje nam pretekstów, by wyzwolić się z mocy przyciągania hipnotycznie zakręconej akcji. Mimo całego sztafażu jedyną zbawicielską mocą jest tu miłość. Wszystko zatem na miejscu. Przyjemnej lektury.

Robert Tekieli
Polskie Radio

Warte „*Mrok we krwi*”, „*Czempion Semaela*” i „*Sploty przeznaczenia*” Pawła Kopijera to „Trylogia Mitrys”, seria z cyklu „Kroniki Dwuświata”. Kłasykzna proza fantasy, którą czyta się zadziwiająco lekko, choć uniwersum, w którym toczy się akcja, jest wcale skomplikowane. Kopijer zdecydowaną kreską kreśli żyjące w nim rasy, konstruuje wyraziste postaci, prowadzi fabułę pewną ręką, pozwalając nam przy okazji poznać całe bogactwo międzyrasowych i dynastycznych konfliktów, historię trwającej od wieków wojny pomiędzy bóstwami, ale też konsekwencje zderzeń zwykłych ludzkich ambicji i namiętności. Młoda, zbyt bardzo utalentowana szamanka o niejasnym pochodzeniu i zabójca, członek jednej z zbrodniczych gildii dzielących między siebie władzę nad miejscowym podziemiem – to ich losy są osią akcji trylogii. A oni sami w przekonaniu, iż znajdują się w bezwzględny uścisku przeznaczenia, zmieniają losy świata swoimi odruchowymi decyzjami.

Bój Światłości z Mrokiem, panteon bóstw trochę jak z mitów greckich – pysznych i zadufanych w sobie, ograniczonych w swych egoistycznych dążeniach – takie jest tło ludzkich zmagania. A realny przeciwnik, Semael, mag Mroku, który stulecia wcześniej sprzedał duszę jednemu z podrzędnych bóstw Ciemności, gra o przejęcie władzy nad światem i nad swoim bóstwem prowadzącym, co może nie być niemożliwe.

Na szczęście autor ograniczył do kilku kartek wątek romansowy, bo to mogłoby się fatalnie skończyć. Na szczęście nie wchodzi zbyt głęboko w szczegóły, bo być może okazałoby się, że zamysł konstrukcyjny uniwersum popada zbyt



Wojciech Stanisławski

Strach i wściekłość w Machaczkale

To opis zetknięcia się i konfliktu dwóch absolutnie nieprzystawialnych światów: postsowieckiego, świeckiego, pełnego anomii i mechanicznie praktykowanych obyczajów, oraz radykalnie islamskiego

Jeśli komuś marzy się czasem literatura prawdziwie egzotyczna, opisująca nieznane wrażliwości i obszary – teraz ma szansę do takiej sięgnąć. Są specjaliści od powieści fińskich i islandzkich, oficyna Art Rage eksploruje prozę południowoamerykańską – ale kto spoza wąskiego grona filologów i badaczy Kaukazu zetknął się dotąd z literaturą Dagestanu?

A miałyby z czym. „Asia kartkowała [...] wiersze liryczne Magomed-beka z Giergiebilu, Mogomeda z Czirkeju, Kurban z Inchielo, Czanki z Batlaiczu i jego ucznia, romantyka Machmuda z Kachabroso”. W Polsce mało kto jednak czytał dotąd strony Mogomeda z Czirkeju, podobnie jak mało wiemy o napięciu między postsowiecką anomią a islamem w jego najbardziej radykalnej postaci na obszarach tak niedostępnych, zwłaszcza współcześnie, jak północnokaukaskie republiki autonomiczne.

„Góra wiecznej szczęśliwości” nie jest oczywiście pracą etnograficzną czy opracowaniem historycznym. Chociaż można ją czytać w tej logice; zawiera mnóstwo danych, do tego stopnia, że nie rzązą w niej nawet (choć z reguły takie ingerencje wydawcy wyprowadzają z równowagi) tłumaczenia

licznych zwrotów padających w tekście po kumycku, dargijsku, nawet arabsku (cała książka napisana została przez Alisę Ganijewą po rosyjsku). To po prostu świadectwo z jednej strony wieloetniczności tych ziem, z drugiej – pojawiania się na nich w błyskawicznym tempie leksyki i języków, jakim posługują się islamscy prozelici.

Ale powieść awarskiej dziennikarki i pisarki nie jest wiernym obrazem ani wydarzeń z okresu drugiej wojny czeczeńskiej, kiedy (w 1999 r.) wkroczenie na obszar republiki oddziałów Szamila Basajewa i emira Chattaba wytrąciło ją z równowagi, ani późniejszych lat. To raczej sumaryczny (choć zamierzenie chaotyczny) opis zetknięcia się i konfliktu dwóch absolutnie nieprzystawialnych światów. Świata postsowieckiego, świeckiego, pełnego anomii, na siłę wypełnianego najbardziej wulgarnym liberalizmem (tym spod znaku „ukradzenia pierwszego miliona”) i mechanicznie praktykowanymi obyczajami – oraz świata radykalnie islamskiego, opanowanego pragnieniem likwidacji niewiernych, a szczególnie stojących za nimi struktur władzy.

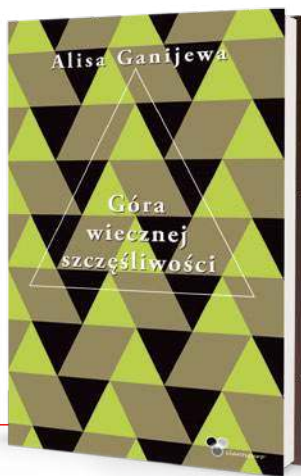
Taka ambicja stworzenia sumarycznego świata nie do końca się może autorce powiodła: wbrew przy-

wołanym już na skrzydełku książki opiniom, wychwalającym „metakomentarz do relacji między polityką a estetyką” oraz „postmodernistyczny styl, poprzez który autorka przyjmuje różne konwencje”, odbieram chaos panujący w tej książce jako nużący: Machaczkała, zajęta przez islamskich radykałów i stopniowo odcinana od świata, jest zbyt oniryczna na zapis konkretnych miesięcy i zbyt doraźna jak na wielką metaforę. Być może autorka chciała być jednocześnie Kafką i Kapuścińskim, pisząc to o murze, którym miała by się odciąć od Dagestanu Rosja, murze, który przypomina kafkowski zamek, to o ulicznych samosądach. Dramatyczna sytuacja z prologu nie znajduje w powieści ani wytłumaczenia, ani rozwiązania, podobnie jak sny i wizje bohaterów, po których kolejne strony pisane są z okrutnym realizmem. Jeśli miało być to sposobem na wyrażenie kafkofonii wzorów i wartości w dzisiejszym Dagestanie, to jest to pomysł trochę jak z seminarium z creative writing, i to dla młodszych roczników studenckich.

Sam jednak obraz państwa, w którym władzę przejęli zwolennicy Chattaba czy salafizmu, jest bardzo trafny i w niedalekiej perspektywie być może bliższy

nam, mieszkańcom ciągle postsowieckiego obszaru, niż doświadczenia (też nieprzyjemne) Paryża czy Kolonii. Te same procesy (być może na wolniejszą skalę niż w powieści) mają dziś miejsce w republikach północnokaukaskich, w miastach Syberii, ale i w Moskwie. A napięcie między dwoma możliwościami rozwoju republiki świetnie wyraża główny bohater – Szamil. To w skonstruowaniu jego postaci znać talenty pisarki: rzadko zdarza się bohater tak niesympatyczny, a tak kluczowy dla fabuły.

Szamila na pozór nic nie różni od młodych byczków, od których zaroilo się kilkanaście lat temu (powieść w oryginale pochodzi z 2012 r.) w Warszawie



Alisa Ganiyewa, „Góra wiecznej szczęśliwości”,
tłum. Grzegorz Szymczak, Clarscuro, 2023

i Sofii, Bratysławie i pewnie we Lwowie. Wyjść z kolegami, zatankować samochód, znaleźć jakąś fuchę, poderwać przygodnie spotkanie dziewczyny – to jego pomysł na życie. I nagle w ten stabilny świat szakala wkraczają oddziały partyzanckie Chattaba – i Szamil, wychowany poza islamem, musi go przyjąć, bądź z przekonania, bądź jako rodzaj mimikry.

Nie jest to proza tak doskonała literacko, jak (wydawane przez Clarscuro w podobnej szacie graficznej) powieści Siergieja Lebediewa. Ale daje, przez pryzmat powieści, równie głębokie spojrzenie w sprawę Rosji i – być może – przyczyny jej nadchodzącej zapaści.

Siderodromofilia

No dobrze, ale ile można o tych kolejach? O dyżurnych ruchach stojących na peronie „w Kostomlatkach w Czechach, w Bad Ischl w Austrii, w Humennem na Słowacji, w Novej Goricy w Słowenii, w Villi Opicinie ponad miastem Triest we Włoszech, w Sátoraljaújhely na Węgrzech, Rijece w Chorwacji, we Lwowie na Ukrainie czy w Łupkowie, na zapomnianej polskiej stacji w Karpatach”? Gdyby jeszcze drukowano rozkłady – przecież można by bez trudu wyczytać możliwe połączenia z Przemyśla do Bolonii?

Tyle że rozkładów już się niemal nie drukuje, wyparły je wyszukiwarki, które stępią naszą wyobraźnię przestrzenną i zmyśl geograficzny niemal równie doskonale, co aplikacje nawigacyjne dla kierowców. Ale zgoda, „Stacja Europa Centralna” traktuje niemal monotematycznie o pociągach: pierwszych składach, imionach nadawanych lokomotywowi, narodowych specjalach podawanych w wagonach restauracyjnych, wąskotorówkach i TGV, odmianach hamulców, najdłuższych, najwęższych i najosobliwszych trasach kolejowych w Europie.

Z tą różnicą, że nie jest to, na szczęście, mimosolidnej dawki faktów, opracowanie fachowe czy bodaj zbiór ciekawostek: to

przybierający postać czasem reportażu, czasem dziennika podróży, a najczęściej – gawędy zapis zachwyty, w którym jest miejsce na opis światła (nocnych i marnowych), peronowych pijaczków, odmian nostalgii, od fińskiej do sycylijskiej, wyznań, niespełnień i kolejowych perfum – „mieszanki spalonego węgla kamiennego, smaru i pary wodnej”, jak pisze Jaroslav Rudiš, chociaż nie rozumiem, jak mógł pominąć nutę rdzewiejącego pyłu startego z hamujących kół i krezotu ze starych podkładów.

„Stacja Europa Centralna” miała być w zamysle rodzajem komentarza do „Ostatniej podróży Winterberga”, świetnej powieści wydanej w Polsce przed dwoma laty. Ale uwielbienie dla pociągów (jak fantastycznie brzmi określanie go czeski termin „siderodromofilia”, utworzony na podkładzie z języków klasycznych!) przepełniło Jaroslava Rudiša bez reszty – stąd ta książka.

Dla tych, którzy (jak tu podpisany) je dzielają, będzie ona wciągająca od pierwszej do ostatniej strony. Ale nie tylko dla nich. Oczywiście zagadnienia techniczne, kultura kolejowa, socjologia kolei czy wręcz kolejowa geopolityka mogą nie być dla wszystkich tak samo fascynujące. Ale „Stacja Europa Centralna” oferuje nam coś więcej.



DO KUPNIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Jaroslav Rudiš, „Stacja Europa Centralna”,
tłum. Małgorzata Gralińska, Książkowe Klimaty, 2023

Oczywiście, ta proza ma swoje korzenie: sam Rudiš nieraz odwołuje się do klasyki literatury kolejowej, od Agaty Christie po Danilo Kiša (czy polski wydawca podsunie mu wreszcie „Lalkę”?!), a znajomy warszawski intelektualista, z upodobaniem drapujący się w pelerynę mizantropii i melancholii, dostrzega w niej nawiązania do Thomasa Bernharda. Zgoda. Mnie jednak „Stacja Europa Centralna” – podszyta głębokim, nie nazwanym smutkiem, a jednocześnie pełną wdzięczności za urodę okrucichów życia, podnosząca na duchu, niemal terapeutycznie, w najgorszy nawet dzień – nieodparcie rymuje się z innym małym arcydziełem, które trafiło do nas z Czech: ze „Śmiercią pięknych saren” Oty Pavla.



Kulturalna uczta na 30-lecie Kasy Stefczyka

Wypełniona po brzegi katedra w Pelplinie, wielkie gwiazdy muzyki symfonicznej i niepowtarzalne wizualizacje. Tak uroczystie świętowano 30. rocznicę powstania Kasy Stefczyka

Koncert symfoniczny „Lustra – Wyspiański, Stefczyk, Herbert” był jednocześnie zwieńczeniem XXV Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Organowej w Pelplinie. Wcześniej ten sam koncert zagrano w częstochowskiej Filharmonii im. Bronisława Hubermana.

To była prawdziwa gratka dla fanów muzyki i sztuki. Tłumnie zgromadzeni widzowie mogli się przekonać, jak brzmi połączenie orkiestry symfonicznej, solistów i elementów rockowych. Niesamowite wydarzenie miało miejsce 30 sierpnia w katedrze w Pelplinie. Widowisko odbyło się w jednym z największych w Polsce obiektów sakralnych wybudowanych z cegły, a jego najważniejszą częścią był występ wymienionych muzycznych gości.

Wśród nich: Marek Piekarczyk – lider zespołu TSA, Anita Rywalska-Sosnowska – sopranistka, Jacek Królik – wirtuoz gitary oraz Paweł Szewczyk na instrumentach perkusyjnych i Paweł Gruba na najdłuższej w Europie bazunie (tradycyjny kaszubski instrument ludowy).

MUZYCZNA MIESZANKA STYLÓW

Połączenie stylów muzycznych pod batutą Gedymina Grubby pozwoliło wyzwolić emocje zawarte w dziełach Wyspiańskiego, Herberta i Stefczyka.

Inspiracją do powstania tego niezwykłego koncertu było życie dwóch patriotów, którzy na przełomie XIX i XX w. mieszkali i działali w Krakowie: Stanisława Wyspiańskiego i Franciszka Stefczyka. Obaj, choć tak różni w swojej działalności, kierowali się podobnymi zasadami, zawsze stawiając ojczyznę na pierwszym miejscu. Do powstania utworu symfonicznego „Lustra” jego twórcę Gedymina Grubbę i odpowiedzialnego za dobór tekstów Mariusza Wielebskiego zainspirowała jeszcze postać innego ideowego spadkobiercy wspomnianych dwóch wielkich Polaków – Zbigniewa Herberta.

W „Lustrach” znalazły się treści dzieł stworzonych przez tych trzech wybitnych Polaków. Muzyka stała się odwołaniem do ważnej idei wspólnoty i jedności narodowej. Wspomniła o tym prezes Kasy Stefczyka Joanna Mędrzecka: – Ten niesamowity koncert poświęcony jest ludziom tworzącym wspólnotę, i tym, co bardzo mocno można było usłyszeć w warstwie tekstowej tego spektaklu

oraz głosach artystów, dźwiękach instrumentów, jest to, że tym motywem przewodnim jest zmartwienie o dobro wspólne. Tym, co łączy pisma Franciszka Stefczyka, dramaty Wyspiańskiego, poezję Herberta jest właśnie to pragnienie, żeby ludzie więcej martwili się o to, co wspólne, wcale nie tracąc przy tym swojej wolności.

Elementem charakterystycznym utworu jest wybuchowa mieszanka stylów, co, jak podkreśla kompozytor dzieła, jest zbliżne z bardzo różnymi metodami pracy Wyspiańskiego, Stefczyka i Herberta.

– W tak nietypowej mieszance pracuje się wspaniale, ale też bardzo emocjonalnie. Wiązało się to z wielkimi wzruszeniami ze względu na to, że utwór ten zawierał wspaniałe teksty czy to z „Wesela”, czy z twórczości Herberta. Poruszał kwestie uniwersalne, mówiące o tym, czym kierować się w życiu i jak ważna jest wierność ideałom – zaznacza Anita Rywalska-Sosnowska.

– Połączenie orkiestry symfonicznej z dźwiękami elektrycznej gitary z jednej strony, retrospekcja do starych szlagerów, ale przede wszystkim do protest songów, do ważnych pieśni dla czasów Solidarności z możliwością współistnienia z „Weselem” Wyspiańskiego, z przesłaniem Herberta to dla mnie rzeczywiście duże wyzwanie, ale i duża forma spełnienia – dodaje Jacek Królik.

URODZINY KASY STEFCZYKA

Koncert był celebracją jubileuszu Kasy Stefczyka. – Nowy utwór zaprezentowany został w Częstochowie – miejscu bliskim sercom Polaków, a następnie w Pelplinie jako zwieńczenie XXV Festiwalu Organowego. Dwa pokazy premierowe są oczywiście ukłonem w stronę naszych członków, których Kasa ma przecież w całej Polsce. Chcemy, aby zobaczyło go jak najwięcej widzów – mówi Andrzej Sosnowski, członek zarządu i wieloletni prezes Kasy.

Uzupełnieniem uczty dla ucha była wyjątkowa uczta dla oka, czyli wspaniała oprawa wizualna koncertu. Pojawiły się w niej animacje nawiązujące do witraży autorstwa Wyspiańskiego.

Sponsorem wydarzenia jest marka SALTUS Ubezpieczenia. 
(red)

„American Beauty” - rodzina jako więzienie

Coraz częściej wybieram starsze filmy, a nie nowości, które skądinąd także staram się śledzić. Czy tamte były lepsze? A może szukam w dawniejszych dziełach własnych doświadczeń? To na nich przecież uczyłem się życia. W każdym razie na kanale Paramount natrafiłem na film Sama Mendesa „American Beauty”. W latach 1999–2000 (premiera amerykańska w 1999 r., polska – w 2000 r.) było to jedno z ważniejszych filmowych wydarzeń. Pamiętam, jak także w Polsce każdy facet w średnim wieku szukał w Lesterze Burnhamie, zagranym przez Kevina Spaceya, samego siebie.

To film o kryzysie wieku średniego, ale i o buncie wieku średniego. Ojciec rodziny zostaje zdegradowany, bo traci pracę w magazynie reklamowym i jednocześnie sprzeciwia się swojej marginalizacji, lekceważeniu przez żonę i córkę. Szuka ratunku w ćwiczeniach fizycznych, paleniu trawki i zauroczeniu seksowną koleżanką córki z liceum (w tej roli Mena Suvari). Wszystko pośród realiów podważanej i wyśmiewanej po wiele razy kultury afirmującej sukces i traktującej rzecz jako jego atrybut. Kultury mieszczańskiej w specyficznej amerykańskiej wersji.

Widziałem naturalnie schematyzmy tego obrazu. Choćby w postaci sąsiada, pułkownika i homofoba, ze straszną tajemnicą (gra go Chris Cooper). Na takich bohaterów amerykańskie kino wskakiwało jak na pochyle drzewo setki razy. Także mroczności młodych: córki Lestera (Thora Birch) i zainteresowanego nią syna sąsiada, dealera narkotykowego i szkolnego freaka (Wes Bentley) wydały mi się przewidywalne. Choć oboje aktorzy zagrali to pięknie.

Kiedy oglądałem dziś, doceniłem bardziej. Nie tylko odrobinę niepoprawny politycznie, może nie z perspektywy 1999 r., ale dzisiejszej, motyw buntu mężczyzny. Wszak popkultura coraz bardziej odbiera im to prawo. Oni mogą być przedmiotem buntu kobiet, podmiotem już raczej nie.

Ale jest tu coś jeszcze. Niektóre konflikty nakreślone w filmie nie mają złego i dobrego antagonisty. Tak jak dramat wzajemnego

niezrozumienia Lestera i jego córki. Oboje są w jakimś sensie nieszczęśliwi. Ich raczej są trudne do pogodzenia, ale mamy tu dramat dobrych intencji i odruchów obu stron. Nawet neurotyczna, głodna sukcesu i niepokorna siebie pod maską arogancji żona Lestera (Annette Bening) nie jest z natury zła. Można próbować ją zrozumieć. Właściwie wszyscy, może poza funkcjonariuszami korporacyjnego systemu, są nieszczęśliwi i jakoś tam godni współczucia. Chyba także upiorny sąsiad-pułkownik.

Sztuką jest nakręcić coś takiego i ani nie zanedbano skomplikować, ani nie znudzić. Jest to kino w swoim wymiarze efektowne, popularne. Czy takie filmy powstają i dziś? Tak, a jednak odczuwam tęsknotę do tych dawniejszych. Zresztą dziś zagrożeniem dla kina jest toporna publicystyka.

Zarazem zbieg okoliczności. Chyba dzień przed „American Beauty” natrafiłem na jednym z kanałów na „Noce i dnie”, polskie arcydzieło Jerzego Antczaka. Adaptacja powieści Marii Dąbrowskiej dzieje się na przełomie XIX i XX w. I niby jest o tym samym: o niedopasowaniu w małżeństwie, o głodzie uczucia.

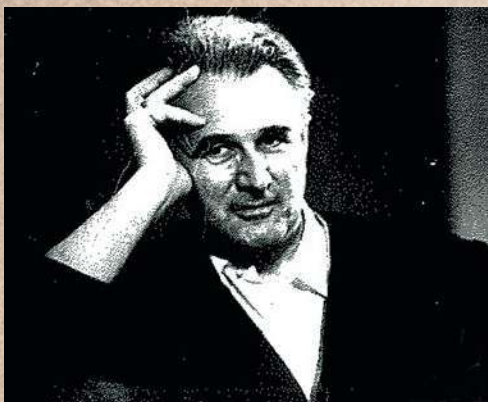
A zarazem jest tak kompletnie różna, nie tylko z powodu innego kraju i odmiennych obyczajowych rytuałów. To jest świat, gdzie



małżeństwa w zasadzie trwają od początku do końca: dla dzieci, dla moralności, ale i dlatego, że ludzie znacznie łatwiej godzą się z wyrokami swojego losu. Czy to lepiej, czy gorzej? W „American Beauty” wszystko może się rozpaść jak domek z kart. Przede wszystkim rodzina, traktowana coraz bardziej jak więzienie.

Przy okazji: kanał Paramount ma upiorny zwyczaj nieemitowania tyłówki filmu. Wraz z muzyką i z obsadą jest to przecież ważna część dzieła. Kto wreszcie w Paramount to pojmie?

Piotr Zaremba



Architekt, urbanista, eseista. Mój przyjaciel

Tym razem pragnę przypomnieć całkiem zapomnianego wybitnego architekta (profesora zwyczajnego architektury, mającego także specjalny tytuł tzw. architekta twórcy), urbanistę i niezwyklego eseistę, którego dzieła trwają i będą długo trwać w Krakowie, Gdyni, Poznaniu, Warszawie i w wielu innych miejscach w Polsce. Mowa o prof. Bolesławie Szmidcie (1908–1995), którego mam zaszczyt uważać za swojego przyjaciela i mentora



JERZY BIERNACKI

Odkrył on przede mną nowy świat bogactwa form i układów przestrzennych oraz ukazał walory oryginalnego języka, którym tylko on potrafił mówić oraz pisać o architekturze i przestrzeni urbanistycznej. A jego książka pt. „Ład przestrzeni” – oprócz 110 prac naukowych poświęconych architekturze, a szczególnie budownictwu przemysłowemu (które uważał za największą przestrzeń wolności projektanta) – jest i pozostanie wyznacznikiem porządku we wszelkich grach form przestrzennych.

Prof. Szmidt był zarazem człowiekiem łączącym w sobie nie tak zawsze współistniejące cechy: wybitny talent z wielką dobrocią i łagodnością charakteru. A przy tym – jak nazywamy to w naszym domu – był człowiekiem prawdziwym, nie noszącym żadnych masek i oczywiście tchnącym prawdą na każdym kroku, czyli zgodnym z ewangeliczną zasadą:

„Niech wasza mowa będzie: tak, tak; nie, nie. Wszystko, a co nadto jest – od Złego pochodzi” (Mt 5, 33–37).

Był przy tym zawsze otwarty na innych, co szczególnie uwidoczniło się w jego pracy dydaktycznej, kiedy angażował się w działania i postawy swoich studentów lub doktorantów – również w sensie emocjonalnym – i niezwykle radował się, gdy trafiał na osoby o nieprzeciętnych zdolnościach i ukształtowanej osobowości. Chciał, by ich talenty i poglądy ujawniać, w jakiś sposób słać, popularyzować. Dlatego np. skontaktował mnie ze zdolną doktorantką, młodą artystką w dziedzinie architektury (według jego oceny), a także żeglarką z zamiłowania, i skłonił mnie, bym napisał o niej artykuł, a potem głośno i z przejęciem ubolewał, gdy ta młoda osoba niespodziewanie przedwcześnie zmarła.

Miał w sobie (a mężczyzną był bardzo przystojnym i dostatecznie męskim) pewien rykoszecieści, pewną miękkość charakteru w kontaktach z innymi, a jednocześnie był nieustępliwy w swoich wymaganiach dydaktycznych oraz artystycznych i naturalnie w zasadniczych kwestiach etycznych.

Rozmowy z profesorem – a miałem szczęście uczestniczyć w wielu – były

prawdziwą uczcią intelektualną. Zanim napisał „Ład przestrzeni”, opowiadał mi o tej książce kilkakrotnie, odkrywając przede mną nieznanne rzeczy i ów jedyny w swoim rodzaju język, w którym się mówiło o „choreografii miasta”, o „nobilitacji przestrzeni”, o jej wielości i różnorodności, o ładzie naturalnym, umownym, pragmatycznym i konstruktywnym, o „mieście linearnym i innych próbach kompensacji urbanistycznej”, o „anatomii wieżowców”, o „scenerii ruchu”, o „kulcie miejsca”, o „wielkiej kompozycji”, w której fasady budynków miały „śpiewać” (Poincaré).

Czuje się poniekąd ojcem tej pięknej książki, gdyż najpierw (nie przesadzam) popędzałem autora, gdy ją pisał, a potem skontaktowałem go z redaktorem Magdaleną Bajer, ówczesną szefową PIW-owskiej serii BMW (Biblioteki Myśli Współczesnej), w której została wydana w 1981 r. Wznowiła ją agencja wydawnicza Kanon trzy lata po śmierci autora, w 1998 r.

Rozmawialiśmy też o innych zamiarach pisarskich profesora, m.in. o książce o Stanisławie Wyspiańskim, ale niestety tego zamierzenia nie udało mu się urzeczywistnić. Wielka szkoda, że nie powstała, gdyż do jej napisania był predestynowany jak nikt inny.

Przez parę lat blisko współpracowałem z profesorem, m.in. zrobiliśmy obszerny wywiad, który ukazał się we wrocławskim miesięczniku „Odra”, zaciągnąłem go także do Polskiego Radia, do audycji pt. „Moje fascynacje literackie”, w której przez krótki czas brałem udział. Pamiętam, jak opowiadał o swoim dzieciństwie w Petersburgu, w którym się urodził, jak biegał do portu, by oglądać cumujące tam statki. Ich bogata architektura być może tak go zafascynowała, że – jak sam przypuszczał – w przyszłości wybrał tę właśnie profesję.

SZKOŁA W LIVERPOOLU

Jednym z dzieł życia prof. Szmidta było założenie i pełnienie funkcji dyrektora Polskiej Szkoły Architektury przy Uniwersytecie w Liverpoolu. W 1939 r. Bolesław Szmidt wziął udział w obronie Warszawy, a po jej kapitulacji znalazł się jak wielu polskich żołnierzy w Rumunii, gdzie został internowany. Udało mu się stamtąd wydostać i przedrzeć się do Francji, a po jej klęsce w 1940 r. dotarł do Lizbony, ciężko chory na malarię. Mimo to dostał się na okręt wiozący wielu Polaków do Anglii.

Polish School of Architecture jako wydział Uniwersytetu w Liverpoolu powstała z inicjatywy profesora, staraniem premiera Władysława Sikorskiego, z którym współpracował. Pierwszy rok akademicki rozpoczęto uroczystie 5 listopada 1942 r. (istniała do 1947 r.). Idea główną było wykształcenie polskich architektów i urbanistów, którzy w przyszłości mieliby odbudowywać kraj ze zniszczeń wojennych.

„POLSKA” ZADZIWIŁA ŚWIAT

Kiedy poznałem profesora, pracowałem w redakcji miesięcznika „Polska”, ukazującego się w kraju i za granicą w sześciu językach: polskim, angielskim, francuskim, niemieckim, hiszpańskim i szwedzkim, w nakładzie dochodzącym do 100 tys. egzemplarzy.

Tutaj muszę stworzyć pewien wątek dygresyjny. Otóż komuniści utworzyli to pismo w 1954 r. z myślą o legitymizowaniu w ten sposób swojej władzy w oczach Zachodu.

Kiedy jednak redaktorem naczelnym został Jerzy Piórkowski, wkrótce podniósł poziom merytoryczny i intelektualny czasopisma tak wysoko (a dzięki wybitnemu grafikowi Lechowi Zahorskiemu zadbano też o estetykę edytorską), że okazało się, iż studenci amerykańscy – jak nam donoszono – na swoich kampusach zdobili ściany pokoiów całymi stronicami ilustrowanymi „Polski” i woleli je od będącego u szczytu powodzenia amerykańskiego tygodnika „Life”. Była w tym również wielka zasługa drukarzy nieistniejących już Zakładów Wkłślodrukowych przy ul. Okopowej w Warszawie, którzy kochali to pismo i z niezwykłą precyzją czuwali nad wytrawianiem fotografii, by efekt końcowy był optymalny.

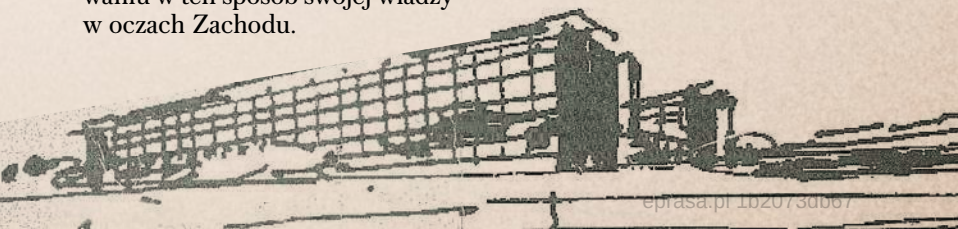
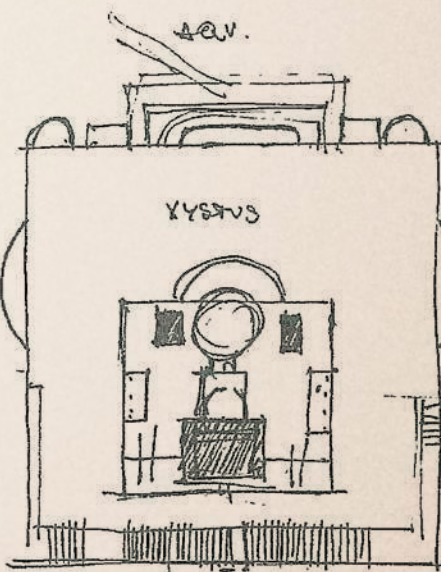
W miesięczniku „Polska” teksty publikowali tacy autorzy, jak Jan Strzelecki, Stefan Kisielewski, Krzysztof Teodor Toeplitz, Zygmunt Kałużyński, profesorowie wyższych uczelni i PAN: Jan Szczepański, Tadeusz Kotarbiński (zdeklarowany ateista, pisał np. o moralności w Biblii), a także Władysław

Tatarkiewicz, Władysław Stróżewski, Aleksander Gieysztor, o. Mieczysław Albert Maria Krąpiec, dominikanin, twórca wspólnie z Karolem Wojtyłą lubelskiej szkoły filozofii realnej, i inni. W comiesięcznej rubryce „Niepokoje i nadzieje naszego czasu” wypowiadali się reprezentanci wielu zagranicznych uczelni, różnych środowisk intelektualnych z całego świata, katolickich nie wyłączając, dzięki czemu pismo stało się miejscem światowej dyskusji o zagrożeniach i przyszłości cywilizacji Europy i świata Zachodu, a wizja Polski Jerzego Piórkowskiego była obrazem kraju twórczego, gdzie dynamicznie funkcjonują i rozwijają się nauka, sztuka, teatr, kino (polska szkoła filmowa), sztuki piękne (szkoła polskiego plakatu, eksploatowana i nieustająco pokazywana w piśmie).

Nic dziwnego, że ubecy z ambasady polskiej w USA podobno ze złością topili egzemplarze gazety w Potomaku, zamiast kolportować je wśród przyjaznych Polsce czytelników. Postanowiono uderzyć w pismo. Dobrym pretekstem okazała się okładka Jana Młodożeńca z polskim Orłem zrywającym się do lotu z oków, wokół których widniały trzy daty powstań polskich (1830, 1863, 1944 r.), co ówczesny ambasador ZSRS w Polsce, nie bez pomocy PRL-owskich donosicieli, zinterpretował jako akt wrogi wobec Związku Sowieckiego i zażądał zwolnienia redaktora naczelnego. Pismo przetrwało jeszcze jakiś czas w niezmienionej formie, lecz wydawca sukcesywnie ograniczał jego nakład, ponadto zażądał zmiany formatu na A4. Zabrakło też ostrego pióra i myśli organizacyjnej naczelnego, którego zamknięto w areszcie domowym na dwa lata i zabroniono mu kontaktu z redakcją. Ale to udawało nam się z początku dyskretnie omijać, gdyż bez kontaktu z nim nie mogłyby się ukazać kolejne numery pisma.

ANGLIK NAD WISŁĄ

Wracając do tematu. Dzięki moim kontaktom redakcja zaprosiła prof. Bolesława Szmidta do współpracy. Napisał on kilka niezwykle wartościowych artykułów, m.in. o architekturze przemysłowej wraz z prezentacją osiągnięć środowiska wrocławskiego w tej dziedzinie (Bolesław Szmidt od 1953 r. do emerytury pracował jako wykładowca





Zespół autorski w czasie narady nad projektem cementowni dla Dolnego Śląska, opartej na tzw. suchej metodzie produkcji. Od lewej mgr Ryszard Włosowicz, mgr Adam Sławiński, prof. Bolesław Szmidt, dr Zygmunt Wręczycki i doc. Stanisław Solowij

i dydaktyk na Wydziale Architektury Politechniki Wrocławskiej, pełniąc wiele kierowniczych funkcji), czy stworzył materiał, można rzec, programowy pt. „Architektura wielkiej przygody”. A co najważniejsze – w 1972 r. zorganizował z udziałem naszej redakcji wymianę studencką między Politechniką Wrocławską a Uniwersytetem w Liverpoolu. Woziliśmy psującą się nyską dziesiątkę studentów po całej południowej Polsce, dzięki czemu obejrzeliby oni wiele zabytków, zamków i pałaców, zapoznawali się z polską architekturą i urbanistyką współczesną, zachwycili się Krakowem. Wymianę zakończyliśmy spotkaniem z architekturą podhalańską i góralską kapelą Obrochtów w Zakopanem, a następnie kilkudniowym pobytem w Warszawie.

Pokłosiem tej wycieczki były interesujące wypowiedzi studentów opublikowane w piśmie „Polska”, a także nieco później m.in. doktorat jednego z angielskich asystentów na temat: „Toruń jako miasto ogród” – napisał o tym interesujący artykuł dla pisma „Polska”.

NAGRODY, REALIZACJE, PROJEKTY

A teraz krótki przegląd najważniejszych osiągnięć profesora jako architekta, który zdobył ok. 40 wyróżnień w konkursach, w tym 10 pierwszych nagród. Przed wojną według jego projektów (zajął pierwsze miejsce w konkursach) zbudowano elewator zbożowy w Gdyni

(1936) i wielki gmach Muzeum Narodowego w Krakowie. Było to już w 1939 r., a gmach wykończono dopiero w 1945 r. Zabrakło jedynie – jak z żalem wspominał profesor – zawartego w projekcie artystycznego wykończenia elewacji, która wobec tego... „nie śpiewa”. W realizacji projektu brało udział jeszcze dwóch innych architektów.

Do jego przedwojennych osiągnięć – we współpracy z Józefem Vogtmanem – należą także gmachy KKO i PKO w Warszawie (1938) oraz budowa obiektów Polskiego Radia w Raszynie, a także Szpital Pediatriczny im. Władysława Sikorskiego. Poza tym projekty konkursowe nagrodzone lub wyróżnione (lecz nie wszystkie zrealizowane), m.in. gmach Kierownictwa Marynarki Wojennej, zabudowa ul. Bonifraterskiej w Warszawie, koncepcja nadbudowy Wieży Grodzkiej Zamku Królewskiego, projekt Teatru Żołnierza we Lwowie, Urzędu Celnego i Sądu w Gdyni, Muzeum Ziemi Pomorskiej w Toruniu.

Po wojnie intensywnie pracował w stolicy, projektując i nadzorując odbudowę i przebudowę wielu obiektów. Zaprojektował i zbudował dla Instytutu Techniki Budowlanej w Warszawie hale badań i laboratoria (1949). W latach 1949–1953 był naczelnym architektem Międzynarodowych Targów Poznańskich, jego dzieło to m.in. pawilon centralny z pamiętną iglicą. Rozbudowywał obiekty targowe do 1955 r., a potem, bardziej dorywczo, projektował i nadzoro-

wał wznoszone obiekty jeszcze w latach 1963–1970.

Wiele prac wykonał dla archikatedry warszawskiej, m.in. kaplicę prymasa Stefana Wyszyńskiego (o czym mało kto wie i wspomina), kaplicę Zasłużonych Polaków, sarkofagi: Prymasa Tysiąclecia, premiera Ignacego Jana Paderewskiego i prezydenta RP Ignacego Mościckiego. Ponadto dokonał modernizacji i rozbudowy krypt w podziemiach katedry.

Oprócz tego powstało jeszcze wiele projektów wyróżnionych bądź nagrodzonych, które nie zostały zrealizowane, m.in. projekt gmachu Sądu Najwyższego, bez wątpienia lepiej zharmonizowany z sąsiedzką zabudową, a zwłaszcza ze stojącym naprzeciw pałacem Krasińskich niż zrealizowana ekscentryczna budowla projektu Marka Budzyńskiego, dziwnie obca polskiej architekturze i swojemu otoczeniu.

Od 1975 r. profesor był członkiem prymasowskiego komitetu budowy kościołów, których sam zaprojektował w całym życiu bardzo wiele, podobnie jak prywatnych wili, domów, a także placów (np. pl. Piłsudskiego, wówczas jeszcze Zwycięstwa, w konkursie na jego urbanistyczne opracowanie otrzymał III nagrodę). Na pewno byłby bardzo szczęśliwy, gdyby wiedział, że pałac Saski i pamiętna kolumnada będą odbudowane i zostanie przywrócona do życia tzw. oś saska, o której pięknie pisał w swoich kilku pracach o Trakcie Królewskim w Warszawie.

Polacy pamiętają i chcą pamiętać
**o Powstaniu
Styczniowym**

*Obchody 160. rocznicy Powstania Styczniowego, największego polskiego
zrywu powstańczego, będą trwały do końca 2024 r.*



PARTNERZY
DODATKU



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



MUZEUM
HISTORII
POLSKI



„Ogólnopolski program obchodów rocznicy Powstania Styczniowego 2022–2025”.
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Inaugurujący obchody
160. rocznicy Powstania
Styczniowego koncert
„1863. Ku wolności” w Teatrze
Narodowym w Warszawie



Fot. MHP/Maciej Ciach

Powstanie Styczniowe to jedno z najważniejszych wydarzeń w historii Polski w XIX w. Była to spektakularna próba wywalczenia wolności, w której wzięły udział wszystkie warstwy społeczne. Trójdzielny herb powstańczy, gdzie obok polskiego Orła znajdowała się litewska Pogoń i ruski Archanioł, stanowił tak nawiązanie do idei dawnej Rzeczypospolitej, jak i próbę zbudowania państwa z uwzględnieniem interesów zarówno Polaków, jak Litwinów i Rusinów oraz oparcie się na hasła „Równość–Wolność–Niepodległość”.

Ichoć walki – ponad 1200 bitew i potyczek – toczyły się na terenie zaboru rosyjskiego, to wysiłek insurekcyjny był mierzony zaangażowaniem Polaków

zamieszkujących również dwa pozostałe zaborcy. Insurekcja zakończyła się klęską. Ze względu na jej rozmiar, zasięg i konsekwencje, wydarzenie to stało się jednak nie tylko przedmiotem historycznej debaty, ale także ważnym punktem odniesienia dla późniejszych pokoleń, które po Wielkiej Wojnie odzyskały niepodległość. Wielokrotnie dał temu wyraz Józef Piłsudski, wielki admirał i historyk powstania. W odezwie z 21 stycznia

1919 r. skierowanej do żołnierzy pisał: „Dla nas, żołnierzy wolnej Polski, powstańcy 1863 r. są i pozostaną ostatnimi żołnierzami Polski walczącej o swą swobodę, pozostaną wzorem wielu cnót żołnierskich, które naśladować będziemy”.

Wydarzenie sprzed 160 lat z powodu upływu czasu w naturalny sposób zostało

usunięte z narodowej świadomości przez wydarzenia bliższe współczesnym Polakom. Tegoroczna rocznica daje szansę na przypomnienie nie tylko zrywu i jego okoliczności, ale też bohaterów, tych ikonicznych i tych mniej znanych. Korzystamy więc z okazji, by przywołać pamięć o wielkiej insurekcji, jej hasłach i uczestnikach. Temu służy program obchodów, który ma na celu zachęcanie do aktywności w sferze wydarzeń kulturalnych, obejmujących swym zasięgiem cały kraj.

Pamięć o powstaniu jest najsilniejsza tam, gdzie ze szczególną intensywnością toczyły się walki zbrojne i działały struktury tajnego państwa polskiego. Widoczne jest to na poziomie gminnym i powiatowym na Lubelszczyźnie, Podlasiu, Świętokrzyskiem czy Mazowszu. Obchody z udziałem prezydentów Polski i Litwy, przedstawicieli Ukrainy oraz demokratycznego ruchu białoruskiego, rozpoczęto jednak w Warszawie od rocznicowych uroczystości państwowych pod Bramą Straceń na warszawskiej Cytadeli. Miejsce to nie jest przypadkowe, ponieważ to tu byli więzieni



Sztandar z Powstania Styczniowego z herbem trójdzielnym. Muzeum Narodowe w Krakowie



Rekonstruktorzy podczas Nocy Muzeów na dziedzińcu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Warszawie

polscy patrioci, których część poniosła męczeńską śmierć.

Kolejnym elementem było widowisko muzyczne, które odbyło się 22 stycznia w Teatrze Narodowym w Warszawie. Nowoczesne aranżacje dawnych utworów w wykonaniu znakomitych artystów pozwoliły im nadać nowe, współczesne oblicze.

Szczególnie głośnym echem odbiły się wystawy poświęcone zrywowi 1863–1864. W listopadzie 2022 r. w krakowskich Sukiennicach Muzeum Narodowe w Krakowie zorganizowało wystawę „Powstanie Styczniowe. W 160. rocznicę zrywu”. Dużym wydarzeniem była także wystawa „Miłość i obowiązek. Powstanie Styczniowe 1863” otwarta na Zamku Królewskim w Warszawie. Prezentowano na niej nie tylko najważniejsze wydarzenia, ale także szczególne pamiątki po przywódcach insurekcji odnalezione w miejscu ich pochówku na wileńskiej Górze Zamkowej. Wystawy przygotowały także Żydowski Instytut Historyczny, przybliżając rolę Polaków żydowskiego pochodzenia w powstaniu, czy Narodowe Centrum Kultury, pokazując także mniej znane dzieła o styczniowej insurekcji.

Jednak większość wydarzeń nie odbywała się i nie odbywa w wielkich miastach, ale w małych lub bardzo małych miejscowościach. Wynika to zarówno z lokalnego charakteru walk powstańczych, jak i szczególnej pamięci o tych wydarzeniach wśród lokalnych społeczności. By wspomóc te oddolne działania, biuro „Niepodległa” ogłosiło specjalny program grantowy,

Warsztaty edukacyjne towarzyszące wystawie „Powstali 1863–64”



Fot. MHP/Maciej Ciach

w którym łączna kwota dofinansowania wyniosła 4,5 mln zł. W konkursie wyłoniono 130 podmiotów samorządowych i instytucji kultury, które realizują projekty związane z obchodami rocznicy Powstania Styczniowego. Finansowane są wystawy muzealne i plenerowe, akcje edukacyjne, gry terenowe, warsztaty komiksów czy rekonstrukcje historyczne. Te ostatnie, odtwarzające zarówno bitewne starcia, jak i realia życia obozowego, cieszą się dużym uznaniem i zainteresowaniem odbiorców. Ponieważ obchody rocznicy powstania mają trwać dwa lata (2023–2024), zostanie ogłoszona druga edycja tego specjalnego programu dotacyjnego.



Fot. MHP/Gabriela Sierocińska-Dec



Wystawa „Twarze Powstania Styczniowego”

Istotnym elementem przypominania o wydarzeniach sprzed 160 lat jest również rekonstrukcja historyczna. Elementy historii ożywionej, zakładające interakcje z odbiorcą, powodują że przedstawiane wydarzenia zostaną lepiej zapamiętane. Pojawianie się rekonstruktorów w miejscach historycznie związanych z wydarzeniami z Powstania Styczniowego nadaje im zaś szczególnego wydźwięku. Warto jednak dodać, że działalność społeczności lokalnych nie polega wyłącznie na inicjatywach rekonstrukcyjnych i tych dotowanych w ramach programu grantowego. W całym kraju organizowane są pikniki, koncerty, pokazy, konferencje czy uroczystości patriotyczne i religijne upamiętniające bohaterów styczniowej insurekcji.

Specjalną rolę w obchodach odgrywa Muzeum Historii Polski, koordynujące wydarzenia kulturalne w całym kraju. W ramach obchodów przygotowało ono trzy wystawy.

Największa z nich, „Powstali 1863–64”, jest dwujęzyczną, polsko-angielską, wystawą mobilną i multimedialną. W pawilonach przedstawiono najważniejsze epizody związane z insurekcją, począwszy od przedstyczniowych manifestacji przez przebieg walk, udział w nich wybranych postaci oraz różnych grup społecznych po doniesienia światowej prasy o wydarzeniach,

Kadr z filmu dostępnego na wystawie „Powstali 1863–64”



Fot. MHP

powstańczą modę z epoki i pamięć o zrywie. Centralną częścią wystawy jest kopuła, w której prezentowane są filmy i prezentacje multimedialne. To opowieść o ludziach i najbardziej charakterystycznych wydarzeniach z okresu powstania. Wystawie towarzyszy pakiet edukacyjny oraz wiele innych form aktywności. Do września ekspozycję można było oglądać w wielu polskich miastach, m.in. Warszawie, Łowiczu, Zamościu i Lublinie, w kolejnych tygodniach będzie dostępna m.in. w Katowicach i we Wrocławiu. W przyszłym roku planujemy także wyjazdy, w tym na Litwę, tak by podkreślić wieloetniczny charakter powstania i jego wspólne znaczenie nie tylko dla Polaków. Jest to szczególnie ważne w kontekście trwającej rosyjskiej agresji na Ukrainie i niezmiennej imperialnej polityki Rosji, która polega na ekspansji i odbieraniu innym narodom prawa do wolności.

Od lutego do kwietnia w Warszawie, a potem do końca sierpnia w Sandomierzu, dla zwiedzających była dostępna wystawa „Twarze Powstania Styczniowego”.

Publikacja prof. Alicji Kuleckiej pt. „Powstanie styczniowe (1863–1864). Czas walki, marzeń o wolności i niespełnionych nadziei”, wydana przez Muzeum Historii Polski.

Niebawem ukażą się tłumaczenia na język angielski, białoruski, litewski i ukraiński, co pozwoli rozszerzyć zasięg jej odbiorców



wego”. Prezentowane na niej sylwetki bohaterów zrywu stanowiły punkt wyjścia do opowieści o zaangażowaniu poszczególnych grup społecznych w insurekcję.

Trzecią z wystaw, zatytułowaną „Walka o wolność. Powstanie Styczniowe 1863–1864”, Muzeum Historii Polski przygotowało dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Została ona udostępniona polskim placówkom dyplomatycznym, dzięki czemu opowieść o insurekcji może docierać do różnych zakątków świata.

W ramach obchodów organizowane są konferencje naukowe o wymiarze zarówno międzynarodowym, jak i lokalnym. Wydawane są także publikacje naukowe i popularnonaukowe. Niektóre z nich pozwalają w znaczącym stopniu poszerzyć wiedzę o powstaniu i realiach walk zbrojnych. Powstają również programy, audycje telewizyjne i radiowe oraz filmy dokumentalne poświęcone bohaterom Powstania Styczniowego. „Złota obrączka” opowiada o losach Zygmunta Sierakowskiego, przywódcy powstania na Litwie. „Dziewczyna smok” to z kolei opowieść o Henryce Pustowójtównie, ikonie insurekcji, która z bronią w ręku

walczyła w powstańczych szeregach. Obecnie realizowane są także filmy poświęcone Konstantemu Kalinowskiemu oraz ostatniemu powstańcowi, legendarnemu ks. Stanisławowi Brzósce.

Aby informować o wydarzeniach związanych z obchodami 160. rocznicy Powstania Styczniowego został stworzony portal powstanie1863-64.pl. Prócz aktualności na temat wydarzeń kulturalnych i relacji z obchodów można tam znaleźć materiały edukacyjne – nie tylko dla dzieci i młodzieży. Na portalu znajdują się również artykuły,



Fot. Fot. Walerij Rzewuski, 1863. Biblioteka Narodowa

Powstańcy styczniowi z oddziału Żuawów Śmierci

opracowania i źródła historyczne oraz wywiady z historykami i specjalistami. Szczególnie atrakcyjnie prezentują się podcasty, w tym rozmowy z potomkami powstańców, audiobooki oraz filmy.

Zapraszamy do współtworzenia portalu i kolejnych wydarzeń związanych z Powstaniem Styczniowym, do przypominania bohaterów zrywu, wydarzeń, ale także znaczenia powstania dla współczesności.

I tak jak portal ma istnieć po zakończeniu obchodów, tak samo chcemy, aby pamięć o tamtym zrywie rozwijała się w kolejnych latach. Wspomnienie o Powstaniu Styczniowym było bowiem fundamentem walki o wolność podczas obu wojen światowych, a pośrednio także w okresie PRL, kiedy sięgano do tradycji wyrosłych na zrywie 1863 r. Dzisiaj zaś przypomina nam, czym jest wolność i jak bardzo trzeba o nią dbać.

Wojciech Kalwat

Prezentacja wystawy „Śmierć za człowieczeństwo” na świecie

23 sierpnia w katedrze św. Justusa i Pastora w hiszpańskiej Alcali otwarto wystawę „Śmierć za człowieczeństwo. Rodzina Ulmów”. Ekspozycja była także prezentowana przed siedzibą Konsulatu Generalnego RP w Nowym Jorku

Oba te wydarzenia wpisują się w zagraniczną kampanię informacyjną, prowadzoną przez Polską Fundację Narodową przed zaplanowanymi na 10 września uroczystościami beatyfikacyjnymi męczenników z Markowej. Ulmowie ponieśli śmierć za swe ideały i chęć pomocy ukrywającym się Żydom. Niemieccy oprawcy nie oszczędzili ani Józefa, ani jego ciężarnej żony Wiktorii. Nie mieli litości także dla szóstki dzieci: Stasi, Basi, Władzia, Frania, Antosia oraz Marysi.

„Wystawa Instytutu Pamięci Narodowej, którą PFN upowszechnia w Hiszpanii i USA, wpisuje się konsekwentnie w międzynarodową misję edukacyjną Fundacji. Polacy ratujący Żydów podczas II wojny światowej zapisali szczególną kartę w historii XX w. Wystawą tą oddajemy hołd rodzinie Ulmów z Markowej, których egzekucja stała się symbolem martyrologii Polaków mordowanych za niesienie pomocy Żydom. To także próba uczczenia tysięcy innych Polaków ratujących Żydów, ponieważ dopiero rozwija się nasza wiedza w tym wymagającym badań obszarze, czego ostatnim dowodem jest działalność polskich dyplomatów: Aleksandra Ładosia, Konstantego Rokickiego i innych członków tzw. grupy berneńskiej” – powiedział dr Marcin Zarzecki, prezes Zarządu Polskiej Fundacji Narodowej.

Autorami wystawy, którą patronatem objął Komitet Prezydenta RP Obchodów Beatyfikacji Rodziny Ulmów, są historycy z rzeszowskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej. Po raz pierwszy zaprezentowano ją 21 sierpnia przed Pałacem Prezydenckim w Warszawie.

Ekspozycja przedstawia losy rodziny Ulmów, ich życie i pasję, przerwane przez tragiczne wydarzenia wojny. Oprócz rodziny Ulmów wystawa opowiada o Żydach w Markowej, stosunkach polsko-żydowskich oraz tych, których udało się ocalić mimo niemieckich represji.

„Troska o pamięć Polaków, którzy ratowali Żydom w czasie II wojny światowej to nasz obowiązek, to jedna z najbardziej chlubnych kart w naszej historii. W okupowanej



Polsce za pomoc Żydom groziła kara śmierci, brutalnie i bezwzględnie wykonywana przez niemieckich oprawców. Bez sądu, aktu oskarżenia, jakichkolwiek zasad. Tysiące Polaków – spośród, jak szacujemy, miliona, którzy udzielali wówczas pomocy ukrywającym się Żydom – zostało w ten sposób zamordowanych, najczęściej wraz ze swoimi żydowskimi sąsiadami, podopiecznymi. Beatyfikacja rodziny Ulmów przywraca poniekąd pamięć o tych tysiącach anonimowych polskich bohaterach, którzy zginęli z rąk niemieckich okupantów za pomoc, jakiej udzielali ludności żydowskiej” – dodał Michał Góras, wiceprezes Zarządu Polskiej Fundacji Narodowej.

Zadaniem PFN jest prezentacja wystawy na całym świecie, dlatego wraz z partnerami – Instytutem Polskim w Madrycie i Stowarzyszeniem Polaków Polonia Domus Nostra w Hiszpanii oraz Konsulatem Generalnym RP i Instytutem Polskim w Nowym Jorku – zorganizowano jej wernisaż. W planach otwarcie ekspozycji jeszcze w Waszyngtonie, Rzymie czy na Litwie.



Zawsze chodzi o gospodarkę

O polityce w gospodarce wodnej, o polskich portach stanowiących o naszej suwerenności i inwestycjach, które nie podobają się naszym sąsiadom i... ekologom z wiceministrem infrastruktury **Markiem Gróbarczykiem**, sekretarzem stanu w Ministerstwie Infrastruktury, pełnomocnikiem rządu ds. gospodarki wodą oraz inwestycji w gospodarce morskiej i wodnej, rozmawia Maciej Wośko („Gazeta Bankowa”)

Marek Gróbarczyk: Przede wszystkim trzeba podkreślić, jak istotne są dziś dla gospodarki polskie porty i infrastruktura przeładunkowa, transportowa oraz cały system operatorów, którzy funkcjonują w tym obszarze. Dziś jesteśmy bezpieczni w dziedzinie dostaw surowców energetycznych, realizowanych w całości poprzez porty. Trzeba pamiętać o kwestiach związanych z pomocą dla Ukrainy, ale też z handlem ukraińskimi towarami, co realizowane jest właśnie poprzez polskie porty. Po pierwszych problemach, które za nami, ruszył eksport ukraińskiego zboża – deklarowaliśmy, że w ciągu miesiąca jesteśmy w stanie przeładować i wysłać ok. 1 mln t i to się udało. Rzuca się w oczy fakt, że przy każdej okazji nasi oponenti polityczni, opozycja, straszyla, że porty są niewydolne, że infrastruktura nie podoła zadaniom. Tak było przy imporcie węgla, przy ropie naftowej, przy paliwach, a ostatnio ze zbożem. Nic z tych „przestróg” nie okazało się prawdą, a to, co miało zostać przeładowane, zostało w 100 proc. wysłane lub przyjęte w polskich portach. Dziś Polska staje się wielkim hubem przeładunkowym dla Europy Środkowo-Wschodniej. Większość towarów przeładowywanych do niedawna w innych portach trafia właśnie do Polski. Potwierdzają to wyniki za ubiegły rok. 10 lat temu obsługiwaliśmy ok. 60 mln t, w ubiegłym roku 133 mln t przeładowanych towarów. Wiemy, że w tym roku ten rekord zostanie poprawiony.

Inwestycje, wzrost znaczenia logistyki transportowej, ale też nearshoring i transformacja energetyczna –

to hasła, które polityka gospodarcza absorbuje do strategii rozwojowych. Budujemy CPK, rozwijamy sieć drogową i kolejową z północy na południe, powstają porty serwisowe dla offshore, w końcu modernizowane są porty kontenerowe. Polacy powinni się cieszyć z takich inwestycji, tymczasem mam wrażenie, że wciąż szukamy i wskazujemy na problemy. Z czego to wynika?

Jestem przekonany, że jest to związane z długoletnimi zaniedbaniami, charakterystycznymi dla poprzednich rządów w Polsce. Dziś prowadzimy inwestycje, które jeszcze kilka lat temu wołały o pomstę do nieba – choćby pogłębienie toru żeglugowego między Świnoujściem a Szczecinem do 12,5 m. Wszyscy wskazywali, że jest to jedyny sposób na zwiększenie przeładunków w porcie szczecińskim, ale to się nie stało przez tyle lat. Mieliliśmy cały proces likwidacyjny w polskich stoczniach, wyprzedawanie naszego majątku. Całkowicie pomijano też kwestię swobodnego dostępu do polskich portów, a środki przeznaczone na ten cel były przez lata znikome. Ogłoszone przez nas programy inwestycyjne to blisko 30 mld zł – to rozwój dróg i autostrad, przede wszystkim S3, aż po autostradę A1, to budowa dróg kolejowych, przebudowa we wszystkich portach infrastruktury węzłowej i zwiększenie możliwości przyjmowania większej liczby dłuższych pociągów towarowych. Wszystkie porty mogą dziś obsłużyć znacznie więcej pociągów. Została i jest modernizowana cała infrastruktura nabrzeży portowych oraz kanałów, trwają pogłębienia.

Większość rozmów związanych z infrastrukturą i transportem zaczynamy od pytania o skutki lockdownów i wojny na Ukrainie. Gospodarka morska stała się elementem ściśle powiązanym z bezpieczeństwem nie tylko Polski, ale i całego regionu. Sprawne porty przeładunkowe uratowały nas zarówno w kryzysie węglowym, jak i zbożowym, choć jeszcze w 2021 r. zadawaliśmy sobie pytanie o zapaść w transporcie związaną z COVID-19 i przebudowaniem handlu z Azją, głównie z Chinami. Może pan dziś powiedzieć – stanęliśmy na wysokości zadania i wykorzystaliśmy tę szansę dla rozwoju?

Fot. Andrzej Skowroński

W końcu została oddana odrzańska droga wodna i dziś mamy swobodne połączenie Odry z Berlinem. To była kluczowa sprawa, choć pewnie to też powód wielu protestów i niezadowolonych po stronie niemieckiej. Połączyliśmy się jednak wreszcie z europejską siecią dróg śródlądowych i Port Szczecin-Świnoujście stał się jej integralną częścią. Teraz przystępujemy do całego pakietu inwestycji związanych z rozwojem gospodarki morskiej. Terminal kontenerowy w Świnoujściu, który ma obsługiwać 2 mln kontenerów 20-stopowych, rozbudowa terminala kontenerowego w Gdańsku o kolejne pirsy i budowa portu zewnętrznego w Gdyni. Do tego zupełnie nowe tory podejściowe.

Wiem, że w Porcie Gdańsk zakończono już modernizację toru wodnego i rozbudowę nabrzeży – koszt tej inwestycji to ponad 595 mln zł. Kolejną dużą, planowaną inwestycją jest właśnie modernizacja i pogłębienie toru do portu w Świnoujściu. Ta inwestycja – jak czytamy – nadal budzi sprzeciw niemieckich władz samorządowych, organizacji ekologicznych oraz posłów do Parlamentu Europejskiego. Mimo decyzji polskiego rządu o ominięciu niemieckich wód morskich i wyznaczeniu nowego toru podejściowego, krytyka strony niemieckiej nie ustaje.

W ramach strategii rozwoju portu w Świnoujściu zakładaliśmy, chociaż strona niemiecka nie zgłaszała wtedy uwag, że w pewnym momencie pojawią się protesty i próby zablokowania tej inwestycji. I dokładnie tak się stało, dlatego już wcześniej podjęliśmy decyzję, że poprowadzimy głębokowodny tor żeglugowy do 17 m po polskich wodach. Wieloletni program został uchwalony i rozstrzygnęliśmy już pierwsze postępowanie przetargowe na analizę nawigacyjną, co otwiera drogę do kolejnych prac. Mamy doświadczenia z protestami, próbami sądowego blokowania inwestycji – wiemy, jak sobie radzić w takich sytuacjach, by mimo prób hamowania rozwoju polskich portów rozwijać je zgodnie z potrzebami. To już się dzieje. Tak było choćby

z próbą zablokowania budowy ostróg na Odrze – dziś inwestycja jest na ukończeniu.

Z przekopem Mierzei Wiślanej też się udało, dzięki ogromnej determinacji rządu. Mamy zakończoną, oddaną inwestycję, która za chwilę zacznie przynosić realne korzyści dla regionu i dla polskiej gospodarki.

Oczywiście. Naszym podstawowym założeniem było zapewnienie swobodnego dostępu do Zalewu Wiślanego, który wcześniej miał połączenie jedynie przez Cieśninę Pilawską, a więc terytorium Rosji. Po niezwykle niekorzystnych umowach podpisanych jeszcze przez ówczesnego ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego z Federacją Rosyjską należało pilnie stworzyć warunki do bezpiecznego dostępu do zalewu. Tego, jak ważne stało się dziś uruchomienie przekopu i dostępu do wód granicznych Polski i NATO z Federacją Rosyjską, nikomu chyba nie trzeba tłumaczyć. Jednocześnie umożliwi to rozwój gospodarczy regionu, przez lata zaniedbanego inwestycyjnie dzięki rozbudowie portu w Elblągu, która trwa, bo przecież inwestycja nie została zakończona.

Pod warunkiem, że prezydent Elbląga dostrzeże szansę w rozwoju swojego miasta, bo na razie ma z tym problem.

Mam nadzieję, że pan prezydent odsunie na bok polityczne animozje i poczuje się gospodarzem na swoim terenie, bo to przecież port komunalny. I wykaże chęć współpracy. Mamy środki, chcemy zainwestować w port, ale nie mamy zgody władz miasta, które realizują bardzo zły scenariusz polityczny – to, przyzna pan, dość kuriozalna sytuacja.

Port Gdańsk jest nie tylko najszybciej rozwijającym się portem bałtyckim ostatniej dekady, ale także drugim po rosyjskiej Ust-Ludzie największym portem na Bałtyku i pierwszym bałtyckim portem kontenerowym. Port Szczecin-

-Świnoujście zajął piąte miejsce na Bałtyku. To naturalny efekt rosnących przeładunków i wieloletniej strategii budowy znaczenia polskich portów?

Naszym największym konkurentem wciąż jest port w Hamburgu, wskazany w wielu opracowaniach transportowych Unii Europejskiej. Tak to miało wyglądać. Kontenery miały trafiać do Hamburga, a potem transportem drogowym i kolejowym dalej na wschód i na południe.

Można zatem zapytać, jak to było w przypadku lotniska CPK – po co nam duże, polskie porty, skoro mamy port w Hamburgu.

Na szczęście się tak nie stało. Dziś większe kontenerowce wpływają do Gdańska i Gdyni. Mamy nadzieję, że będą wpływać również do Świnoujścia. W ten sposób przesuwamy całą masę ładunkową na Bałtyk i na wschód, do europejskich portów w Polsce. Tu płacone są dziś podatki od towarów trafiających na europejski rynek, a polski budżet zyskuje ok. 30 mld zł co roku. Z tego wynika realny plan podwojenia przeładunków w polskich portach przez kolejne 10 lat.

Zaryzykuję stwierdzenie, że geopolityczna gra o polską suwerenność rozgrywa się, podobnie jak w latach 20. XX w., właśnie w portach. Wtedy przekonywaliśmy świat do Gdyni, dziś musimy przekonywać Europę i globalny system logistyczny do polskiego hubu transportowego na Bałtyku.

Mamy ogromną szansę stworzyć jeden z wielkich europejskich hubów transportowych na kierunku północ-południe. Dziś kontener z Gdańska jedzie do Czech, nie zatrzymując się na żadnym skrzyżowaniu. Drogi kolejowe, drogi wodne (choćby też planowana odbudowa żeglugi na dolnej Wiśle), rozwój portów, rozbudowa centrów logistycznych – to działania, które spowodują, że Polska ma szansę stać się centrum transportowym w środkowej Europie. To oczywiście spotyka się z niepokojem i krytyką naszych sąsiadów z zachodu, ale chyba do tego już przywykliśmy.

Granica z Niemcami to Odra, która w ubiegłym roku stała się elementem bezpardonowej, politycznej gry z polskim rządem. W tym roku nikt już właściwie nie wracał do katastrofy ekologicznej w tej drugiej największej rzece w Polsce. Nie ma tematu? Co się właściwie dzieje dzisiaj na Odrze?

Po ubiegłorocznej katastrofie zastosowaliśmy cały zestaw działań krótko- i długoterminowych, choć faktycznie działa się to już poza medialnym zainteresowaniem. By odzyskać dobry ekosystem w zakresie chemii wody, należało i należy wykonać mnóstwo inwestycji. Stąd przyjęta właśnie i podpisana już przez Prezydenta RP specustawa o rewitalizacji Odry. Te przepisy obejmują budowę i przebudowę 123 oczyszczalni ścieków, budowę 2 tys. km kanalizacji ściekowej, inwestycje w zakładach przemysłowych, określają też cały proces związany z finansowaniem i prowadzeniem kontroli. Ustawa wymienia wszystkie inwestycje, które muszą być zrealizowane, także przez samorządy, by pomóc w zapobieganiu zanieczyszczeniom. Dzięki wzmocnieniu monitoringu w tym roku wychwyciliśmy blisko 2 t śniętych ryb, które przyplłynęły do nas z Czech. Kilka dni temu znów mieliśmy podobny przypadek po stronie czeskiej. Cóż... Nie ma żadnej reakcji opozycji, która w ub.r. historycznie atakowała polski rząd. Nie widzę organizacji ekologicznych, Sióstr Rzek, akcji posłanek i posłów, którzy rozdzielali szaty nad Odrą, bo nie można zaatakować politycznie polskiego rządu. Więcej, opozycja próbowała zablokować ustawę o rewitalizacji Odry na każdym niemal etapie jej tworzenia. To jednoznacznie utwierdziło nas w przekonaniu, jak ważne jest, by te inwestycje przeprowadzić.

Czasem susza, czasem deszcz – chciałoby się powiedzieć, obserwując natężenie anomalii pogody

dowych w ostatnich latach. Jak modernizacja systemu wodnego, inwestycje w system przeciwpowodziowy, w retencję mogą ograniczyć skutki tych zjawisk? Krytycy rządu grzmią, że wciąż działamy w myśl zasady „Mądry Polak po szkodzi”. Tymczasem mam wrażenie, że samorządy wciąż nie doceniają roli dobrze zaplanowanego zagospodarowania przestrzennego, a głosy ekologów, wzywające do nieregulowania rzek, w tym Wisły, nie pomagają w podejmowaniu wielu inwestycji ratujących czy zabezpieczających ludzi.

Połączyliśmy się wreszcie z europejską siecią dróg śródlądowych i Port Szczecin-Świnoujście stał się integralnym elementem tej sieci. Teraz przystępujemy do całego pakietu inwestycji związanych z rozwojem gospodarki morskiej

To kluczowy temat dla naszego rządu. W połowie roku mamy suszę, jesienią podtopienia i powodzie... Reagując poniekąd na anomalie, o których pan mówi, opracowaliśmy system, który zakłada budowę 309 nowych zbiorników retencyjnych oraz ok. 50 tys. kanałów i dopływów. To ma zapewnić dostęp do wody i odpowiedzieć na zapotrzebowanie na wodę w rolnictwie. Musimy podnieść retencję w Polsce z 7 do 20 proc. Ten program, warty ok. 44 mld zł i zaplanowany na następne osiem lat, zapewni nam bezpieczeństwo przeciwsuszowe i przeciwpowodziowe. Niestety, większość zbiorników budowanych przez naszych poprzedników to tzw. suche zbiorniki, poldery przeciw-

powodziowe. Dziś już wiemy, że by ustrzec się przed problemami, z którymi mierzy się np. Hiszpania czy Francja, związanymi ze spadkiem poziomu wód, poza systemem przeciwpowodziowym musimy gromadzić zapasy wody. Przebudujemy więc zbiorniki zlokalizowane przy największych polskich rzekach na mokre. To oparcie się o duże zbiorniki Racibórz, Kąty-Myscowa, budowa stopnia wodnego w Sierzewie i do tego dobudowa blisko 306 zbiorników średnich i małych, by magazynować wodę wiosną, a oddawać ją latem, gdy zrobi się sucho.

To niezwykle ambitne zadanie, ale niezbędne.

Choć właściwie każda nazwa miejscowości, które pan minister wymienił, wiąże się już z protestami, a to ekologów, a to polityków. To koszt wpisany już w ryzyko tych inwestycji?

Przeraza nas fakt niezwykle metodycznej polityki realizowanej przez wiele organizacji eko- lub pseudoekologicznych. Dość prześledzić źródła finansowania tych akcji. Dziś największym problemem Europy Zachodniej staje się brak wody. Tymczasem słyszymy, że nadzieją ma być renaturalizowanie rzek czy tworzenie torfowisk. To nieodpowiedzialne wobec następnych pokoleń, bo jeśli my nie rozpoczniemy inwestycji pozwalających zatrzymać więcej wody, to jej po prostu w Polsce nie będzie. W Wielkopolsce już mamy problem. Obniża się poziom wód gruntowych, cierpi rolnictwo, a to, co za ekologiczne uważało się i uważa w Niemczech, w Polsce jest – zdaniem ekoaktywistów – niszczeniem naturalnych obszarów. U nas produkcja rolna to wciąż kluczowy element gospodarki, a gospodarka wodna będzie najważniejszym elementem wsparcia rolnictwa, bo bez niej nie ma mowy o rozwoju produkcji. I chyba dochodzimy do najistotniejszego elementu tej gry – jak zawsze chodzi o gospodarkę.

ORLEN stawia na piłkę ręczną

Dobre czasy dla polskiego szczypiornika



Jakie nowe sukcesy przyniesie ta współpraca? Czy dzięki strategicznemu sponsorskiemu wsparciu ORLENU poziom polskiej piłki ręcznej ma szansę dorównać naszej siatkówce? Rozpoczął się właśnie sezon klubowych rozgrywek krajowych w szczypiorniku męskim i żeńskim. Sezon, który dla naszych zespołów jest pod wieloma względami wyjątkowy

Przeze wszystkim po raz pierwszy mamy tak silną reprezentację polskich drużyn klubowych w rozgrywkach europejskich. W Lidze Mistrzów zagrają aż dwa polskie kluby, czyli aktualni mistrzowie i wicemistrzowie Polski – KS Kielce oraz ORLEN Wisła Płock, w Lidze Mistrzyń zobaczymy po raz pierwszy najlepszy żeński zespół w kraju – KGHM Zagłębie Lubin. Dodatkowo dwa polskie kluby męskie: Górnik Zabrze i KGHM Chrobry Głogów zagrają w fazie grupowej Ligi Europejskiej, a w 3. rundzie kwalifikacji do Ligi Europejskiej Kobiet wystąpi MKS FunFloor Lublin. Europejska Federacja Piłki Ręcznej (EHF) doceniła poziom polskich zespołów i zaprosiła ORLEN Wisłę Płock i KGHM Zagłębie Lubin do rywalizacji w Lidze Mistrzów i Lidze Mistrzyń, przyznając naszym zespołom tzw. dzikie karty.

PO RAZ PIERWSZY WŚRÓD NAJLEPSZYCH

Dzięki temu szczypiornistki z Lubina zyskały teraz okazję, by sprawdzić swoje sportowe umiejętności w starciach z najlepszymi drużynami w Europie. Mistrzynie Polski zostały przydzielone do grupy B, w której zagra również obecnie najlepszy żeński zespół na naszym kontynencie, czyli norweski Vipers Kristiansand. Oprócz Norweżek w grupie B znalazły się również następujące drużyny: duńskie Team Esbjerg i Ikast Håndbold, węgierski FTC-Rail Cargo Hungaria, słoweński Krim Mercator Lublana, francuski Metz Handball oraz rumuński CS Rapid București. W chwili, gdy ten numer tygodnika Sieci trafi do rąk czytelników, szczypiornistki Zagłębia Lubin mają już za sobą chrzest bojowy w Lidze Mistrzyń, a mia nowicie mecz z mocnym przeciwnikiem ze Słowenii, zespołem Mercator Lublana. Jest to aktualny mistrz i zdobywca pucharu tego kraju. Drużyna ta regularnie uczestniczy w fazie grupowej Ligi Mistrzyń i ma ambicje osiągnięcia czołowej szóstki w Europie. Nic dziwnego, że w meczu w Lubinie uchodziła za faworyta.

Mistrzynie Polski także mają zamiar stałe zagościć w europejskiej czołówce, a plany te mają bardzo solidne podstawy. Jeszcze przed rozpoczęciem sezonu do grona sponsorów drużyny dołączył bowiem ORLEN. Współpraca, którą klub nawiązał z największym w Europie Środkowej koncernem multienergetycznym, daje drużynie nieosiągalne wcześniej perspektywy rozwoju, zarówno na polu sportowym, jak i organizacyjnym. Dla Zagłębia jest to szansa na dalsze wzmocnienie swojej pozycji. Z kolei dla ORLEN-u to kolejny ważny krok w budowaniu swojej strategicznej roli jako sponsora polskiej piłki ręcznej.

Kibicom nie trzeba także wyjaśniać, że im mocniejsze zespoły klubowe, im wyższy poziom całych rozgrywek krajowych, tym większe szanse na znaczące podniesienie poziomu reprezentacji narodowej, a przecież tak tęsknimy do sukcesów porównywalnych z tymi odnoszonymi przez kadrę prowadzoną przez Bogdana Wente. Taki właśnie cel – podniesienie poziomu piłki ręcznej klubowej i reprezentacyjnej – przyświeca ORLENOWI, który swój sponsoring szczypiorniaka traktuje jako misję strategiczną.

SPONSOR TYTULARNY SUPERLIGI

W jej ramach przed obecnym sezonem ORLEN został sponsorem tytularnym najwyższego szczebla rozgrywek piłki ręcznej w Polsce – ORLEN Superligi i ORLEN Superligi Kobiet. Nowa umowa dotyczy trzech najbliższych sezonów i obejmuje wiele świadczeń marketingowych. Na jej mocy marka ORLEN, oprócz obecności w nazwie rozgrywek, będzie eksponowana na strojach meczowych wszystkich klubów, parkietach, bandach LED i statycznych podczas 349 meczów najwyższego szczebla rozgrywek męskiej i kobiecej piłki ręcznej w Polsce. Ekspozycja marki koncernu pojawi się również w transmisjach telewizyjnych i internetowych oraz w mediach cyfrowych ORLEN Superligi i klubów, takich jak strony internetowe, aplikacje mobilne oraz media społecznościowe.

Podpisanie umowy pomiędzy ORLEN a Superligą to efekt optymalizacji polityki sponsoringowej Grupy ORLEN po zrealizowanych akwizycjach w ramach multienergetycznego koncernu. Już od 2010 r. polską piłkę ręczną na wielu płaszczyznach wspierało PGNiG z Grupy ORLEN – poprzez sponsoring juniorskiej i seniorskiej kadry narodowej kobiet i mężczyzn. Sponsor był zaangażowany również w utworzenie i rozwój Superligi (2016) oraz Superligi Kobiet (2019). Droga obrana wiele lat temu doprowadziła do sukcesów klubów grających na najwyższym szczeblu rozgrywek. Teraz to wsparcie będzie kontynuowane przez ORLEN.

– Jesteśmy dumni, że tak silny i stabilny partner nadal będzie wspierać rozwój ligowych rozgrywek piłki ręcznej i dostrzega przy nich potencjał promocyjny dla marki ORLEN. To dla nas dowód zaufania i potwierdzenie dobrze wykonywanej pracy. To strategiczne partnerstwo umożliwi dalsze podnoszenie wartości rozgrywek, zarówno w wymiarze sportowym, jak i organizacyjno-marketingowym. Jestem przekonany, że czeka nas mnóstwo niesamowitych sportowych emocji w trakcie meczów szczypiornistek i szczypiornistów – powiedział Piotr Nałężyty, Prezes Zarządu Superligi sp. z o.o.

Zmianie sponsora tytularnego towarzyszy kompleksowa zmiana identyfikacji wizualnej rozgrywek z nowymi



ORLEN to największa firma multienergetyczna w tej części Europy. Budujemy silną, globalną markę, nie tylko realizując duże programy inwestycyjne, ale także wspierając najbardziej popularne dyscypliny sportu w Polsce, jedną z nich jest bez wątpienia piłka ręczna. Dlatego po połączeniu z PGNiG podjęliśmy decyzję, że będziemy kontynuować sponsoring tytularny tych rozgrywek i w ramach Grupy ORLEN pozostaniemy partnerem Superligi. Polskie kluby to liczące się zespoły w europejskich rozgrywkach, a w zbliżającym się sezonie po raz pierwszy w historii aż pięć z nich zagra w fazach grupowych dwóch najważniejszych rozgrywek na kontynencie. Liczymy na to, że nowy sezon przyniesie jak najwięcej sukcesów.

Daniel Obajtek, prezes Zarządu ORLEN

logotypami dla obu lig i wpisana w nie marką ORLEN na czele. Superliga zyskała nowe logo oparte na monogramie S, zamkniętym w poruszonym sześciokącie, nowe kolory, bazujące na intensywnym pomarańczowym i chłodnej miętzie oraz specjalną typografię. Celem nowej identyfikacji jest unowocześnienie marki rozgrywek Superligi oraz stworzenie atrakcyjnego konceptu, który pozwoli zwrócić uwagę wśród nowych grup odbiorców zarówno w przestrzeni cyfrowej, telewizyjnej, jak i w halach. Integralnym elementem nowego znaku jest nazwa sponsora tytularnego. W przeciwieństwie do często stosowanych rozwiązań ORLEN nie został oddzielony od znaku ligi, a stał się jego integralną częścią, tak jak ma szansę stać się integralną częścią sukcesów wszystkich wspieranych przez koncern polskich sportowców.

Więcej informacji na temat programu i zawodów można znaleźć na stronie www.czwartki.pl

PARTNER DODATKU



MARCIN BYTNIEWSKI AKTOR

Nie tylko w kraju Napoleona

Niewielu osobom udało się wejść do wehikułu czasu. Ja, a właściwie mój bohater z sitcomu „Tylko nie piątek” (emisja od 6 października na kanale Alfa i w TVP ABC), odbyłem taką podróż.

Gram nie byle kogo, bo Napoleona Bonapartego – przeniesionego do współczesnej Polski – który nie chce wracać do swoich czasów, bo bardzo mu się podoba rozwój, jaki nastąpił w świecie. Nowinki technologiczne obserwuje z perspektywy knajpki Rock & Roll Edek na warszawskim Mokotowie. Nie sposób się z nim porozumieć, bo mówi tylko po francusku. I to jest jeden z powodów, dla którego zagrałem tę postać.

W pewnym momencie wyspecjalizowałem się w graniu ról w innych językach niż polski, żeby odróżnić się jakoś od tych 6 tys. aktorów i aktorek, którzy są w Polsce. Zaczęło się od niemieckiego. Pojawiałem się w wielu filmach i serialach, których akcja dzieje się w czasie II wojny światowej. Przeważnie obsadzano mnie w rolach mundurowych. Żartowałem, że miałem na sobie uniformy właściwie wszystkich niemieckich formacji z tego okresu, oprócz Gestapo i Luftwaffe.

Można powiedzieć, że podróż w okupacyjną przeszłość mam już zaliczoną. Za sprawą „Czasu honoru”, „Wojennych dziewczyn” i jeszcze paru innych produkcji. Nie tylko polskich.

Język niemiecki szkolilem w Austrii, na uniwersytecie w Wiedniu, gdzie trafiłem jako student... teologii, bo od tego kierunku zaczynałem swoją wyższą edukację. Aktorstwo przyszło potem, jako drugi zawód. Byłem stypendystą fundacji Bibelwerk, czyli Dzieło Biblijne. Mówię do tej pory z lekkim austriackim akcentem, bardziej śpiewnym, a nawet słyszałem też,

że w moim niemieckim pobrzmiewa akcent francuski.

Jako wielbiciel historii byłem i wciąż jestem zachwycony Wiedniem. Jego zabytkami, zachowanymi pałacami, takimi jak Hofburg czy Schönbrunn. Mam też swoje miejsca, o których nie opowiem, żeby nie stały się za bardzo popularne.

Szlifowanie języka francuskiego odbywało się również na kursie stypendialnym, ufundowanym tym razem przez Towarzystwo Przyjaciół KUL (czyli mojej macierzystej uczelni), oddział w Paryżu. Od pobytu w Instytucie Katolickim minęło 20 lat. Potem pracowałem jeszcze w różnych firmach we Francji. Ostatni raz byłem nad Sekwaną przed covidem i chętnie bym do tego kraju wrócił.

Na początek na Łazurowe Wybrzeże, ponieważ bardzo sobie cenię szczególnie te mniejsze miejscowości, które może nie są tak znane, jak Cannes, Nizza czy Saint-Tropez, natomiast są równie piękne. To np. Antibes czy Golfe-Juan... Chciałbym też wrócić do Monako. Nie jest to, co prawda, Francja, ale prawie Francja. Żałuję też, że jeszcze nie miałem okazji zwiedzić wielkiej atrakcji przyrodniczej Prowansji – wąwozu Verdon.

Do Austrii i Francji wyjeżdżałem z Lublina, gdzie studio wałem i mieszkalem jeszcze trochę po studiach. W sumie spędziłem w tym mieście sześć ważnych

lat mojego życia. Tu – parafrazując Karola Wojtyłę – i teatr się zaczął. Kiedyś nazywał się Teatrem Słowa, później Teatrem Wizualnym (prowadził go śp. Andrzej Piwowarczyk, bardzo utalentowany reżyser i artysta plastyk). Teraz to scena znana jako Teatr Enigmatic KUL. Od 2008 r. opiekuje się nią pani Alicja Jachiewicz-Smidt.

W Lublinie zacząłem być aktorem, tu grałem główne sceniczne role i tu poznałem przyszłą żonę.

Gdy czasami wracamy do tego miasta, lubimy zajrzeć do restauracji Mandragora na Starówce. Lubię też odwiedzić miejsca, w których mieszkalem, m.in. kamienicę Rynek 19.

Pochodzę z Białej Podlaskiej – w linii prostej 20 km od granicy z Białorusią. Spędziłem tam pierwsze 19 lat życia. Jeśli ktoś chciałby wyruszyć w te rejony, to polecam zacząć od serialu, który tam powstawał, a nosił tytuł „To nie koniec świata!”. Tomasz Szafranski, który reżyseruje sitcom „Tylko nie piątek”, był jednym z jego twórców.

Śledząc losy bohaterów, można poczuć klimat Białej Podlaskiej, posłuchać, jak mówią jej mieszkańcy. Przypomnieć sobie, że wszystko, co ważne, to bliskie miejsca, ale przede wszystkim ludzie, rodzina, wspomnienia, zakorzenienie.

Jeśli ma się dokąd wracać, chętniej wyrusza się w drogę. Zwłaszcza tę dalszą. Teraz naszym

wspólnym marzeniem z żoną jest przejechanie Stanów Zjednoczonych wzdłuż i wszerz. Miesiąc, trzy tam sobie pobyć, wynająć samochód. Czasu na wszystko nie starczy, ale chcielibyśmy chociaż dotknąć

trochę tej przestrzeni i historii.

Pobyć z tamtymi ludźmi. Z państw amerykańskich jak dotąd udało nam się odwiedzić Kubę, ale to temat na osobną opowieść.

Notowała Jolanta Gajda-Zadworna



SŁODKO-SŁONY



ANNA MONICKA

Złota nogawka

Zdarzyło mi się kiedyś podróżować po Włoszech w towarzystwie Giorgia, który reprezentował lokalnych producentów mebli spod Wenecji. Zaprosili nas do swoich rodzinnych manufaktur, bo chcieli wejść na polski rynek. Spacerowaliśmy przy okazji wieczorami po Weronie, Vicenzy, Montebellunie. Knajpek i restauracji było tam bez liku. Na jednej z witryn piętrzyły się pizze, sprzedawane na wynos. Wypatrzyłam nawet taką udekorowaną grubą warstwą majonezu, ale gdy zapytałam Giorgia o jej nazwę, machnął tylko gniewnie ręką: „Ona nie ma nazwy, to dla Amerykanów”. Okazał się bardziej rozmowny, gdy wskazałam palcem ogromny pieróg. „Calzone, czyli nogawka. Taka od pantaloni. Stara jak margherita, ale mało popularna. Częściej chyba jadana w Argentynie, do której na początku XX w. wyemigrowało dużo naszych. A co, macie ochotę na prawdziwą pizzę?”. Kiwnęliśmy głowami, a on złapał za telefon. Było już dobrze po 22, gdy dotarliśmy do jakiejś wioski daleko od autostrady. „Tu ma trattorię mój przyjaciel. Takiej pizzy na pewno nie jedliście” – i Giorgio otworzył drzwi lokaliku. Dania przygotowywali tu właściciele, a do stołu podawała ich córka. Smakoszom z miasta nie przeszkadzało, że trzeba się do nich przebijać przez korki ponad godzinę, bo byli znanymi mistrzami w szeroko rozumianej okolicy. Takich serów, oliwy, focacci, fig i winogron nie jadłam nigdy wcześniej. Oliwki mieli własne, podobnie jak pomidory, paprykę, rozmaryn czy bazylię. Sery kupowali u sąsiada, który je robił z mleka od domowych krów, kóz i owiec. Kolejny dostarczał wino. A pizza? Na delikatnym, cieniutkim cieście, w morzu soczystej passaty leżały kuleczki mozzarelli di bufala. To wszystko rozpyłyło się w ustach. Zrozumiałam, że nigdy nie uda mi się powtórzyć tego smaku.

Do calzone wróciłam jednak niedawno, gdy córka zapragnęła czegoś nowego. Poszłam nieco na skróty, ale nie przyniosłam jej wstydu. Kółko wycięłam z arkusza ciasta francuskiego, na jednej połowce ułożyłam podsmażoną z czosnkiem i cebulą cukinię z papryką, polałam moim sosem pomidorowym, który dobrze odparowuje w piekarniku, dorzuciłam kilka posiekanych czarnych oliwek i plasterków mozzarelli. Przykryłam drugą połówką ciasta, zlepiałam krawędzie, pomalowałam rozbełtanym żółtkiem, lekko nakłułam wykałaczką i do nagrzanego pieca. Ma się upiec na złoto.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Gutaperka

W pamiętnikach Juliana Fałata można przeczytać anegdotę, czy też historię z przeszłości – bo czemu by Fałatowi nie wierzyć, jak krakowscy ulicznicy docinali niewielkiego wzrostu malarzowi Stanisławowi Tondosowi, biegnąc za nim i krzycząc: „Tondos, gutaperka, bum, bum!”.

Abstrahując od proveniencji okrzyku (choć sama historia dzięki swojej nonsensowności niezgorsza), można się przyrzec gutaperce i jej pochodzeniu.

Substancja o tej intrygującej nazwie jest wytwarzana z soku mlecznego produkowanego przez drzewo gutaperkowiec *Palaquium gutta*. Światłożądny, strzelisty, wyrostający ponad inne drzewa swoją spragnioną światłą koroną gutaperkowiec występuje w tropikalnych puszczech Malajów i Indonezji. Obecnie w stanie naturalnym rzadki.

Gutaperka była objawieniem XIX w. W przeciwieństwie do kauczuku jest twarda. Miętkość i plastyczność zyskuje dopiero podgrzana do temperatury 65–70°C. Można ją wtedy uformować, nadać pożądany kształt i pozostawić do zastygnięcia. Po oziębieniu robi się twarda, a jednocześnie sprężysta. Pierwsze piłki golfowe były robione ze skóry i piór. Nie były trwałe, no i gra nie była porywająca. Zmieniła to gutaperka. Obecnie piłki robi się z tworzyw sztucznych, ale piłeczka gutaperkowa miała te same właściwości: twarda, wytrzymująca wiele bardzo silnych uderzeń metalowym kijem, a jednocześnie odbijająca się jak guma.

Malajowie i Indonezyjczycy znali właściwości gutaperki i od dawna robili z niej narzędzia, np. świetne maczety. Twarde, ostre, wytrzymałe, do ich produkcji wystarczył sok z drzewa i niezbyt wysoka temperatura. W pewnym momencie, po upowszechnieniu się gutaperki, świat zwaśnił na jej punkcie. Rzeczywiście, trudno wyobrazić sobie łatwiejszy w obróbce, a jednocześnie niezwykle wytrzymały materiał o wielu zastosowaniach.

Kulminacja popularności gutaperki nastąpiła, kiedy Werner von Siemens wynalazł sposób, jak izolować nią druty telegrafu, aby można było układać je na dnie morza. Pod koniec XIX w. Ziemię oplatało 400 tys. km drutów w gutaperkowych osłonach.

Popularność gutaperkowców doprowadziła je na skraj wyginięcia. Obecnie stosuje się ten genialny materiał w zasadzie tylko do wypełniania kanałów korzeniowych zębów.

„**M**y w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor” – pamiętne słowa ministra i pułkownika Józefa Becka, wypowiedziane w Sejmie 5 maja 1939 r., nie miały tylko emocjonalnego znaczenia. To stanowiło wymowny przekaz dla Niemców, że nie mogą liczyć na żadne ustępstwa.

Zresztą o honorze przed wybuchem wojny mówiło się wtedy nie tylko w polskim Sejmie. Kiedy na wieść o niemieckiej agresji na Polskę brytyjski premier Neville Chamberlain próbował zwlekać z wywiązaniem się z sojuszniczych zobowiązań i zapewniał w Izbie Gmin, że negocjacje z Niemcami są jeszcze możliwe, przedstawiciel opozycji Arthur Greenwood odpowiadał mu, że naraża na szwank „zasady honoru narodowego”. Chamberlainowi pozostało tylko podać się do dymisji albo ogłosić wypowiedzenie wojny Niemcom.

Plk Józef Beck na pewno pamiętał słowa Józefa Piłsudskiego, powtarzane żołnierzom: „Honor – to bóg wojska; nie masz go – kruszeje potęga wojska”. We wrześniu 1939 r. polskiemu wojsku brakowało wiele, by móc skutecznie bronić się przed dwoma potężnymi agresorami – przede wszystkim sprzętu, samolotów, czołgów, artylerii, ale na pewno nie można było mu zarzucić braku honoru. Wierni przysiędze, że polski żołnierz żywy nieprzyjacielowi się nie podda, bili się do końca, nie mając sobie równych w Europie i świecie. „Jazgot dział, huk eksplozji, spowijające wszystko tumany pyłu, pelzające tu i tam języki ognia, krzyki rannych. A potem cisza, która zwiastuje kolejne piekło. Nadzieja i zwątpienie, skrajne wyczerpanie, ale też tłące się w głowach poczucie obowiązku, które nakazuje zebrać się w sobie i raz jeszcze iść do walki”.

Polska tonęła w wojennej pożodze, a w polskim radiu kolejny komunikat: Westerplatte broni się nadal! Obrońcy Warszawy, Wizny, polskiego Wybrzeża, walczący nad Bzurą, pod Mokrą, pod Kałuszynem, którego nie udało się Niemcom zdobyć aż do 24 września – o nich wszystkich trzeba czytać, pamiętać i mówić światu, kto był agresorem, a kto bohatersko bronił swojej ojczystej ziemi. Żołnierze gen. Franciszka Kleeberga bili się aż do 6 października, chociaż już wcześniej ogłoszono zaprzestanie działań wojennych. Wśród walczących był pisarz i reportażysta Marian Brandys – „Ogarnięci amokiem bitwy, ogłuszeni hukiem wystrzałów, przez pot zalewający oczy widzieliśmy już tylko białą kość, który mieliśmy zdobyć. Atak z zaskoczenia był udany, lecz w decydującym momencie żołnierzom zabrakło amunicji...”.

7 września 1939 r. rozpoczęła się bitwa o Wiznę. 720 polskich żołnierzy kpt. Władysława Raginisa przez trzy dni stawiało opór 42 tys. Niemców dowodzonych przez gen. Guderiana. 10 września nadal niezdobyte pozostawały dwa schrony. Wtedy Niemcy postawili kpt. Raginisowi ultimatum: albo się podda, albo wzięci do niewoli w czasie boju polscy jeńcy zostaną rozstrzelani. Dowódca, wierny przysiędze, że nie odda żywy zajmowanych pozycji, wydał żoł-

Honor



Alina Czerniakowska

nierzom rozkaz złożenia broni i opuszczenia schronu, a sam rozerwał się granatem.

Plk. Stanisław Dąbek, doświadczony żołnierz dwóch wojen, syn ziemi kresowej, w 1939 r. bohaterski dowódca Lądowej Obrony Wybrzeża, stoczył ponad 100 zwycięskich potyczek z wrogiem, chociaż już od pierwszych dni września był odcięty od reszty kraju. Gdy wszelkie możliwości zostały wyczerpane, pułkownik nakazał przerwanie ognia, aby oszczędzić pozostałych przy życiu żołnierzy, a sam popełnił samobójstwo, strzelając sobie w głowę.

O tym wszystkim mówił mi mój ojciec, dużo starszy od mamy; był dla mnie uosobieniem odwagi, waleczności, a nade wszystko prawidłowo pojętego honoru. Kawalerzysta 4. Pułku Strzelców Konnych, na wojnę wyruszył z 11. Pułkiem Ułanów, przeszedł cały szlak, aż na kresy południowo-wschodniej Polski. Opowiadał o walkach z Niemcami, a po 17 września i z Sowietami. Zamyślał się, gdy wspominał żołnierzy, dowódców, którym honor nie pozwalał się poddać i odbierali sobie życie. Z dumą mówił o wygranych potyczkach kawalerskich, o rozpaczliwej walce do końca, z nadzieją, że sojusznicy przyjdą z pomocą. Potem, gdy już wszyscy zawiedli, bili się już tylko o honor, który dla ludzi pokroju mojego ojca był najważniejszy.

Od dzieciństwa z przejęciem słuchałam opowiadań mojego ojca i jego kolegów pułkowych o kolejnych dniach tamtego września. O tym, jak wyskoczył przez małe okienko z pociągu towarowego, wiozącego ich do niewoli, a zachęcony jego odwagą przyjaciel zrobił to samo, niestety, upadł na kamień przy torowiskach i rozwalił sobie kolano. Ojciec targał go na plecach przez całą noc przez lasy, pobłądził, rano okazało się, że doszedł do tego miejsca, z którego wyszedł. Po latach ten kolega odszukał mojego ojca, aby podziękować za ocalone życie.

Wyrastałam, słuchając relacji z tamtych wrześniowych dni, a potem okupacyjnej walki w konspiracji, z którą związani byli praktycznie wszyscy najbliżsi z rodziny mego ojca. Często przy okazji świąt, spotkań rodzinnych śpiewane były pieśni żołnierskie i wesołe piosenki ułańskie. Niemalże było zdziwienie mojej nauczycielki, gdy w szkole podstawowej na ocenę ze śpiewu stanęłam na baczność i odśpiewałam całą długą i jakże bojową pieśń – „Hej strzelcy wraz, nad nami orzeł biały / A przeciw nam śmiertelny stoi wróg / Wnet z naszych strzelb piorunne zagrzmia strzały / A lotem kul kieruje zbawca Bóg / A kluj! A rąb!...”.

Bardzo wiele zależy od tego, w jakim domu wyrastamy. Dziś, gdy zdziwienie, niesmak i przerażenie budzą publiczne zachowania części naszego społeczeństwa, gdy pytamy, skąd tyle kłamstwa, wulgarności, bezczelności, braku wstydu aż po donoszenie na swoją ojczyznę do obcych, haniebnie, nieprawdziwe oskarżanie, wyśmiewanie, poniewieranie tymi, którzy kochają Polskę i dla niej pracują – odpowiedzi należy szukać w domach rodzinnych tych ludzi. Pytać, kim byli ich dziadkowie, rodzice, bo czym skorupka za młodu... Zdarzają się wyjątki, które tylko potwierdzają regułę.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Stawanie na uszach

No, to już wiemy, kto z kim, gdzie i z czym, są ludzie, są programy, będą wybory. Jedni coś zamierzają, drudzy chcą, żeby ci zamierzający nie zrealizowali tego, co planują – to też jakiś plan. I mamy pakiety różne, kwadratowe i podłużne, zabawa z wyborcami w kółko graniaste, czterokanciaste trwa. A kanty widzi każdy gołym okiem. Więc ja mam tylko jedno pytanie.

Był 2006 r., gdy w Platformie z nazwy Obywatelskiej powstał projekt, ogłoszony przez ówczesnego i dzisiejszego lidera opozycji Donalda Tuska, dotyczący poselskiego immunitetu. Jak wówczas publicznie zapewniał, cytuję: „PO jest zdeterminowana, by przywileje władzy, w tym immunitet parlamentarny, znieść lub ograniczyć”. Co więcej, szef PO wezwał PiS, aby jak najszybciej dokonać niezbędnych zmian w konstytucji. A konkretnie usunąć z niej art. 105, gwarantujący bezkarność sejmikom z prokuratorskimi zarzutami. Determinacji starczyło PO tylko do wygranych wyborów w 2007 r. Przez osiem lat rządów spółka z o.o. PO-PSL nie zrobiła w tej sprawie nic, gorzej jeszcze, za immunitetem schowały się różne postaci z jej świecznika, nadal się chowają i... będą się chować.

Weźmy tylko trzech panów G., dziś „jedynek” na listach wyborczych samodzielnego Koalicji Obywatelskiej: marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego, oskarżanego o łapówkarstwo, nim marszałkiem został, Stanisława Gawłowskiego, byłego sekretarza gene-

ralnego PO, który za rozliczne przekręty siedział nawet w tymczasowym areszcie, lecz kupił sobie wolność po wpłaceniu półmilionowej kaucji i obecnie też kryje się za immunitetem, czy Romana Gieretycha, adwokata Tusków dwóch, seniora i juniora, oskarżanego o wyprowadzenie milionów z giełdowej spółki, który po ocuceniu wyjechał z kraju, nie stawia się na przesłuchania i też chciałby korzystać z przywileju świętych krów... Przykładami można sytać jak z rękawa, to się dzieje na naszych oczach!

Ograniczenie immunitetu zapowiadało także Prawo i Sprawiedliwość. Jeszcze rok temu wtedy rzecznik PiS oznajmił w Polsce, że odnośny projekt będzie złożony w najbliższych tygodniach, ba, sam prezes Jarosław Kaczyński przyrzekał na spotkaniu z wyborcami w Elku, że jego partia „stanie na uszach, żeby to znieść”. Swoje trzy grosze dorzucił i Paweł Kukiz: „Moje ugrupowanie taki projekt poprze”, bo „nie może być, żeby objęci immunitetem nie czuli nad sobą żadnego bata”.

No, to już wiemy, kto z kim, gdzie i z czym, są ludzie, pakiety różne, kwadratowe i podłużne, będą wybory. Więc pytam się wszystkich, bez wyjątku: co z wykorzystaniem sejmicko-senackiego azylu dla przestępczości?



**Piotr
Cywiński**

REKLAMA



PATRONAT HONOROWY
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
ANDRZEJA DUDY

15. FESTIWAL FILMOWY NNW

**NN
W**

**27-30.09
2023
GDYNIA**
wstęp wolny

ORGANIZATORZY

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA
KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

WSPÓŁFINANSOWANIE

PARTNER GENERALNY

PARTNERZY
INSTYTUCJONALNI

**SCENA
KULTURY**
STOWARZYSZENIE

GDYNIA
MIASTO FILMU

unesco
Member of
the Creative Cities Network



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ

Energa
GRUPA ORLEN



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



Instytut
Straci
Wojennych
im. Jana Karłowicza

PRZEZ ŚWIE TLIK

Ad hitlerum

**Wiktor
Świetlik**

Lubię historię także dlatego, że działy się w niej rzeczy, w które się nie chce wierzyć. Weźmy taki marsz Hannibala albo imperium mongolskie. Albo rzecz jeszcze dziwniejszą – nie tak dawno, kilka lat temu, uważano, że użycie argumentu *ad hitlerum* w dyskusji ją kończy, a ten, kto porównał przeciwnika do Hitlera, przegrywa. W ten sposób dziś na placu boju prawie nikt by nie został.

Brylują w tym ci, co wiadomo. Pani Holland udzieliła kilku wywiadów, w których wyjaśniała, jak powstało jej wiekopomne dzieło o polskich podludziach ze Straży Granicznej, gnębiących wrażliwych imigrantów. Na granicy nie była, statystyk nie widziała, ale rozmawiała z różnymi działaczami lewicowymi, którzy wszystko jej opowiedzieli. Z tych rozmów zostały w głowie pani Holland opowieści, jak ta, w której np. polscy oprawcy zatrzymują samochód i dopytują o pochodzenie kobiety o semickich rysach. Ta recytuje modlitwę „Ojcze nasz”, ratując skórę. Dowodzi, że jest Aryjką i udaje jej się przetrwać.

Nie jest to jakaś literacka wizja pisana pod nagrodę Nike w rodzaju Szczepana Twardocha lub Olgi Tokarczuk. Jest to obraz współczesnej Polski. Obraz znajdujący się w głowie pani Holland. Polska to państwo hitlerowskie, stosujące hitle-

rowskie metody, z hitlerowską władzą i z... czego już pani Holland nie mówi, ale ona i jej środowisko od lat przekonują do tego świat – hitlerowskim narodem.

Te tezy wielu oczywiście, łącznie z niżej podpisanym, uznało za dość kontrowersyjne. W tym minister sprawiedliwości, który, uwaga, uwaga, przyrównał panią Holland do niemieckich propagandzistów z czasów wojny. Czyli też hitlerowców. Ależ podniósł się rwetes! Kobiety w obronie artystki, artyści w obronie artystki, mniejszości w obronie artystki. Czerska, Onet i OKO.press dostały przeuroczych spazmów oburzenia, a sama reżyserka stwierdziła, że... pada ofiarą mowy nienawiści.

To, że być może ona stosuje mowę nienawiści wobec całego narodu, pośród którego zdarzyło się jej od dziecka przebywać, raczej jej przez myśl nie przejdzie. Cóż, mógłbym i ja napisać, że tak miewają hitlerowcy. Ale tak naprawdę tak mają ludzie, którzy nigdy się nie zmierzili z własnymi fobiami oraz uprzedzeniami i przerzucają je na innych. No, może cyniczna kalkulacja, że parę międzynarodowych nagród tradycyjnie przyznawanych Polakom plującym na swoich też odgrywa pewną rolę.

Życie, zdrowie, czas...

W tytule felietonu są wymienione trzy najważniejsze dla nas wartości. Te pojęcia się przenikają. Podczas awarii elektrowni jądrowej w Fukushima zgłaszających się na ochotnika ratowników (okrzykniętych współczesnymi samurajami) rekrutowano wśród najstarszych pracowników. Ocaliło to od śmiertelnego napromieniowania ludzi młodych, zaczynających dopiero swą ziemską wędrówkę. Franciszkanin o. Maksymilian Kolbe dobrowolnie zastąpił w celi śmierci obozu Auschwitz-Birkenau innego więźnia. Sanitariuszka Danuta Siedzikówna („Inka”) zniosła na UB niewyobrażalne tortury. Zginęła sama, ratując tym przyjaciół przed aresztowaniem. Rtm. Witold Pilecki poległ za wierność ojczyźnie i żołnierskiej przysiędze. Ks. Jerzego Popiełuszkę zamordowano za wiarę itp., itd.

Wojny, katastrofy, kataklizmy czy zarazy sprzyjają heroicznym postawom. Jednak w okresie tzw. prosperity czas staje się dobrem bezcennym! Któż nie chciałby żyć wiecznie – w zdro-

**Lech
Makowiecki**

wiu, szczęściu i bogactwie? Jednak nawet najwięksi krezusi tego świata – Rothschild, Rockefeller, Onassis czy Jobs – nie mogli kupić nieśmiertelności. Dlatego należy cenić tych wszystkich rodziców, którzy poświęcają dziś swój „reglamentowany” czas na posiadanie i wychowywanie dzieci. I *vice versa* – podziwiać ludzi w pełni sił i aktywności zawodowej, opiekujących się troskliwie starą matką czy zniedołężniałym ojcem.

Gdy świat wypełnia miłość, etyka, odpowiedzialność – życie zdaje się łatwiejsze i lepsze. Tu i teraz. W danym, przypisanym nam, unikatowym limicie czasowym. Nie szukajmy pociechy w reinkarnacji.

Może to tylko mit? Nie tracmy czasu na toksyczne znajomości, na podglądanie życia innych (programy reality show, błahe seriale itp.), na beznamiętny letarg w internecie, na egoistyczną nirwanę konsumpcji czy darwinowski wyścig szczurów. Jedyne, co tak naprawdę zostanie tu po nas, to nasze geny w kolejnych pokoleniach. I przekazana potomnym mądrość życiowa.

Michał Korsun prezentuje:
„Wypijmy za błędy”,
czyli Krystyna Janda w dniu wyborów



Wycinki z przeszłości

Konkurs zamieszczony w lipcu 1960 r. w „Horyzontach Techniki dla dzieci” nie jest trudny. Publikujemy go jednak w naszym kąciaku, bo przypomina czasy, gdy rower był wielkim i dla wielu niedoścignionym marzeniem. A gdy już był, należało samemu umieć go naprawić i konserwować. Tej dziecięcej frajdy, tego poczucia wolności, jaką dają własne dwa kółka, nie da się zapomnieć. I to na szczęście się nie zmieniło.



(mk)

Piękne zamyślenia

Nie wszystkim dane, nieczęsto się zdarzają. Szczęśliwie niektórym to się trafia. (Gdzie się kończą? Skąd się zaczynam?). Niektórzy nawet zapisują je. I tylu więcej z nas czerpie z nich pożytki, ukojenia, pocieszenia...



Leszek Długosz

Kazimiera Iłakwiczówna (1892–1983)

*Szukać mnie?... Więc raczej w Termopilach,
w zmyślonych krajach u Szekspira,
na Lermontowskim Krymie i Kaukazie.
A zawsze – w obrazie
owej Krystyny księżnej Mediolanu,
w Emaus Rembrandta,
w skałach Leonarda...
W balladzie starego Uhlanda.
Uszłam od Bertranda de Born w jego bitwie, z jego tarczą:
nie ma mnie pośród Greków poległych czy rannych;
nie w Kordelię – w Regan i Goneril wierzyłam uparcie;
podśluchiwałam w Emaus – ale wśród szlugałów! –
słów Chrystusa
nie rozumiejąc; a u stóp Dziewicy Skał
to ja spłoszyłam parwia, co tak kornie stał.
Z krzykiem uleciał
i nie ma go na obrazie, jak wiecie.
Księżnej Mediolanu – pierścień drogi zginął;
zginął młody poeta w głupim pojedynku...
To wszystko – moja wina.
Szukać mnie? Chyba tam, bo tu się nie zaczyna*

* * *

*Kiedy trzeba będzie iść
w daleką ciemność,
niechby ta jedna ніс
została ze mnie.
Niech oderwie się cała reszta
i spadnie w przepaść
– to jedno niech trwa na wieczność
dźwięczne, choć ślepe.
Bo tym, co za życia żyło
żywe najbardziej
– nieśmiertelna za grobem miłość
nie pogardzi.*

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Awersja do pesymizmu

Kogo dziś stać na to, by otwarcie i na poważnie głosić pesymizm cywilizacyjny? Kogo stać na to psychologicznie, emocjonalnie? A kogo na to stać instytucjonalnie?

W jakim kontekście pytamy? Idzie o to, co z ludzkim światem obecnie czynią technologie cyfrowe – głównie sztuczna inteligencja. Oraz to, co z naszym światem mogą niebawem zrobić posługujący się tymi technologiami ludzie.

Zanim technologie same uzyskają autonomię. Niezależnie bowiem od tego, czy ludzie ci będą mieli dobre czy też złe intencje, w przypadku AI w grę wchodzi działanie za pomocą narzędzia, które już niebawem będzie potężniejsze od wszystkiego, co dotychczas stworzyła ludzkość. A dobrymi intencjami wybrukowano...



*Nasza socjologiczna
diagnoza mówi: tylko solidnie
pesymistyczne podejście
jest dziś racjonalne*

RACJONALNOŚĆ PESYMIZMU

Nasza socjologiczna diagnoza mówi: tylko solidnie pesymistyczne podejście jest dziś racjonalne. Tylko poważne potraktowanie czarnych, wręcz katastroficznych, scenariuszy przyszłości i podjęcie odpowiednio śmiałych działań zaradczych pozwoli na uchronienie ludzkości przed zagrożeniami najpoważniejszego kalibru. Zanim ludzkość będzie mogła z ufnością, optymistycznie patrzeć w przyszłość, musimy przejść fazę pesymistycznego otrzeźwienia, wspólnego ogarnięcia się i poddania procesów rozwoju technologii bezprecedensowej kontroli.

NADZIEJA, NADZIEJA...

Uciekanie od pesymizmu – zwłaszcza przewlekłego, dotyczącego całego widzialnego świata – jest naturalne. Można rzec – zazwyczaj to psychicznie zdrowe. Nadzieja jest do życia niezbędna. Ale ucieczka od uświadomienia sobie, że to już nie jest zwyczajna sytuacja, może okazać się cywilizacyjnie zabójcza (w sensie dosłownym). Prawda jest taka,

że nadchodzi tsunami technologiczne. W toku bowiem są mocne i zarazem niebezpieczne trendy technologiczne. Suną niczym niedająca się przełamać fala.

Na skrajnie pesymistyczne, ale jednocześnie wiarygodnie brzmiące wizje przyszłości artystów stać od dawna. Zajrzyjcie choćby do Netflix'a – zobaczycie szeroką gamę filmów określanych jako postapokaliptyczne. Całe mnóstwo obrazów świata po zagładzie, często bliżej nieokreślonej, ale iście totalnej.

NIECHĘĆ DO SPOJRZENIA PRAWDZIE W...

The Coming Wave, Technology, Power and the 21st Century's Greatest Dilemma („Nadchodząca fala, technologia, władza i największy dylemat XXI wieku”) – ta książka właśnie wchodzi na rynek. Jej głównym autorem jest Mustafa Suleyman. A autor ten wie, co mówi – był wśród założycieli Deep Mind. Firmy

czołowej w budowaniu sztucznej inteligencji. To właśnie ona stworzyła system, który nie dał szans najlepszym mistrzom w grze go.

Książka jest o tym, jak postępy w zakresie AI oraz biologii syntetycznej (projektowanie całkiem nowych organizmów żywych) przynoszą kompletnie rozbieżne efekty społeczne. Z jednej strony ludzkość otrzymuje zupełnie nowe możliwości działania.

Z drugiej wyłaniają się zagrożenia o skali, z jaką nasz gatunek nigdy wcześniej nie musiał się mierzyć. Kompletna anihilacja ludzkości nie jest wykluczona.

Książka wprowadza termin „pessimism aversion” – niechęć do pesymizmu. Autor określa tak występującą zwłaszcza wśród elit postawę lekceważenia, ignorowania, pomniejszania znaczenia tych interpretacji kierunków rozwoju naszej cywilizacji, które jasno wskazują na powagę i skalę zagrożeń niesionych przez nowe technologie.

POWOŁANI DO PESYMIZMU

To, że „zwykłych” ludzi zanurzonych w zmagania z codziennością nie stać na głęboki cywilizacyjny pesymizm, jest zrozumiałe. Czarne myśli potrafią destabilizować psychikę. Są jednak grupy i instytucje społeczne, których obowiązkiem jest przyjęcie postawy pesymistycznej w ocenie przyszłości (i oczywiście wyciągnięcie z tego wniosków) – gdy tylko jest ona racjonalnie uzasadniona.

W pierwszej kolejności dotyczy to polityków. Dalej ekspertów i analityków – ze służb, z think tanków, także badaczy akademickich i niektórych rodzajów dziennikarzy. Słowem: ludzi współodpowiedzialnych za bieg spraw publicznych. Ich powołaniem jest patrzeć na przyszłość realistycznie, a zatem w razie potrzeby wejść w rolę Kasandry. Wyciągnijmy wnioski z pandemii. 

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**



Elastyczne Konto Oszczędnościowe

Pozwól oszczędnościom zarabiać!

- **7,5%** w skali roku przez 3 miesiące na nowe środki do 300 tys. zł
- nawet bez konta osobistego
- wygodna aplikacja mobilna

velobank.pl

Oferta Specjalna „Nowe środki na Elastycznym Koncie Oszczędnościowym” (edycja 9/2023) stałe oprocentowanie 7,5% w skali roku do 300 tys. zł oraz 6% w skali roku dla nadwyżki od 300 tys. zł do 400 tys. zł przez 3 miesiące. Możesz skorzystać z oferty, jeśli do 24.09.2023 r. wpłacisz nowe środki na Elastyczne Konto Oszczędnościowe i wyrazisz dla nas zgody marketingowe. Szczegóły oferty, w tym definicja „nowych środków”, w regulaminie Oferty Specjalnej. Regulamin oferty i rachunków, opłaty i prowizje na velobank.pl i w naszych placówkach. Elastyczne Konto Oszczędnościowe to prowadzenie rachunku płatniczego. Aplikacja mobilna to usługa bankowości elektronicznej. Produktu oferuje VeloBank S.A.



Z natury
DOBRA ENERGIA

Zamów **fotowoltaikę**
oraz **pompę ciepła**
z **bezpłatną wizją**
lokalną i zacznij
oszczędzać



Skorzystaj
z dofinansowania
Mój Prąd 5.0

Zadzwoń **555 555 505*** lub wejdź na **energa.pl**

*Koszt połączenia według stawek Twojego operatora